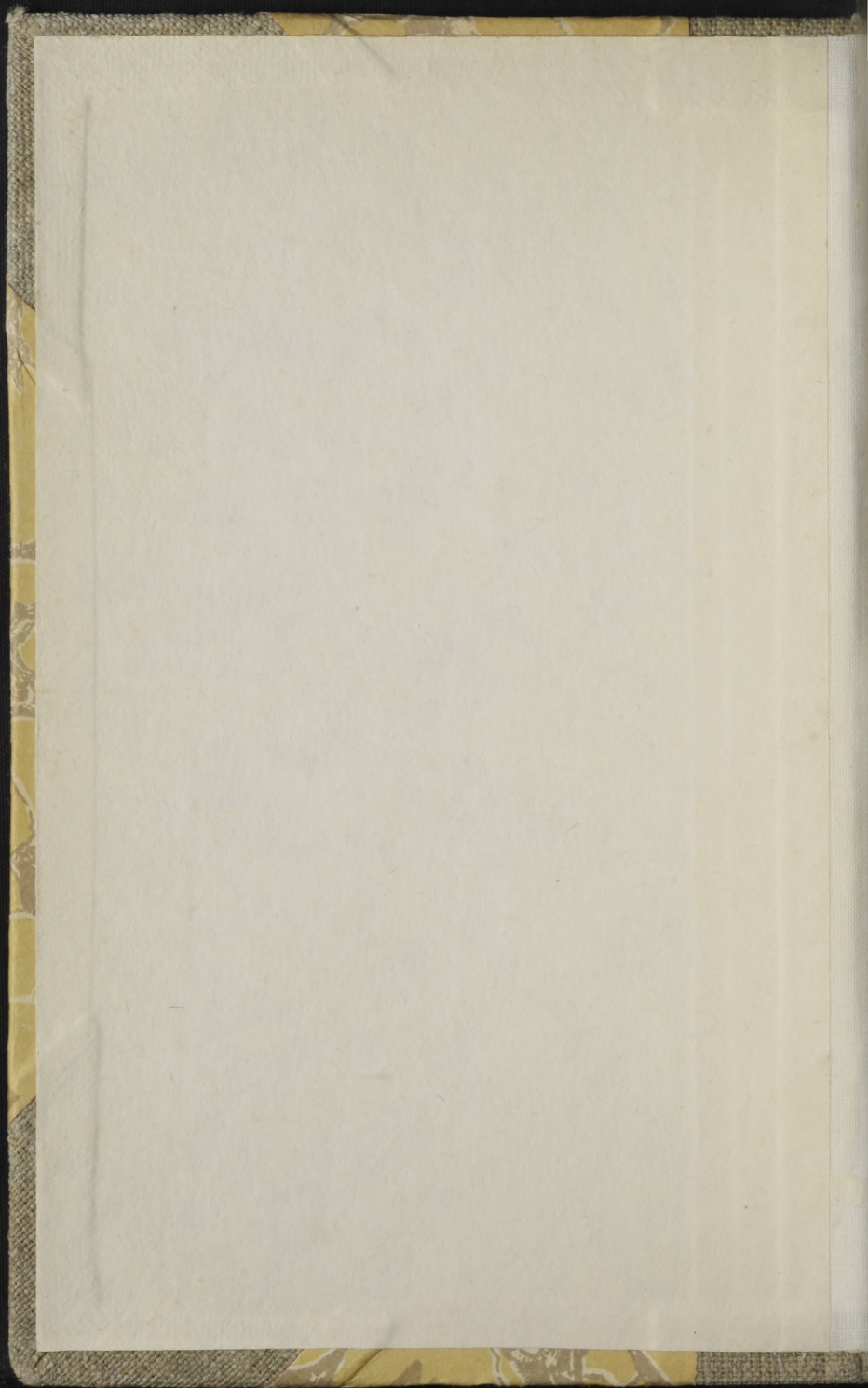


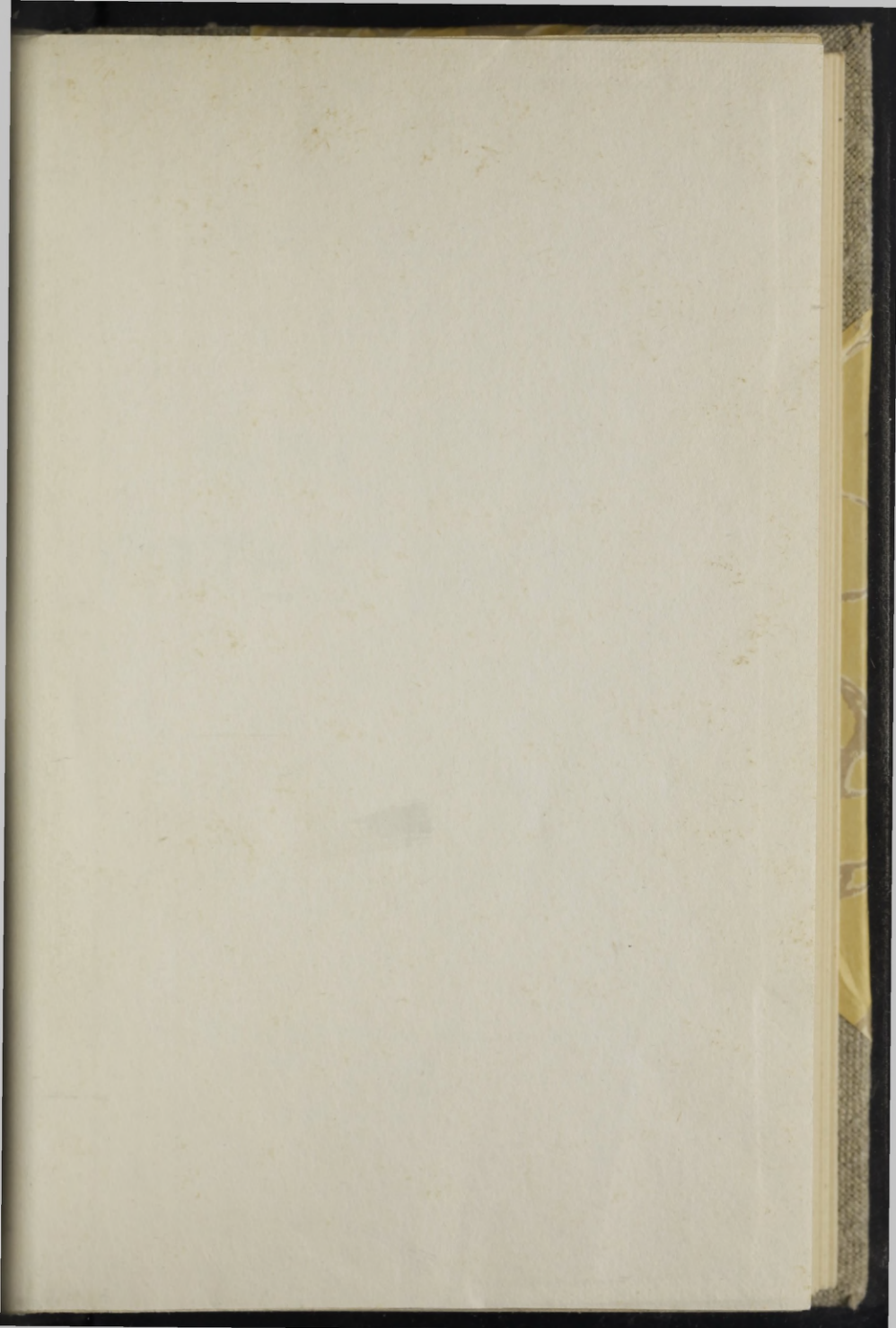
BN

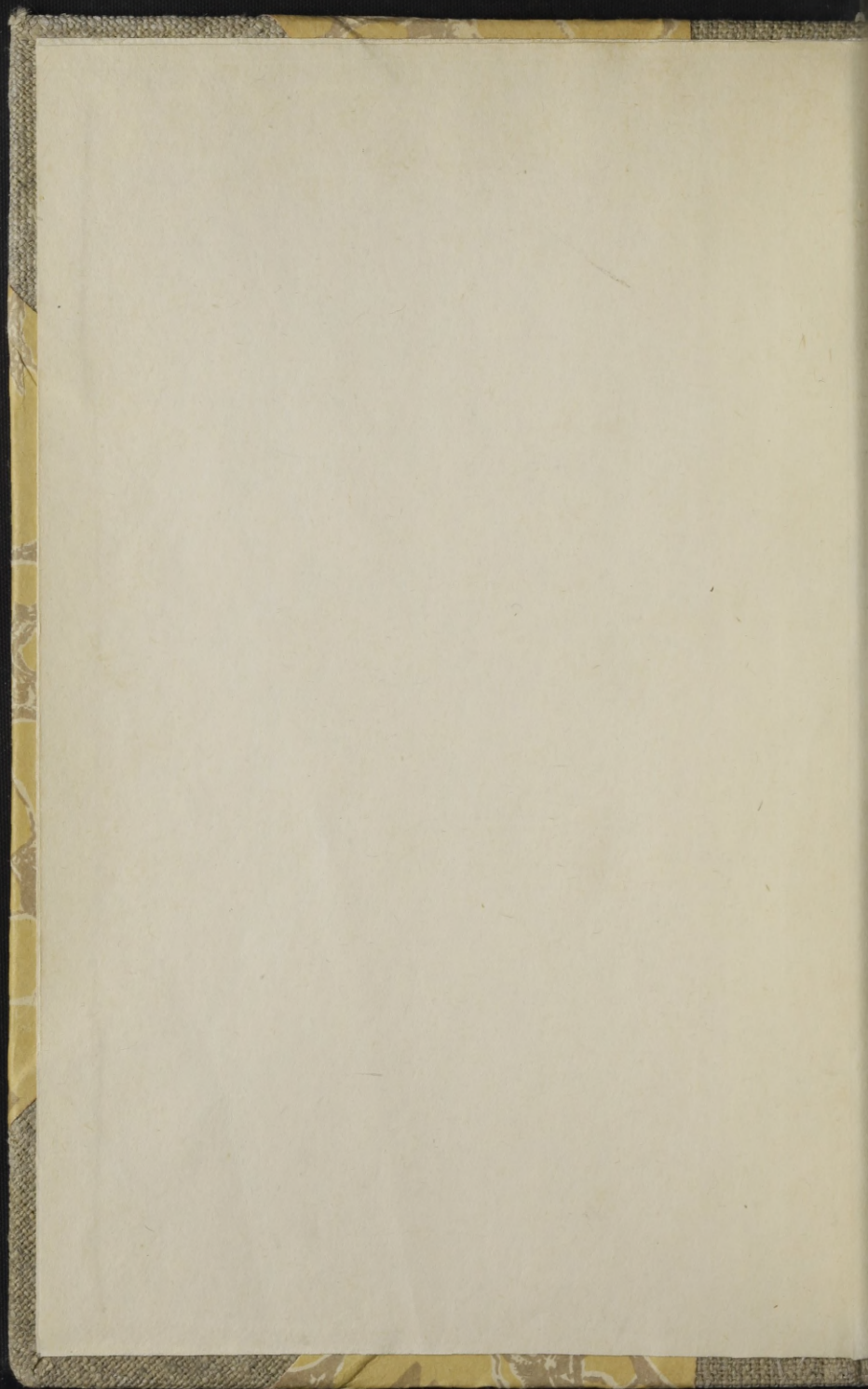
BN

BN

Z







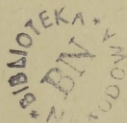
1 1.466.396

URKE - NACHALNIK

MIŁOŚĆ PRZESTĘPCY

Nakładem Księgarni
M. FRUCHTMANA
w Warszawie
1933.

1



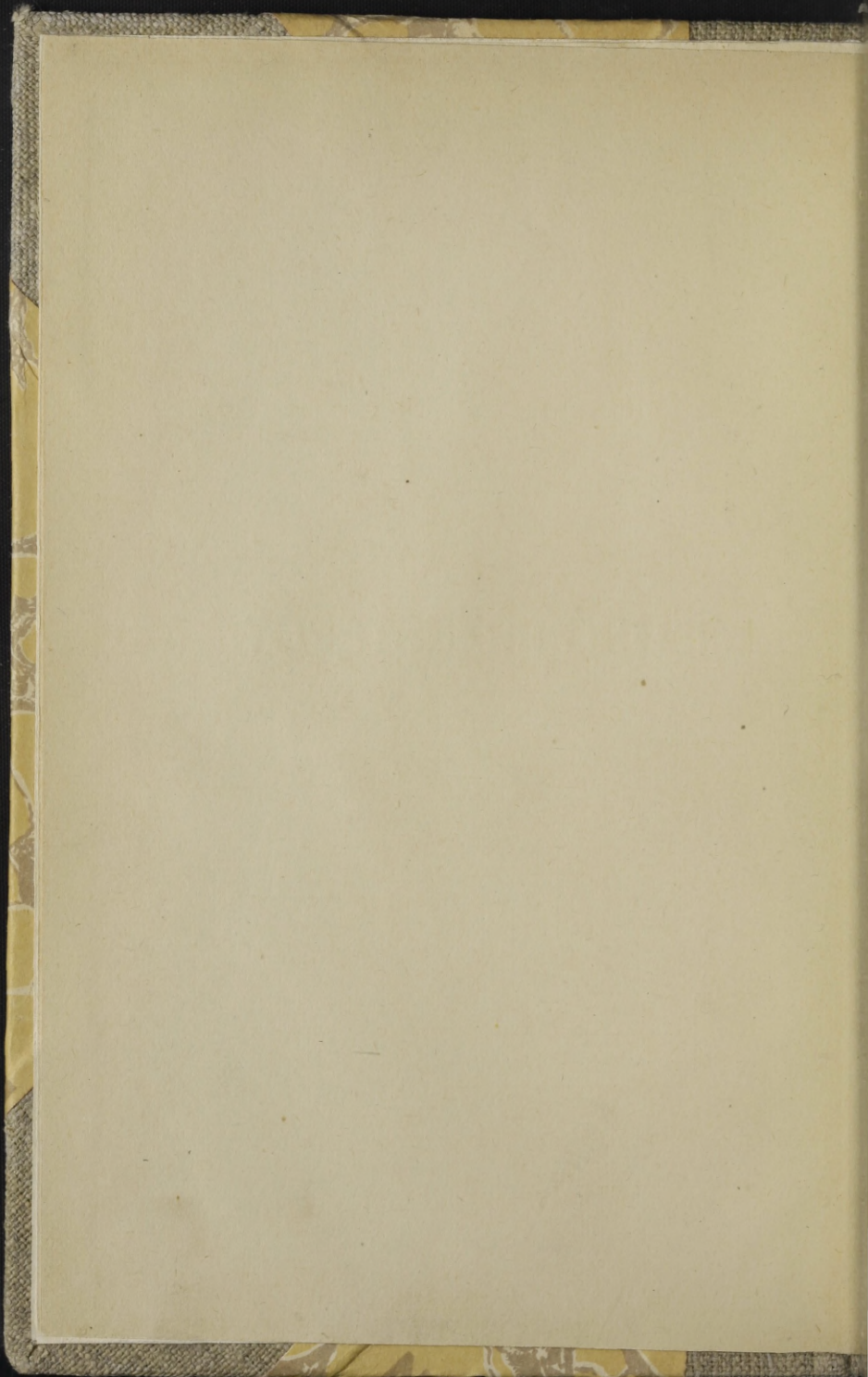
11.466.396



Druk. Zakł. Graf. „Prasa Polska, S. A.” Warszawa

1987 K746/109

MIŁOŚĆ PRZESTĘPCY



Na ulicy Niskiej w Warszawie, w nędznej podrzędnej kawiarence, której goście rekrutują się i z niebieskich ptaków i z podejrzanym obywateli z pod ciemnej gwiazdy, siedział przy małym stoliku o okrągłym, spękany i wyszczerbionym blacie; niby marmurowym, mężczyzna o atletycznej budowie ciała i ponurym wyrazie twarzy.

Wieku nieznanego trudno byłoby odgadnąć, tylko bystre oko mogłoby dojrzeć nieznaczne zmarszczki na jego szerokim, wypukłym czole. Było coś w tej twarzy, co wskazywało, że człowiek ten niejedno już przeżył i przecierpiał w swym życiu; jakiś rys tragiczny, jakiś zatajony grymas bólu i cierpienia. Ubrany był dość elegancko, choć nie była to elegancja bez zarzutu; pewne piętno niedbałości uczyniło, że brakło jej starannej subtelności. Zapijał kawę, a po ciastka, leżące na talerzu, sięgał ruchem zmęczonym i jadł je bez apetytu. Najwidoczniej oczekiwał na kogoś, co chwila bowiem przy wejściu no-

wego gościa spoglądał na przybyłego, aby stwierdzić swoje rozczarowanie.

Naprzeciw jego stolika, pod dużym, kiepskim lustrem, siedziała młoda dziewczyna, blondyna, o pociągłej, nieco bladej twarzy, o ładnym, czystym profilu. Wyglądała na lat siedemnaście, osiemnaście najwyżej. Ubrana była bez zarzutu. Musiała to być osóbką niebardzo surowych obyczajów, czego dowodziła, choćby jej pełna wdzięków swoboda z jaką założyła nogę na nogę, prezentując zgrabne, w piękne jedwabne pończochy wciśnięte, smukłe nóżki. Oparta wygodnie o poręcz fotela, paliła papierosa z dużym wdziękiem oraz z pewnością siebie.

Nagle dziewczyna podniosła się z miejsca i zwracając się, co nie ulegało kwestji, do mężczyzny z pod przeciwnej ściany, zagadnęła go śmiało:

— Czy mogę zapytać pana o godzinę?

Mężczyzna zmierzył ją bezceremonjalnie od stóp do głowy i burknął niechętnie:

— Proszę sobie zobaczyć, przecież ma pani tam zegar — wskazał ruchem głowy w kierunku bufetu, gdzie rzeczywiście bieleł się cyferblat zegara.

Mówił tonem niedbałym, cedząc powoli słowa i dalej popijał kawę.

Dziewczyna spojrzała na niego zdziwiona tą opryskliwością i zlekka rumieniąc się, straciła cokolwiek z swej dawnej swobody, nie dając jednak za wygraną, podszła jeszcze bliżej do stolika nieznanomego i filuternie mrużąc ładne, duże oczy,

jeszcze raz zagadnęła, trącając go swobodnie drobną rączką w ramie:

— Dlaczego pan taki niegrzeczny dla mnie? Widzę, że pan nosi zegarek na ręku, sądziłam więc, że zechce mi powiedzieć, która godzina.

Nieznajomy podniósł wzrok i przesunął go po twarzy dziewczyny. Uśmiechnął się lekko i łagodniejszym już tonem odezwał się:

— Wybacz pani, ale, doprawdy, zapomniałem, że mam zegarek przy sobie, a poza tem... jestem trochę zdenerwowany, a stąd roztargnienie. Czekam już przeszło godzinę i nie mogę się doczekać... — A po małej pauzie zapytał:

— A która też godzina jest pani potrzebna?

Dziewczyna wzięła krzesło, postawiła przy jego stoliku, usiadła równie swobodnie i wdzięcznie, jak poprzednio. Toczone kolanko zdawało się prowokować mężczyznę, połyskliwy jedwab pończochy magnetycznym błyskiem ściągał wzrok mężczyzny.

— Teraz już mi godzina nie potrzebna, bo chcę zostać i pomówić z panem — kokieteryjnie mrugnęła oczami i roześmiała się głośno i dźwięcznie, tak, że ją było słyhać po całej kawiarni.

— Ze mną pani życzy sobie rozmawiać? Pardon, ale nie mam zaszczytu znać pani, pierwszy raz, jak mi się zdaje, panią na oczy widzę! Może jakaś pomyłka?... Nie rozumiem...

— Możliwe, że pan mnie nie zna, ale

zato ja pana znam i wydaje mi się, że znam pana doskonale. Jeśli się pan zgadza ofiarować mi jakieś pół godzinki, przemieśmy się do drugiego pokoju, tam teraz pusto, będziemy mogli chwilę pogawędzić przez nikogo nie obserwowani i nie podsłuchiwani.

Mężczyzna, zdziwiony nieco, wstał posłusznie, poczem skierował się za kobietą do niewielkiego pokoju, przeznaczonego do poufnych rozmów gości.

— Proszę, siadaj pan, o tak — rzekła, biorąc go za rękę i pociągając ku krzesłu, po uprzednim zamknięciu drzwi na zasuwkę. Siadła przy nim tak blisko, że czuł jej oddech na twarzy.

— A teraz proszę słuchać mnie i odpowiadać na moje pytania. Przepraszam, że jestem taka natrętna, ale to się zaraz wyjaśni.

Mężczyzna ciągle zdziwiony, nie mógł zrozumieć, czego ta piękna dziewczyna chce od niego, ale miłe dźwięki jej głosu i piękne, różowe usteczka, na których teraz zawisł wzrokiem, ujęły go widocznie, zrobiły wrażenie...

Ona rozpięła swoje futro jeszcze wyżej, odsłaniając piersi przysłoniete cienką tkaniną bluzki i kształtną alabastrową białą szyję. Czuł ciepło jej ciała i ślizgał się wzrokiem po całej jej postaci, obejmował lubieżnym spojrzeniem jej kształtne tydki i obnażone piersi. Wdzięki pełnej powabów kusicielki, zrobiły swoje, działały.

— Niechże pani mówi — powiedział lekko drżącym głosem, — bo mnie pani zacie-

kawiła. Oddaje się do rozporządzenia pani...

Kobieta uśmiechnęła się, zrobiła ruch zdradzający chęć poprawienia włosów i z odcieniem radosnej dumy w głosie, zapytała:

— Co, piękna jestem? Podobam się panu... Popatrz dobrze, nie wstydź się pan, oglądaj mnie tak wprost, bezwstydnie. Kobieta lubi, kiedy czuje, że swem ciałem wywołuje pożar namietności. Proszę mi spojrzeć prosto w oczy! No, więc, podobam się?...

— O, bardzo — szepnął cicho, spuszczać głowę.

— Naprawdę? Więc czemu nie chce mi pan spojrzeć w oczy? O tak! — ujęła go pod brodę, podnosząc głowę. Oczy ich spotkały się.

— Jak pani na imię?

— Róża.

— A dlaczego pani nie pyta o moje?

— Bo już znam je oddawna i... trochę przeszłości pana też znam.

Nieznajomy zbladł w sposób widoczny, zerwał się z krzesła, jakby zamierzał się rzucić na swą towarzyszkę.

— Skąd pani mnie zna? To niemożliwe... Skąd pani zna moją przeszłość?

Gwałtownym ruchem chwycił ją za rękę, ściskając tak mocno, że kobieta krzyknęła z bólu, a on gwałtownie zaczął krzyzczeć:

— Gadaj pani, co pani wie o mnie, kto natrącił pani! Zabiję go, jak psa!..

Przestraszona tym wybuchem gwałtow-

ności. Róża starała się łagodnie oswobodzić z żelaznego uścisku dłoni towarzysza, zapewniając, że natychmiast mu wszystko opowie.

— Pana nazywają Dawid „Nachalnik“ — z Kiszyniowa, z Besarabji. Niedawno pana zwolnili z „Mokotowa“, gdzie pan odbywał czteroletnią karę za włamanie, a że z pana przyzwoity „Urke“ — też wiem...

Dawid odetchnął z ulgą i usiadł znowu na krześle.

— To wszystko co pani wie o mnie? Ciekaw jestem poco się pani tem interesuje?

— Wysłuchaj pan mnie cierpliwie. Wiem, że stroni pan od kobiet, słyszałam, że podobno przez kobiete siedział pan ostatnio w więzieniu, ale ja nie pochodzę z tych kobiet... Mnie pan może być pewny... nie zdradzę pana nigdy, przenigdy... Ja czuję do pana bardzo wielką, bardzo... wielką sympatię... Ja kocham pana... — wyrwało się ostatecznie z ust młodej kobiety, a tyle było szczerości i akcentów prawdy w tych kilku wyrzeczonych słowach, że zdziwiony tym niespodziewanym wybuchem Dawid sądził już, że ma do czynienia, jeśli nie z „frajerką“ czystej krwi, to w każdym razie również nie z kobietą z jego warstwy społecznej.

Jakby zgadując myśli swego znajomego, kobieta, którą odtąd możemy nazywać jej własnem imieniem Róży, ciągnęła dalej na moment przerwane zwierzenia:

— Odkąd ujrzałam pana po raz pierwszy, zbudziło się we mnie uczucie miło-

ści — pokochałam... dopytywałam się, co pan za jeden... Nie mamy zresztą potrzeby grać ze sobą po frajersku... ja nie jestem frajerka, chcę więc mówić otwarcie i śmiało: — Chcesz mnie pan za kochankę?

Dawid zmierzył ją uważnie od stóp do głowy, wreszcie zatrzymał dłużej wzrok na jej twarzy, jakby chcąc przeniknąć, co też to się kryje pod tą maską szczerego, albo też dobrze udanego uczucia i myślał dalej:

— Pewno jakaś „szlaja“¹⁾, co niejednego już „kochała“, a ja na dobre zląkłem się, gdy wspomniała, że zna mnie. Ładniebym wyglądał, gdyby w Warszawie odkryli moje „lipy“²⁾. Ale jeśli tylko tyle wie — to nie szkodzi. Można się trochę z nią zabawić, bo jest dość ładna; dałem sobie przecież słowo, że żadnej kochanki nie wezmę.

Tu przemknęło mu lotne wspomnienie: „Przez kobietę, dla której ryzykował życie, dla której kradł i rabował, dostał cztery lata ciężkiego więzienia... Przehandlowała go dla „Alfonsa“, z którym uciekła do Argentyny.. umknęła, bojąc się zemsty“.

Przypominając to sobie, nie mógł zapamiętać nad sobą, swem zdenerwowaniem i zgrzytnął zębami, tłumiąc wzrastającą w nim wściekłość.

Obserwując zmianę w nastroju swego

¹⁾ prostytutka.

²⁾ fałszywe nazwisko.

znajomego, Róża niespokojna była, czy odpowiedź jego okaże się dla niej korzystną. Wiedziała, a raczej wyczuwała instynktem kobiecym, że musiała mu się podobać. Któremuż zresztą mężczyźnie mogła się nie podobać jej zręczna, smukła sylwetka, jej czysty, szlachetny profil, świeża, różowa jak płatek róży, karnacja cery, jej wdzięk, szyk i elegancja.

Urodą swoją brała mężczyzn, lasych na wdzięki kobiece i na tego właśnie, zgóry upatrzonego przedstawiciela płci brzydkiej, postanowiła zarzucić sieć swych wdzięków i dyplomacji kobiecej. Miała pewne wiadomości, że jej wybraniec, „Nachalnik“ jest dobrze „zarobiony“, forsya ma jak lodu, próbowała więc, czy się jej nie uda ogołocić go z niej, gdyby się zgodził żyć z nią.

Nareszcie Dawid przerwał swoje rozmyślenia, mówiąc:

— Pewno nie będę pierwszym pani kochankiem, wielu ich już pani miała?

— Ach! Jaki pan niegrzeczny, brutalny — nie nadarmo przezywają pana „Nachalnik“ — roześmiała się wesoło — ale ja takich mężczyzn lubię, właśnie za ich śmiałość wobec kobiet.

Wstała z krzesła, podeszła do swego znajomego i, obejmując za szyję więzami swych ramion, usiadła mu na kolanach.

— Co, ciężka jestem?

— O nie, bardzo mi przyjemnie dźwigać taki słodki ciężar... tylko nie zadługo.

— A ja chcę właśnie długo, długo... być na tych kolanach... co, zgoda?

— Muszę się dobrze zastanowić — odparł Dawid — nim wezme na siebie taki ciężar, zwłaszcza, że go mam dźwigać na kolanach i do tego bardzo długo... może do samej śmierci, co?

— Chciałabym panu opowiedzieć teraz o swoich kolejach życiowych... ale widzę, że się co chwila na drzwi spogląda. Może jaka randka z kobietą? A ja tylko przeszkadzam — zaśmiała się głośno.

— Niestety, nie czekam na kobietę, tylko na kolegę. Może pani być spokojna, żaden rywalek pani nie ma. Żebyśmy tylko ja nie miał rywali, to się może wszystko dobrze ułożyć. Może pani opowiadać o sobie — słucham z wielkiem zainteresowaniem.

Róża zrobiła smutną minę, jak aktorka dramatyczna i żałosnym głosem zaczęła opowiadać:

— Ja sama pochodzę z Rosji, urodziłam się w Taszkencie. Straciłam matkę na początku wojny światowej, a ojca mego zamordowali bolszewicy, jako burżuja i kontr - rewolucjonistę. Mielismy fabrykę, byliśmy bogaci — wszystko przepadło...

— Ciotka moja zabrała mnie ze sobą do Warszawy; trochę pieniędzy, które udało nam się ocalić — skończyły się... Zaczęły się dla nas kiepskie czasy. Ciotka zachorowała ze zmartwienia i wkrótce potem zmarła. Zostałam sama na warszawskim bruku, bez duszy przyjaznej i bez żadnej opieki. Miałam szesnaście lat — nie wiedziałam co robić ze sobą; byłam niedoświadczona i zdezorjentowana. Wydałam

pieniądze, które pozostały po ciotce — a było tego bardzo niewiele — i żyłam z dnia na dzień...

— Wreszcie stało się to, co się zwykle dzieje z takimi... sierotami, jak ja! Poznałam pewnego młodego chłopca i zwierzyłam mu się z mego położenia. Obiecał mi pomoc, zapewniając, że matka jego zaopiekuje się mną. I rzeczywiście stało się, jak mówił. Ta jego rzekoma matka zaopiekowała się mną na dobre, bo zaraz pierwszej nocy zaprowadziła mnie do swej znajomej, na ulicę Wołyńską i tam już zostałam pod „troskliwą“ opieką swej nowej chlebodawczyni. Musiałam robić, co mi kazali, chcąc się utrzymać przy życiu. Z początku chciałam sobie życie odebrać, ale pomału zaczęłam godzić się z losem.

— Byłam tam rok czasu, było nas pięć dziewcząt, a ja musiałam najwięcej „pracować“, bo każdy gość przeważnie mnie wybierał.

— Pewnego dnia przyszedł jakiś przystojny mężczyzna i — jak mnie zapewniał — zakochał się we mnie. Zabrał mnie z tego przekłętą domu. Zna pan zapewne ten „dom“ na Wołyńskiej? Gospodyni jego, a moja opiekunka jest znaną osobą w Warszawie zarówno ze swego „interesu“ świetnie prosperującego, jak i z powodu swej wymagalności względem swoich pensjonarek.

— Nie chciała mnie puścić, bo twierdziła, że jeszcze nie odrobiła tych pieniędzy, które ona na mnie wydała. Wtedy mój kochanek dał dwieście dolarów odstępnego,

co „dintojra“ alfonsów przyznała mojej gospodynie. Było mi dobrze u mojego kochanka — był dobrym kasiarzem. „Zarabiał“ dobrze.

— W ten sposób upłynęło dziesięć miesięcy, żyłam wygodnie, wyjeżdżałam na lato do Sopot. Sądziłam, że tak będzie zawsze. Jakieś pół roku temu, mój kochanek pojechał na jakąś „robotę“ i już nie wrócił. Nie wiedziałam co się z nim stało, myślałam, że może został zabity, albo dostał się do więzienia.

— Jeździłam do Wilna kilka miesięcy temu, gdzie dowiedziałam się, że uciekł do Rosji, a mnie nawet słowa nie rzekł. Widać już miał mnie dość...

Tu łzy poczęły jej spływać po twarzy pobladłej ze wzruszenia nad własną dolą. Chusteczką wyjętą z futra zaczęła łzy ocierać i wreszcie zamilkła, jakby namyślając się nad czemś, potem dodała cichym głosem, że ledwie dosłyszał ją:

— Już miesiąc jak chodzę po rogu Marszałkowskiej... „na własną rękę“... to, co mówiłam, powinno być wystarczające dla pana narazie...

Dawid siedział nieruchomy, nie odpowiadał nic, wpatrując się w jakiś punkt zawieszony w przestrzeni i myślał sobie: „Już ją znam bardzo — potraficie pięknie mówić. Tamta co mi dała cztery lata, też była taka niewinna, a diabeł w niej siedział“.

Zmarszczył czoło i potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić od siebie przykre wspomnienie, poczem myśl jego znów po-

pływała: „Dałem sobie słowo, że z prostytutkami nie będę miał żadnego interesu, ale ta dziewczyna oczarowała mnie zupełnie“. Spojrzała na nią i jeszcze piękniejszą mu się wydała, smutna i zamyślona.

Wtem, ktoś zaczął się dobijać do drzwi pokoju.

— Otwórz-no, szukam cię od pół godziny, myślałem, że ciebie tu niema, a tyś się tu zamelinował¹⁾, pewno masz tam jaką ładną dziwę. Ciekaw jestem, kto to odważył się zaczepić ciebie, stary łobuzie?! — śmiał się jakiś nieznajomy, dobijając się do zamkniętych drzwi.

— To jest właśnie ten, na kogo czekałem, kolega mój — rzekł Dawid tonem objaśniającym, otwierając drzwi.

Nieznajomy wszedł, podał Dawidowi rękę, a Różę obrzucił pogardliwym spojrzeniem, wykręcając się do niej plecami i nie zwracając na nią uwagi.

— Przepraszam cię, ale, zdaje się, nie zauważyłeś mej znajomej, panny Róży — rzekł z zamiarem przedstawienia jej kole-dze.

— To zbyteczne!... Miałam już honor poznać tego pana...

Dawid nie wiedział, co robić, widząc na twarzy przyjaciela zamieszanie. Zrozumiał, że między nimi już coś być musiało w przeszłości.

Przybyły odezwał się:

— Ładną sobie dobrałeś dame! Jeżeli

¹⁾ schował.

chcesz znowu siedzieć w Mokotowie, to bierz tę panią za kochankę! Dobrze, że ja wiem o tem... Chodź, możesz tę panią pożegnać...

Róża zerwała się ze swego miejsca, chwyciła Dawida za rękę i pociągnęła ku sobie.

— Wiesz, dlaczego ten Pan tak mnie oczernia przed tobą?... Bo nie chciałam być jego kochanką, zazdrości, że z tobą chcę żyć!

Patrzyła swojemi wielkiemi, czarnemi oczami, które w gniewie miały fosforyczne błyski, wyzywająco w twarz znajomego.

Dawid stał zakłopotany; nieprzyjemnie mu było, że jego przyjaciel i współnik wytacza taką opinię o tej kobiecie, którą wprawdzie kilka minut temu poznał, lecz, zdawało mu się, już głęboko pokochał, więc po namyśle odezwał się:

— Co tam było między wami, nic mnie nie obchodzi. Przyszedłeś po mnie? Ja już czekam na ciebie ze dwie godziny, więc chodźmy stąd!

Poczem skłonił się Róży, mówiąc:

— Z panią jutro o tej porze tu się zobaczę. Dowidzenia! — i ścisnął jej rękę, a ona z takim żalem spojrzała mu w oczy, że uczył szybsze bicie serca.

Zawołał kelnerkę, zapłacił i obaj wyszli na ulicę.

II

Była ciemna i mroźna noc. Szli w milczeniu w kierunku ulicy Miłej, w zamy-

śleniu, jakby zaszło coś między nimi. Każdy z nich czekał na odezwanie się drugiego. Obaj przyjaciele czuli, że coś stało się między nimi, niweczając swobodę koleżeńską.

— Prawdą jest, że chciałem z Róży zrobić swą kochankę — westchnął kolega Dawida, — ale gdy dowiedziałem się, co to za „mebel“ w tej samej chwili straciłem do niej całą sympatię. A to co ona mówiła, że mnie nie chciała — to kłamstwo. Czy masz zamiar ją wziąć sobie za kochankę? Ja ci nie radzę, to jest „wredna“ kobieta. Dowiedziała się, że masz forse, więc tak leci na ciebie.

Dawid słuchał i wyczuwał fałszywy ton w jego głosie, zdawało mu się, że kolega stara się rozbić ich parę i że przemawia przez niego zazdrość, a nie chęć przestrzeżenia go przed niebezpieczeństwem, jakie niosła ta kobieta i jeszcze większą miłość poczuł do Róży. Przytem pochlebiało mu, że Staśka nie chciała, a do niego sama się przyczepiła.

W ten sposób doszli do Nalewek, gdzie wreszcie Stasiak zagadnął ze złością:

— Dlaczego mi nie odpowiadasz? Czy głuchy jesteś?

— Nie prawda, co ty mówisz. To bardzo skromna dziewczyna. Ty masz do niej urazę, ona ci w oczy mówiła, że cię nie chce za kochankę!

— Jeżeli ją bierzesz za kochankę, to szukaj sobie drugiego współnika od dzisiaj!

Dawid przystanął na chwilę.

— Dobrze! Nie idziemy już na tę „robotę“ razem, dobranoc! — wykrecił się na pięcie i prędkim krokiem wrócił na ulicę Niską.

Dawid należał do tych ludzi, którym zakazany owoc najlepiej smakował. Nie miał wcale zamiaru brać Róży za kochankę, ale kiedy jego wspólnik zaczął mu przeszkadzać i straszyć, postanowił na złość mu zrobić to i wracał teraz do kawiarni.

Wszedł, obrzucił spojrzeniem obecnych. Jej nie było. Zajrzał do pokoiku, gdzie byli razem. Siedziała, jak ją zostawił, smutna i zamyślona. Gdy go ujrzała, zerwała się ze swego miejsca.

— Tak! moje przeczucia nie zawiodły mnie, czekałam na ciebie, przekonana, że przyjdiesz. Siadaj mój drogi! Porozmawiamy sobie teraz na „ty“, bo wiem, że już nie rozłączymy się prędko, a jeżeli chodzi o mnie, to nigdy...

— Nie, wyjdźmy stąd, przejdziemy się trochę i porozmawiamy.

Róża zapięła futro i wyszli na ulicę...

Noc była zimowa. Warszawa tonęła w bieli. Niezliczone płatki śniegu wirowały w powietrzu, dekorowały przechodniów, chodniki, biegnące auta i tramwaje. Z bieli wynurzały się co chwila, jakieś cienie, a milczące, ubielone gmachy wznosiły się dumnie ku niebu, stojąc jak żołnierze na posterunku. Róża i Dawid szli ulicą. Ona ujęła go pod ramię i kroczyła z głową przytuloną do jego ramienia. Policzki zaczerwieniły się jej od mrozu, w oczach

zabłysła pożądlivość. Wdychała w siebie z rozkoszą świeże, mroźne powietrze, zerkając z przyzwyczajenia na przechodzących mężczyzn, z których każdy mógłby zostać łatwo jej towarzyszem i kochankiem „na jedną noc“, gdyby nie świeża znajomość z Dawidem.

— Gdzie idziemy, mój kochany? Dlaczego milczysz? Co on jeszcze nagadał na mnie? Jeżeli mnie kochasz, to opowiedz mi!

— Nic, wszystko głupstwo... co było, to przeszło i nic nie pomoże roztrząsanie przeszłości. Tylko niech sobie pani zapamięta, że od dzisiaj musi się pani inaczej prowadzić — wtedy wszystko będzie dobrze.

— Ach, mój drogi, dlaczego nie mówisz mi po imieniu, tak jak ja tobie? Ty jeszcze wahasz się, a ja przysięgam ci być wierną do grobu, ty będziesz... Pan będzie ostatnią moją miłością... — nagłym ruchem chwyciła go za szyję i pocałowała w policzek — i ty mnie pocałuj na zgodę!...

— Ja mam jeszcze czas całować, nie trzeba być w gorącej wodzie kąpanym, proszę cię, zachowuj się na ulicy przyzwoicie, jeżeli masz zamiar żyć ze mną.

Róża przyznała, że racja jest po stronie jego, tylko, że ona tak go kocha, że nie wstydzi się i na środku ulicy ucałować go i że ją nikt absolutnie nie obchodzi.

Dawid nic nie odpowiedział i zamyślił się.

Róża spojrzała na niego i zagadnęła go:

— Dokądże idziemy? Jesteśmy już na Marszałkowskiej, może wstąpimy do kina, co?

— Dobrze, możemy do kina, o tu zaraz po przeciwnej stronie, niech tylko tramwaj przejdzie — zgodził się Dawid, czując, że jest po uszy zakochany i obojętne mu jest dokąd się udadzą, byle razem.

Przecięli ulicę i weszli do poczekalni. Róża podeszła do kasy i stojąc w szeregu kilkunastu osób, przymrużonemi oczami oglądała z widocznym zadowoleniem spacerującego Dawida, wreszcie po wykupieniu biletu wzięła pod ramię swego „narzeczonego“ i z miną triumfującą dała się zaprowadzić na widownię kina.

— Ale ty wcale nie patrzysz na obraz, widzę, że się nudzisz — zauważyła Róża po dłuższej chwili.

— Wiesz, Różo, obserwuję cię i stwierdzam, że mi się spać chce, przecież kobieta jest niezbędnym meblem sypialni, a tem samem przypomina o spaniu, a ja właśnie jestem niewyspany, dwie noce już nie spałem — uśmiechnął się porozumiewawczo.

— Ach wy mężczyźni... jesteście wszyscy do siebie podobni, jak tylko kobieta zbliża się do was, to zaraz wam się spać chce, — śmiała się Róża.

— Zaraz będzie antrak — odparł Dawid — to wyjdziemy, odprowadzę cię do domu i pójdę spać.

Wyszli na ulicę. Śnieg przestał padać, była już blisko dwunasta, mroźna, biała cisza i spokój. Tylko gdzieniegdzie prze-

suwał się cień spóźnionego przechodnia, być może jakiegoś władcy nocy, wybierającego się na nocną „robotę“, albo bezdomny błakał się po ulicy, poszukując, gdzieby mógł przepędzić resztę nocy bezpiecznie i spokojnie.

Nieliczne nocne tramwaje sunęły bezszelestnie i widmowo po przysypanych puszystym śniegiem szynach. Niekiedy tylko dolatywał zdala dźwięk dzwonka tramwajowego na przystanku.

Zapóźniony małżonek, powracający od kochanki w domowe pielesze, układa w myśli wykrętne tłumaczenia, na usprawiedliwienie się przed swą małżonką i udowodnienie swej „niewinności“. Dama z półświatka w karakułach, któremi osłaniała swą dawno utraconą cnotę, a której wiadać „połów“ się nie udał, wraca do domu zziębnięta i zdenerwowana, na przystanku tramwajowym próbuje jeszcze w przelocie zarzucić siatkę na jakiegoś eleganckiego młodzieńca ze znudzoną miną. Wysila resztki zapasu swej kokieteryj i za chwilę odchodzą oboje, osiągnąwszy porozumienie.

Nie tak szczęśliwa jest jej koleżanka po fachu, która wysiadła z tramwaju i dążąc do domu, jeszcze rozgląda się po chodniku w nadziei schwytania jakiego „fajera“. Propagandowa podróż tramwajem, nie dała żadnego rezultatu, więc zmarznięta i zmęczona z niczem musi wracać do domu, przeklinając swój los i wszystkich mężczyzn na świecie...

Na taką damę nocy natknęli się, czeka-

jąc na tramwaj. Róża przycisnęła się mocno do ramienia Dawida, jakby obawiała się, by go ktoś nie zabrał i w tym właśnie momencie nieznajoma, zbliżywszy się bardziej, odezwała się do Dawida:

— Ach, kochany gołąbku, już ze trzy godziny czekam tu na ciebie, a ty się włóczysz z tą zmorą. Dla niej wszystkich mężczyzn za mało... ja jeszcze początku nie miałam, a ona dziesięciu gości miała dziś.

Dawid stanął jak wryty. Zrozumiał, że oto koleżanka Róży chce widocznie odbić go jej, uważając go za „gościa”. Nie wiedział, jak ma postąpić, zauważył, że i Róża zmieszana tą napastliwością koleżanki po fachu, zbladła ze złości i wstydu, że w jej obecności Dawid został w tak fatalny sposób zaczepiony. W tej chwili nasunęła jej się refleksja: a przez kogo? — przez taką samą kobietę, jak ona sama, a ileż razy ona w podobny sposób atakowała przechodniów, koniecznie potrzebując „gościa”, a i jego również w ten bezwzględny sposób zaczepiła bez ceremonji i zdobyła wstępny bojem. Różnica między nami — myślała Róża — ta, że nieznajoma koleżanka napastuje go na środku ulicy, a ja atakowałam go bez wstydu w kawiarni — co on też myśli o mnie?

Nareszcie oprzytomniawszy, Róża pociągnęła Dawida, szepcząc:

— Chodź do domu! To jakaś warjatka! Zaczepia ludzi na ulicy.

— Cha, cha, cha!... — wybuchnęła głośnym, cynicznym śmiechem nieszczęśliwa rywalka, postępując za oddalającą się

szybko parą, a echo tego śmiechu rozlegało się tak demonicznie wśród nocnej ciszy, że para kochanków zadrżała, przyspieszając kroku.

— Róża! Róża! wielmożna pani Róża! Co, nie poznajesz swej koleżanki z Książęcej?!... Jak tam zdrowie pani? Cha, cha, cha, widzę, że złapałaś sobie frajera, a może męża? I tak z nim uciekasz! — chwilę postępowala za nimi, a oni bez żadnej odpowiedzi zmykali, nie oglądając się poza siebie.

Wtem z za rogu ukazała się sylwetka policjanta, zwabionego hałasem i dalszy pościg umykającej pary przeciał bezapelacyjny rozkaz:

— Marsz do domu? Co za hałasy! Proszę zawrócić, bo panią aresztuje!

Błędna dama teraz cały swój żal i gorycz wylała na głowę stróża bezpieczeństwa, tak, że był zmuszony odprowadzić ją do komisariatu przy akompaniamencie klątw i wyzwisk, sypiących się, jak z rogu obfitości.

— Gdzie teraz idziemy? — zapytała Róża z zakłopotaniem.

— Nie wiesz gdzie?... spać idę!

— A mnie nie odprowadzisz do domu?

— Ja myślę, że sama trafisz, znasz Warszawę lepiej, niż ja, bo gdzie tylko idziemy, zaraz twoi znajomi cię witają — mówił z ironją w głosie. — Jeżeli nie chcesz spotkać jeszcze jakiej „koleżanki“, to nie wałesajmy się po ulicy... Jak chcesz, możesz razem ze mną udać się do mego pokoju...

— Co do „tego“, to jeszcze nie, muszę się najpierw przekonać, czy mnie naprawdę kochasz, wtedy dopiero oddam się panu bez zastrzeżeń...

— Więc, dobranoc pani! — podał jej rękę — idę spać!

— Co, już naprawdę żegna się pan ze mną? W dze, jak pan mnie kocha, bez żadnego żalu porzuca pan moje towarzystwo — z drgnieniem w głosie wyszeptowała Róża, przytrzymując go za rękę.

— Dobrze, więc poco mamy się kłopotować, mówmy otwarcie, chce pani być moją, to proszę do mego numeru. Cóżbym był za mężczyzną, gdybym się wyrzekał pani jeszcze dzisiejszej nocy? — odezwał się po łobuzersku, mierząc ją okiem znawcy, taksującego towar do nabycia. — Nie chciałbym się mocno zastanawiać, co będzie dalej, jednak mam nieposkromioną chęć „zameldowania“ się u pani, tak mnie pani oczarowała swojemi błyszczącymi oczami.

— Ach tak, ja wiem, że panu się tylko o to rozchodzi, żeby się u mnie „zameldować“... nic więcej. A później... nie chce pan spojrzeć w moją stronę. — Nie ma głupich!

— Więc o co właściwie się pani rozchodzi? Czy mamy stać na ulicy i targować się? Jak widzę, to pani zanadto droży się ze swoją „cnotą“, a ja wcale nie mam zamiaru nalegać na ustępstwa. Więc jeszcze raz dobranoc! Nie mam wcale ochoty znaleźć się na noclegu w komisarjacie, już od paru minut obserwuję mnie „anioł-

stróż“ i kto wie, czy nie przyjdzie mu ochota legitymowania mnie, a ja dziękuję za taką przyjemność, staram się mieć jaknajmniej do czynienia z kochanym urzędem śledczym, wolę być w domu — zakończył szyderczo. chcąc odejść, lecz Róża jeszcze raz zatrzymała go, mówiąc:

— Wie pan co? Pójdę z panem, ale pod jednym warunkiem, musi mi pan dać za to jaki prezent. Jeżeli będziemy ze sobą żyć, to nic pan na tem nie straci, obdarzywszy swą żonę, o ile nie — to nie będzie pan mógł naśmiewać się ze mnie i chwalić się swoim sukcesem przed kolegami. Nie chcę uchodzić za taką naiwną gęś, która się daje „nabrać“ obietnicą życia na wiarę i która wierzy wszystkiemu, co jej się opowiada.

Róża poznała już całą „politykę złodziejską“ względem kobiet jej pokroju. Gdy ona przyjmuje „frajera“, to robi to dla zysku i świat występku nie potępi jej za to, ale gdy ją łączy bezinteresowny stosunek z przedstawicielem tego świata, wiedząc kim on jest, to wówczas jest pogardzana między złodziejami i nazywaną „frajerką“, co dla kobiety lekkich obyczajów sprowadza oplakane następstwa, czyniąc ją przedmiotem drwin. Róża nie miała wcale chęci narażać się na ewentualność otrzymania podobnej nazwy, co uważałaby sobie za wielką obelgę, a co byłoby przeszkodą w uprawianiu raz obranego procederu. Żyjąc w świecie ludzi „podziemnych“, w świecie ludzi nocy, musiała zastosować się do obyczajów, panu-

jących w tej „sferze“ — to było wytyczną jej postępowania, a zresztą nakazem rozsądku i ostrożności. Dlatego też zażądała, by nowy kochanek, będący złodziejem, ofiarował jej ekwiwalent normalnej opłaty, za korzystanie z jej wdzięków...

— Dobrze — zgodził się Dawid — dam pani ten pierścionek, widzi pani, ma dwa karaty czystej wody. Daję go za jedną „kimię“, a potem, jakbyśmy się nie znali. — Zdjął pierścionek z palca. — Proszę! Zgoda?

— O nie, tak nie chcę, za kogo mnie pan ma?! Dlaczego traktuje mnie pan na równi z mojami koleżankami bez żadnej ceremonji, z wynagrodzeniem zgóry? Czyż na tyle nie wzbudziłam w panu uczucia dla mej osoby, byś pan zechciał oszczędzić mi hańby opłacaniem zgóry umówionej ceny? — Mówiła to z wyrzutem w głosie, a w duchu myślała: „Jeżeli on daje mi już taki brylant — to on jest mój. Tylko z mężczyzną trzeba się trochę podrożyć, inaczej oni nas lekceważą“.

Postanowiła udawać, że jego propozycja mocno ją uraziła, a w rzeczy samej powzięła zamiar korzystania z niego tak długo, dopóki będzie posiadał forse. A więc ten prezent miał być wstępem do zamierzonego opróżnienia kieszeni kochanka.

Kochać ta kobieta nie była zdolna, owszem, nienawidziła wszystkich mężczyzn na świecie za swoją hańbę. Przez jednego z synów Adama została w nikczemny sposób uwiedziona, zaufawszy mu z całą naiwnością młodej, nieświadomej

dziewczyny. Zepchnięta na drogę występku i sprzedajnej miłości, zaprzysięgła zemstę wszystkim z powodu nikczemności jednego. Gorączkowo szukała ofiary, by urzeczywistnić swe zamierzenia, a zarazem wykorzystać przedtem swego kochanka, wyciągnąć z niego, co się da.

Kilka miesięcy nędznego życia ulicznej dziewczyny, nauczyło ją wiele, wiedziała już, jak się przedstawia męcząca służba na rogu, poznała już dobrze te „polowania“ na „frajerów“, te nieskończone, uciążliwe spacerki, te czaty na gości. Bywało nieraz, że nie miała nawet „początku“, musiała wracać do domu głodna i zmęczona poszukiwaniem „pracy“. Teraz zmadrzała i żyje zawsze z kochankiem, bo tak się lepiej opłaca — i to ze złodziejem, bo ten jej nie poszle na „róg“, gdyż „złodziejski honor“ nie pozwala mu na to, poza tem, jako kochanka złodzieja, jest szanowana między ludźmi podziemnymi, żaden nie śmiał jej napastować, bo takie są prawa wzajemnej lojalności w świecie kryminalnym. Dlatego to właśnie Roza zaczepiła Dawida i odegrała przed nim komedię miłości, chcąc przykuć go do swej osoby i przytrzymać przy sobie, dopóki nie zostanie doszczętnie ogołocony.

Dodała też po namyśle:

— Już ja nic nie chcę od pana, tylko miłości... nie na jedną „kime“, lecz na zawsze. Rób pan ze mną, co się panu podobą, teraz już wierzę panu zupełnie. Gdzie pan mieszka?... Możemy iść.

— Ja mieszkam na Nalewkach w poko-

jach umeblowanych—odparł Dawid — tam nie będzie nam zbyt wygodnie, może u pani byłoby lepiej?

— O nie, ja mieszkam u starych, pobożnych ludzi. Tam nie można, ale ja mam dobrą „melinę“¹⁾, niech pan zawoła taksówkę; jedziemy na Smocza.

Za kilka minut wchodzili na czwarte piętro, jednego z odrapanych, brudnych domów na Smoczej. Róża trzymała pod ramię Dawida i kierowała jego krokami, po ciemnej klatce schodowej.

— Co tu tak ciemno? Jakaś podejrzana „melina“...

— Nie bój się, kochany, o tu, na czwartym piętrze, na prawo, w te drzwi.

Róża zapukała. Z wnętrza dał się słyszeć cienki, nerwowy głos kobiety: Kto tam?!

— Ja, Róża! Otwórz!

Drzwi otwarły się i Róża ze swym kochankiem weszła do przedpokoju. Buchnął na nich ostry, świdrujący zapach cebuli i ciężkie powietrze długo niewietrzonego mieszkania z dominującą wonią zgnilizny i wilgoci.

Powietrze to stanowiło taki kontrast z rzeźkiem, mroźnym powietrzem, którym niedawno oddychali na ulicy, że Róża na powitanie była zmuszona kichnąć, czem zdawała się dowieść, że nie jest jeszcze przyzwyczajona w zupełności do wonnych zapachów „meliniarskich“.

¹⁾ kryjówka.

Pomimo, że już blisko dwa lata przebywała w tym świecie występku i brudu, nie była jeszcze na tyle nieczuła na nieznośny zaduch, panujący w mieszkaniu, by się nie zdradzić przed „gospodynią“ delikatnością swego noska i nie dać znać po sobie, jak ciężka atmosfera ich przywitała. Znała dobrze tę melinę i jej właścicielkę, która lubiła chwalić się, jak czysto i porządnie utrzymuje mieszkanie i że tylko dla tej „higieniczności“ śmietanka świata kryminalnego u niej gości, z czego czuła się bardzo dumna. Widząc, że Róża złapała się za nos, mimowolnie przybrała dość nieprzychylny wyraz twarzy i zapytała obojętnym tonem:

— Co panią sprowadza do mnie tak późno? Czem mogę służyć? — jednym okiem spoglądając nieufnie na Dawida, taksując jego wygląd, jakby chciała odgadnąć do jakiej kategorii ludzkiej można go zaliczyć i jaka jest jego wartość pieniężna.

Gospodyni była kobietą około czterdziestu pięciu lat, ubrana dosyć pretensjonalnie i z pewną kokieterją. Widać było, że dbała o swój wygląd i starała się komuś podobać. Była wdową bezdzietną, straciwszy małżonka na jednej z wypraw złodziejskich kilka lat temu. Teraz utrzymywała „melinę“, która zamieniała się niekiedy na szulernię. Również niejedną zakochaną parą, znajdowała tu miejsce, gdzie mogła sobie pofolgować.

Róża dobrze wiedziała, że argument pieniężny topił jak wosk jej udaną nieprzy-

chylność i był zdolny zaradzić wszystkiemu. Odciała ją też na bok i szepnęła kilka słów, wyjaśniając, poci przyszła i kim jest jej amant. „Meliniarka“ zmieniła się odrazu do niepoznania i gościnnie ją zapraszała do drugiego pokoju. Wszli tym razem do lepiej oświetlonego i umeblowanego pokoju. Przy stole siedziała już jakaś para zakochanych, rozmawiając półgłosem.

Gospodyni zrobiła ceremonjalny ruch ręką i wyrecytowała, zwracając się do siedzącej pary:

— Mogę przedstawić moich starych znajomych.

— Bardzo nam przyjemnie — odrzekła kobieta — tę panią znam, przyjemnie mi poznać pana — dodała, podając rękę Dawidowi.

— Proszę siadać — odezwała się gospodyni — możecie być jak u siebie w domu, dla Róży wszystko się zrobi...

Róża zdjęła futro i kapelusz, odwołała na stronę gospodynię, z którą poszeptała znów chwilę, gestykulując, jak przy jakiejś transakcji, poczem Róża podeszła do Dawida, który przez ten czas zdążył ulokować się na jakimś niepewnym krześle i przypatrywał się poznanej przed chwilą parze.

— Możesz się położyć spać — rzekła Róża — widzę, że ci się oczy kleją.

Spojrzał na nią, a potem oczami wskazał na rozmawiających kochanków. Podchwytując to spojrzenie młoda kobieta ze śmiechem zwróciła się do niego:

— Nie wstydz się pan, tu wszyscy „swoi” — a zwracając się do Róży, zagadnęła ją z odcieniem zazdrości w głosie: — Skąd wytrzasnąłeś takiego „Herkulesa”? Aż miło patrzeć... masz gust... zawsze tylko zdrowych, ładnych mężczyzn masz szczęście werbować. Mój suchotnik — mówiła, pokazując na swego kochanka — to do niczego, żywy trup, tylko stale kaszle.

Jakby dla potwierdzenia tych słów, już niemłody, zmizerowany mężczyzna zakaszał tak boleśnie, że długo nie mógł złapać tchu, tylko swe wielkie oczy utkwił w twarzy swej towarzyszki z jakimś niewymownym wyrazem wyrzutu i żalu. Ona zaś spoglądała na niego z pogardą i lekceważeniem, nie litując się zupełnie nad jego smutnym stanem.

Dawidowi zrobiło się żal tego chorego widocznie człowieka. Wstał więc i podał mu szklanę wody. Chory wypił, nic nie mówiąc, dziękując tylko oczami, a do swej towarzyszki odezwał się:

— Tak, moja kochana, masz rację, jestem żywy trup, do niczego, ale nie z mojej winy... już niedługo to potrwa... marzec niedaleko...

Kobieta odpowiedziała cynicznie:

— Dla mojej przyjemności może już jutro być marzec i tak mam już innego — śmiała mu się prosto w oczy.

Róża i Dawid przyglądali się w milczeniu tej niedobrej parze. Gospodyni pośpieszyła objaśnić.

— Nie zwracajcie uwagi na ich kłótnie,

oni się stale tak przekomarzają, a rzeczywiście kochają się i żyją ze sobą od dziesięciu lat. Możecie się kłaść spać, już po północy, a ja mam jutro dużo pracy, muszę rano wstać... A zgaście światło! — do dała odchodząc.

Dawid, używający całej swej siły woli, by nie usnąć na krześle, wyczerpany trzema niespanemi nocami, rozebrał się, położył się do łóżka i momentalnie usnął.

III.

Róża usiadła na brzegu łóżka, przy kochanku i rozmawiając z kobietą, szybko rozebrała się i wsunęła pod kołdrę, nie budząc tem jednakże Dawida. Mimo to nie sądzonem mu widać było długo wysypiać się, bo wkrótce głośny śmiech z sąsiedniego łóżka przebudził go.

— Co to za hałas — odezwał się sennie — nie można spać.

W tej chwili Róża objęła go za szyję i lekko pocałowała w czoło, co nakszałt mocnego trunku, uderzyło mu do głowy. Objął ją wpół, przyciskając do siebie tak mocno, że aż krzyknęła z bólu, a on, już nie panował nad sobą. W głowie zaszumiało, war krwi uderzył do mózgu, nic nie czuł teraz, oprócz ciała obnażonej kochanki. Palce jego nerwowo błędziły po jej ciepłych kształtach, a pragnienie wiecznego trwania tego miłosnego uścisku, sformowało się w jego umyśle, jako najwyższe szczęście... Twarz Róży zmieniła się

do niepoznania, z pod półprzymkniętych powiek, świeciły jej rozgorzałe źrenice i błyskały białka jej oczu — była zachwycająca. Przycisnęła go z wszystkich sił do siebie i zwarli się ze sobą w jedną drżącą całość. I ona pragnęła w tej chwili, by ten uścisk trwał wieki...

— Kochasz mnie?... — szepnęła, mrużąc oczy rozkosznie.

— Tak, szalenie... wyszeptał drżącym głosem.

— I nigdy już się nie rozłączymy. mój drogi — szeptała ona, nie bardzo wierząc w te swoje słowa.

Dawid ostygł powoli z zapału i, przechodząc do przytomności, rozmyślał na zimno o tej swej miłości obecnej, wywołującej wspomnienie tej jego dawnej miłości z kobietą, którą swojego czasu gotów był uważać za ideał, a która tak strasznie go zawiodła, sprzedała i sprowadziła tragiczny, ponury epilog — cztery lata ciężkiego więzienia.

I przypomniał sobie, że tak samo czuł się szczęśliwym w objęciach tamtej i tak samo głowę stracił w napadzie obłędnej miłości. Tak samo sobie poprzysięgali do zgonną wierność i miłość. Może... tak samo, jak wówczas będzie i teraz zdradzony.

Mimowoli spojrzął na Różę. Udawała, że śpi, lub wypoczywa z zamkniętymi oczami. Przyglądał jej się bacznie, jakby chciał wedrzeć się do jej duszy i zbadać, co tam się mieści: zdrada, czy miłość i od-danie?

Róża leżała nawznak i waziutkiemi szparkami niedomkniętych powiek śledziła wyraz twarzy kochanka. Odgadła, że myśli o niej i ze swej strony rozważała:

„Możesz sobie o mnie myśleć, co ci się tylko podoba, źle albo dobrze, to mi jest obojętne, wystarczy, iż wiem, że mi się nie wymkniesz z rąk, dopóki mi się nie sprzykrzysz i me oskubię cię z „forsy“.

Róża była pewna wygranej, gdyż przekonała się nieraz, jak łatwo jej przychodzi, dzięki swej urodzie, ovladnąć mężczyznę, na którym jej zależy. Trzeba mu dać tylko zakosztować rozkoszy miłości, a zostanie z pewnością jej niewolnikiem, stanie się jej własnością niepodzielną.

I teraz była pewna, że wygrała tę stawkę, rzucając cały zapas rozkoszy i spoić go nią do utraty... trzeźwości.

Udało jej się to znakomicie. Dawid myślał już o niej czule i miłośnie, jak o swej żonie, o wiernym i oddanym przyjacielu. Uszczęśliwić ją, osłodzić jej życie, było teraz jego jedyną myślą w stosunku do niej. Patrzył w twarz jej z zachwytem i na pięknie wykrojonych jej ustach złożył serdeczny pocałunek.

Udała, że się przebudza, spojrzała, niby nie zdając sprawy z tego, co ją zbudziło, współprzymkniętymi oczami.

— Nie śpisz jeszcze, mój drogi? — I nagle zarzuciła mu ręce na szyję, tuląc się do jego piersi. I znów szał ogarnął Dawida. Zaczął całować jej oczy, usta i piersi, bełkocząc zduszonym głosem zaklęcia:

— Wiem, wiem, że mnie kochasz, ja

też cię pokochałem od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem i kochać cię będę zawsze, wiecznie... ty, będziesz ostatnią moją miłością...

Powtarzała najczulsze słowa i przysięgi wiecznej, trwałej miłości. Rozwinęła cały zasób kobiecej kokieterji i przewrotności istoty, zmierzającej przez sztuczną grę do celu... do zemsty. Najwytrawniejsza artystka dramatyczna, mogłaby zazdrościć jej w tym momencie sztuki udawania.

A on, jej kochanek, rozpalony żądzą, zdawał się wierzyć jej zakleciom i przysięgom i zdawał się być szczęśliwym. I rzeczywiście był całkiem pod jej urokiem i kapał się z rozkoszą w cudownym źródłu miłości. Znużona i znudzona swą grą, zasnęła wreszcie na dobre.

Dawid jednak, po ostatnim napadzie szału miłosnego, choć czuł potrzebę snu i wypoczynku, nie mógł usnąć. Wzburzona krew przez długi czas nie mogła uspokoić się. Począł rozmyślać nad swą miłosną przygodą. Czuł, że jest bezsilny wobec tej kobiety i że nie będzie mógł oprzeć się jej wymaganiom, zachciankom i kaprysom, zastanowił się więc, czy potrafi ją utrzymać i to po „złodziejsku“, czy będzie mógł sobie pozwolić na luksus posiadania stałej kochanki i do tego tak pięknej i kto wie jak wymagającej... Ciężkie czasy, a w jego fachu jest dużo „bezrobotnych“... A nawet, gdyby zaspakajał jej wszystkie potrzeby i wymagania, któż może zareczyć, że go nie zdradzi, jak tamta? Żałował już w duchu, że nie do-

trzymał postanowienia, by nie brać kochanki, lecz cofać się było zapóźno.

— Datem słowo, gdzież „honor złodziejski“? Trudno! Co ma być, niech będzie. Będzie się dobrze sprawować, to zostanie i żona...

W pokoju panowała cisza, tylko od czasu do czasu z poza lekkiego przepierzenia, odgradzającego część pokoju, słychać było kaszel suchotnika i narzekania kobiety.

Dawid wstał ostrożnie z łóżka, starając się nie zbudzić Rózy i zairzał do drugiego pokoju. Światło księżycza zalało srebrno-złotym potokiem łóżko kochanków i oświecało, białą, nieżywą twarz młodego człowieka.

Kobieta, spoczywająca obok, nie spała, narzekając cicho na swój los, na długie noce zimowe, na to, że jej zimno i że z niej całą koldre ściąga.

Dawid przyglądał się jej, nie będąc przez nią zauważonym. Kobieta ta, choć niemłoda już, była jednak niebrzydka i dobrej tuszy. Kochanek wyglądał przy niej, jak deska przy kłocu. Tu przypomniał sobie jego słowa: „Masz rację, jestem żywy trup, do niczego, ale nie z mojej winy“ i gorcz. jaką odczuł w tonie słów: „Już marzec niedaleko“. Potem przyszło mu na myśl, że przecież ten kościotrup musiał być kiedyś zdrowym i silnym mężczyzną, skoro ta jego kochanka zaczęła żyć z nim, a teraz — całą jego nadzieją i perspektywą — marzec. Zastanowiło go to, że ona tak do-

brze wgląda, tak się doskonale „zakonserwowała” przy swoim suchotniku.

„Pewno ona ma jego ciało na sobie, a krew z niego wypła” — myślał. „A może i Róża jest taką samą pijawką, ale dla czego gospodyni twierdziła, że oni się kochają i że żyją ze sobą dziesięć lat” — rozważał.

Nie mógł zrozumieć, co mogło łączyć ze sobą te dwie istoty, przeczuwał jakąś niezwykłą historię i postanowił sobie rozwiązać tę zagadkę.

Siadł zpowrotem na brzegu łóżka i siedział bez ruchu, pogrążwszy się w rozmyśleniach. Nie zauważył, jak kobieta, którą przed chwilą obserwował, wstała z łóżka i przesunawszy się bezszelestnie przez drzwi przepierzenia, stanęła nagle przed nim w krótkiej do kolan koszuli, która w następnym momencie zsunęła się z niej na podłogę.

Obnażona kobieta trąciła go lekko, gestem wzywając go na kanapkę z porzucaną garderobą, mającą w ciemnym kącie pokoju.

Księżyc swym martwym blaskiem, oświecał jej wspaniałe, pełne piersi, jedwabny połysk ciała, jędrne, sprężyste uda i rozrośnięte, szerokie biodra.

Patrzył na nią, nie chcąc wierzyć oczom, niepewny czy śni, czy jest przytomny, a ona kusila go ponętными wdziękami: rytmicznymi, bezwstydnymi przebiegami swego ciała.

Stała tak kilka chwil, znowu zbliżyła

się ku niemu i widząc, że się nie rusza, pociągnęła go za sobą.

Wtem dał się słyszeć gwałtowny kaszel i kobieta pospiesznie znikła za ścianą przepierzenia, rzucając pogardliwe spojrzenie niezdecydowanemu Dawidowi.

— Co tak się kręcisz, zdechlaku! — było słychać podrażniony głos kobiety. — Nie mogę zasnąć przez ciebie. Musiałam wychodzić z łóżka, żeby swobodnie odechnąć, a tu zimno w tem mieszkaniu, że pies by się z łańcucha urwał, a ja muszę leżeć przy takim zimnym trupie. Kiedy już będzie koniec mojej meki...

Dawid siedział dalej na łóżku i przysłuchiwał się temu narzekaniu kobiety. Poczul wstret do wszystkich cór Ewy, chociaż z drugiej strony bawiło go sprytne postępowanie niefortunnej poszukiwaczki nocnych wrażeń i jej wybiegi słowne i cynizm z jakim gderala na niespokojnego kochanka.

„A może to była obmyślona zasadzka, by wytoczyć „dintojre“ i wyciągnąć pieniądze, jako odszkodowanie?“ — myślał Dawid.

Wiedział, że w świecie, do którego należał, takie afery często się praktykują, a kochanka lub żona stanowi zgodną współniczkę swego męża, lub kochanka w podobnym interesie. Żądania pokrzywdzonych bywają nieraz tak wygórowane, że lekkomyślny amant, nie rozporządzając sumą żądanej wysokości, płaci często zdrowiem lub życiem za wwrządzoną „krzywdę“. A suma, którą „dintojra“ wy-

znacza, zależy od tego, do jakiej kategorii przestępców pokrzywdzony należy, im bowiem jest bardziej ceniony, tem większa kara i odszkodowanie obciąża uwodziciela.

Był więc zadowolony, że zapanował nad sobą i nie dał się skusić.

„Kto wie, co ona za jedna, a jej kochanek, być może, należy do asów kunsztu złodziejskiego — miałbym niezły kram“ — zakończył rozmyślenia na ten temat.

Położył się na nowo obok Rózy, leżał nawznak, a pod znużonemi powiekami, przesuwiał mu się ponownie obraz nagiej kobiety, gnącej się zmysłowo i wabiącej go ku kanapie. Starał się myśleć o czem innym, lecz rozbujanej wyobraźni nie mógł długi czas uspokoić: zjawia natretnie wracała mu przed zamknięte oczy, rozpalając w nim pożądliwość. Objął nagie, ciepłe ciało Rózy i tulił ją do siebie z całej siły, nie zważając na sen kochanki. Przebudzona, nie stawiała oporu, poddając się z rezygnacją rozespania istnej burzy namiętności.

— Jak chcesz, to możemy zamieszkać tu na stałe, widze, że ci smakuje to „spanie“, no, ale teraz już śpijmy, bo niedługo ranek — wyszeptala przyciskając się gorąco do kochanka.

IV.

— Róża, już dziesiąta, a wv jeszcze śpisz — wołała wesoło gospodyni — niedo-

brze tak przedłużyć pierwszą miodową noc, bo wam to prędko obrzydnie. Oj, ja wam to mówię z własnego doświadczenia... — śmiała się niewiedomo z czego zadowolona, znikając za drzwiami swego pokoju.

Ta wizyta gospodyni przebudziła Dawida; zdążył dosłyszeć koniec rozmowy, a zwłaszcza słowa Róży:

— Mężczyźni są wszyscy niewdzięcznikami, nie znają się na naszych dobrych chęciach i miłości, prędko zapominają o naszych ofiarach i wyrzekają się nas przy najmniejszej okazji, choć nam zawdzięczają rozkosz. Zawsze jakąś pretensję potrafią znaleźć, żeby się nas pozbyć, jak już się nasycą dostatecznie.

— O, już i mój sułtan otworzył oczy — zwróciła się do kochanka uśmiechnięta — słyszałeś pewnie, co mówiłam o was, mężczyznach, ale nie gniewaj się, mój drogi, są wyjątki i ty nim jesteś z pewnością, wierzę w to — dokończyła, całując go.

Dawid nie odpowiedział nic i zaczął się pospiesznie ubierać, widząc, że zarówno suchotnik, jak i jego kochanka już powstał i kręcili się po pokoju, co go krepowało przy wstawaniu z łóżka. Suchotnik siedział przytulony do pieca i tylko jego blada twarz, wynurzała się z ciemnego koca, którym był okryty. Czarnemi, szklącemi się chorobliwym blaskiem oczami, śledził ze swego kąta ruchy Dawida, którego to lekko niepokoiło, mógłby bowiem być podejrzany przez chorego, jako jego rywal, do czego w pewnym stop-

niu upoważniała nocna wędrowka żony. A ta również, krzątając się po mieszkaniu, rzucała nieznacznie spojrzenia w stronę Dawida, co nie uszło uwagi Róży, przeczuwającej w niej swą rywalke.

Mimo nienawistnych spojrzeń, skierowanych na siebie, Dawid postanowił w duchu pomówić z chorym, którego mu było żal. Coraz dźwięczały mu w uszach słowa: „Już nie daleko marzec” i litościwym wzrokiem odpowiedział na pogróżki zawarte w spojrzeniach chorego, mówiąc mu bez słów, że jest jego przyjacielem. Tamten spuścił oczy zawstydzony widocznie, a potem podniósł je znowu, ale teraz były to oczy zasłane łzami, a wzrok jego wyrażał cierpienie. Nieświadomie zawarli rodzaj niemego porozumienia, odgadli w sobie pokrewne duchy.

Róża prędko i zrecznie, ubrała się i umyła, a potem podała Dawidowi miednicę z wodą, mydło i ręcznik, a sama stanęła przed lustrem i zaczęła rozczesywać włosy faliście spadające aż do kolan. Czesła je powoli, jakby chcąc je sprezentować i wzbudzić zachwyt nad ich pięknoscią. Ta druga obrzucała jej gesty, bujny płaszcz z włosów zazdrośnem, złośliwym spojrzeniem i sądząc, że Róża świadomie ją dreczy, dając powód do niezbyt korzystnie dla niej wypadających porównań, zaprzysięgała zemstę swej młodszej i bogatszej we wdzięki rywalce.

— Pozwól-no na chwileczkę Nadzia, możesz mi ułożyć włosy, bo takie długie i tak mi się same karbują, że trudno mi z

niemi poradzić — prosiła Róża, ale spotkała się z zaprawioną żółcią wymówką.

— Daj mi spokój, nie mam czasu, muszę dla mojego zdechlaka przyszykować śniadanie, bo chociaż chory i źle wygląda, zjada za trzech zdrowych.

— Co ci jest Nadzia, że jesteś taka zła? — pytała Róża — nie poznaje swej przyjaciółki, czy się gniewasz na mnie?

— Nie, moja droga — odpowiedziała jej koleżanka — udając łagodny głos, co jej się z trudem udawało — sama na siebie się gniewam, że muszę cierpieć z tym trupem.

Suchotnik otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, lecz napad wściekłego kaszlu, zatargał nim z taką siłą, że wszyscy nawet jego dreczycielka, z przerażeniem i odrazą mimowolną wpatrzyli się w jego pozieleniałą, ziemistą twarz. A chory zanosił się od kaszlu, charcząc: spluwając krwawą flegmą. Jego kochanka zaczęła nagle krzyczeć i tłuc głową o ścianę:

— Ludzie... zlitujcie się... spieszcie po doktora, on umiera... Boże! mój Boże! Co ja nieszczęśliwa poczne teraz bez niego!...

Dawid, widząc tę scenę, złapał kapelusz, chcąc biec po doktora, ale nagle chory zerwał się na nogi, złapał Dawida za rękę i z wysiłkiem dał mu znak głową, że nie potrzebuje wychodzić. Napił się wody i zaczął powoli przychodzić do siebie.

W pokoju zapanowała przykra cisza, tak, że wyraźnie słychać było trzaskanie palącego się drzewa. Kochanka chorego, zdziwiona tem niespodziewanem uspokoi-

jeniem się jego, stała nieruchoma i przestraszona, podczas, gdy on obrzucał ją pogardliwym spojrzeniem, odejmując jej zwykłą wymowę. Przeczynała, że on ma na myśl ubiegłą noc i parę razy otwierała usta, chcąc mu poradzić, żeby trzymał język za zębami, lecz stało się tak, że to on właśnie nakazał wzrokiem jej milczenie, skinął na Dawida, by szedł z nim do drugiego pokoju i zniknął pierwszy za drzwiami. Kochanka chorego zastąpiła drogę Dawidowi:

— Nie chodź pan z nim, proszę pana, on może panu krzywdę zrobić, tak jest zawzięty, chociaż ledwo łązi.

Tłumaczyła swą obawę, w duchu nie tyle obawiając się o niego, co o siebie. Od chwili ujżenia Dawida powzięła decyzję odbicia go swej koleżance i zwabienia go ku sobie, zależało więc jej na tem, by jej chory i rozgoryczony kochanek nie przedstawił mu jej w złem świetle, utrudniając, albo wręcz uniemożliwiając dokonanie zamierzonego podboju. W tej samej chwili suchotnik wyjrzał z pokoju, podszedł do swej kochanki i odepchnął ją z taką siłą, że się zatoczyła pod ścianę. Trup odżył i przybrał groźną postawę — pociągnął Dawida do środka, zamykając drzwi za sobą.

Dawid był zdziwiony tą niespodziewaną siłą i energią chorego i zaintrygowany, co też usłyszy od niego.

Suchotnik wskazał na krzesło, a sam zaczął spacerować po pokoju, mrużąc sam do siebie, jakby przygotowywał przemowę. Po sposobie, w jaki chory biegł po

pokoju. Dawid poznał, że ma do czynienia z człowiekiem, który poznał więzienie i miał napewno nieraz sposobność siedzieć w pojedynczej celi, poznał w nim kolegę po fachu.

Kiedy obaj mężczyźni zniknęli za drzwiami, Róża do tego stopnia przeleciała się o los kochanka, że chciała już biec po policję, czemu jednak przeszkodziła gospodym, mówiąc, że odkąd tu mieszka, policja nie odwiedzała jej lokalu i nie życzy sobie, żeby go właśnie teraz odwiedzała, cokolwiek się tu miało dziać.

— A zresztą ten twój jedną ręką zdusiłby go, gdyby chciał mu wyrządzić jaką krzywdę — wyperswadowała niespokojnej kochance.

Tylko kochanka chorego przysłuchiwała się z niepokojem odgłosom z wnętrza, pragnąc coś podsłuchać i tylko ona jedna wiedziała, jak strasznym bywa suchotnik, gdy go wściekłość podnieca. Słuchać było szybkie nerwowe kroki chorego spacerującego po pokoju, obaj widocznie milczeli. Nagle suchotnik zatrzymał się przed Dawidem, a w reku jego błysnął rewolwer, który przystawił Dawidowi do piersi i rzekł:

— Co przyjacielu, tak przybladłeś, boisz się śmierci?! ha, ha, ha! Właśnie chcę, żebyś się trochę bał i odpowiadał na moje pytania, tobym się liczył ze mną, widząc przed sobą takiego zdechlaka, wydzac przed sobą takiego strachu napędzam, ale to wcale nie przeszkadza, że jeszcze kiedyś zostaniemy przyjaciółmi...

Nagły atak kaszlu przerwał jego mowę, tak, że rewolwer wyleciał mu z ręki. Dawid patrzył na niego i litość go zdjęła na ten widok. Podniósł rewolwer i położył na stole. Nalał wody w szklanke i przytrzymując go, by nie upadł w napadzie konwulsyjnych drgawek, podał mu wodę, sadzając na krześle i przytrzymując zwinietą bezwładnie głowę.

Po chwili chory przyszedł do siebie i pierwsze jego przytomne spojrzenie padło na browning, leżący spokojnie na stole. Uczuł swoją bezsilność, popatrzył przez chwilę na przeciwnika i zrezygnowany, opuścił głowę bezwładnie na piersi, jak ktoś, kto zdaje się na łaskę losu. Wreszcie przemówił tonem przekonywującym i twardym:

— Widzę, że nie mam do czynienia z tchórzem i frajerem, powiedz mi więc, kto jesteś? Jakie masz przywilegi między „naszymi“, bo przed chwilą przekonałeś mnie, że „nasz“ jesteś. Postąpiłeś ze mną prawdziwie „po złodziejsku“, bo nie skorzystałeś ze swojej przewagi, jak mnie „maszyna“ wypadła z ręki, nie schowałeś jej, a ratowałeś mnie, chociaż ci przed minutą groziłem. Żeby nie ty, to bym się był udusił przeklętym kaszlem. Chcę wiedzieć, kim jesteś, a później ci opowiem, co mnie zmusiło do tego kroku przeciw tobie.

— Między „naszymi“ jestem zwany Dawid „Nachalnik“.

— „Nachalnik“? — wykrzyknął suchotnik, widocznie podniecony, zrywając się

z fotela i wyciągnął obie ręce do Dawida z rozczuleniem w głosie mówił:

— Tak, tylko Dawid „Nachalnik“ mógł tak postąpić ze mną, słyszałem dużo o tobie. To ty należałeś do tej „roboty“ w Lipsku, w trzynastym roku „na brył“ z Antkiem „Warjatem“, zrobiliście tego jubilera... pamiętam... — wspominał z ożywieniem lepsze złodziejskie czasy, — wiem, jak to było — ciągnął — bo ja też „chodziłem“ przez pewien czas z Antkiem, ale potem musiałem wyjechać do Moskwy i rozstaliśmy się. W czasie wojny spotkałem się z nim w Kijowie: dużo mi opowiadał o twojej odwadze i talencie — tak, tak... nie kłamał... masz prawdziwy „złodziejski charakter“.

Teraz powiem ci, kto ja jestem, a raczej kim byłem, bo teraz jestem... zwywy trup, jak ona mnie nazywa, ten mój zły duch, — tu zaciął się i nerwowo zacisnął ręce. — jak tylko o mej pomyśle, zaraz mnie wściekłość ogarnia. Tak, jestem pewny, że o mnie słyszałeś... jestem Felek Smok... tak, byłem kiedyś dobrze znany szczególnie moskiewskim „tajniakom“¹⁾ i „grodowym“²⁾, widzę po tobie, że znane ci moje przezwisko, tak „Smokiem“ byłem kiedyś dla swoich wrogów, a teraz... patrz, co ze mnie się zrobiło. — Znów kaszel wstrząsnął nim gwałtownie, przerywając opowiadanie.

¹⁾ tajni agencji policji.

²⁾ policjanci.

Dawid przyglądał mu się teraz z natężeniem i stwierdził, że rzeczywiście to był „Felek Smok”, poznał go, przypomniał sobie: widział go w Berlinie, trzeba mu to przypomnieć — myślał. „Nigdybym nie uwierzył, że „Smok” tak kiepsko stoi, tak marnie wygląda... tak, to jest koniec marny złodziejskiego życia... albo umiera w więzieniu, jak go gdzie nie zabiją, albo zdycha w nędzy, z nadmiaru użycia kobiet i alkoholu... i mnie, taki koniec czeka, jak nie gorszy jeszcze... to napewno mało lepszy, jeżeli nie rzuć ten przeklęty „chleb”. I dalej rozważał na prędce: „Skąd ten człowiek doszedł do tej ruin, on, co miał dwa domy trzypiętrowe w Odesie, że teraz dogorywa w tej cuchnącej melinie?” — a kiedy chory uspokoił się, zagadnął go:

— Co, nie poznajesz mnie? Coprawda byłem wtedy „mikrus”³⁾ — pamiętasz, w Berlinie na „melinie” u Zelmana „Kozy”? Ja byłem z wami... Zelman, wziął mnie na ten „kaber”⁴⁾ w tym kantorze na Minstrasse, bo tam trzeba było „mikrusa”.

— A, tak, tak, przypominam sobie... to ty byłeś — zgodził się suchotnik — ja wtedy już mówiłem Zelmanowi, że z ciebie będzie dobry „Urke” i nie omyliłem się. No teraz jestem przekonany, że niesłusznie podejrzewałem cie — rozumiesz mnie,

³⁾ chłopiec.

⁴⁾ włamanie przez otwór w murze.

o czym myślę? W nocy widziałem wszystko i myślałem, że i ty uległeś jej szatańskim pokusom i byłem gotów mścić się, a nie wahałbym się wcale, dać ci w „leb“, nie porozumiewając się z tobą na ten temat, żeby nie współczucie z jakim się spotkałem z twojej strony i nie ta szklanka wody, którą mi podałeś. Miarkowałem od początku, że musisz być z „naszych“, ale i to nie powstrzymałoby mnie, żeby was oboje zabić, tylko, że ta wizyta, za krótko trwała i przerwałem ją mimowoli... a ta jej przewrotność i tłumaczenie się z tej nocnej wycieczki...

— Przez tego demona, niesytego wiecznie, byłbym ci życie odebrał. O, bo zazdrość nie wygasła we mnie... choć niezdolny jestem używać jej, jak to dawniej czyniłem... nie mogę czerpać dalej tej rozkoszy, którą dawniej upajałem się, jak winem. Ale cóż... choroba moja, nie zabiła we mnie pragnienia posiadania jej, nie zniweczyła zazdrości, która i obecnie potrafi doprowadzić mnie do szaleństwa. Pożądaj jej... tak, że gdybym mógł... gwałciłbym ją wzrokiem... nie daję jej wychodzić, ani na krok z domu, wiem, że chce mnie się pozbyć, podła... Chcę ci opowiedzieć, jakim to sposobem wyhodowałem sobie te żmije, tylko, żeby już raz skończyć z tą nocną przygodą, daj mi jeszcze „złodziejskie słowo honoru“, że nic z nią nie miałeś w nocy...

— Nie miałem i nie będę miał — odparł Dawid — przecież widziałeś, że jestem z kobietą!

— Tak, widziałem tę twoją, żeby tylko

nie zrobiła z ciebie takiej jak ja ofiary... bądź ostrożny... niejeden już zginął przez te wściekłe, nienasycone samice. Kiedy poznałem moją, wydało mi się, że znalazłem swój ideał, a teraz — przeklinam chwilę, w której ją pierwszy raz zobaczyłem. Wiesz pewnie, że stale mieszkałem w Odesie, na Mołdawskiej we własnym domu, oprócz którego miałem jeszcze drugą, ładną kamienicę — stać mnie było na pięćdziesiąt tysięcy rubli, a drugie tyle miałem gotówką. Zarabiałem dobrze, jeździłem za interesami zagranicę i wracałem zazwyczaj szczęśliwie. Mało siedziałem w więzieniach, bo wiesz, kto miał w Rosji „blaty“¹⁾, nie siedział, można było wszystko zrobić.

Dobrze mi się powodziło i dotychczas bym dobrze żył, żeby nie trafił, że zapoznałem tego demona. Było to na początku czternastego roku, ona miała wtedy osiemnaście lat i od kilku miesięcy była mężatką. Skoro tylko zobaczyłem ją, zakochałem się w niej na zabój i próbowałem ją zdobyć dla siebie. Obiecała mi żyć ze mną pod warunkiem, że ją uwolnię od męża. On był mechanikiem w fabryce kas pancernych. Namawiałem go, żeby rzucił to głupie zajęcie za 20 rubli tygodniowo, a żeby się wziął do prucia kas, które teraz reperował, to będzie mógł zdobyć tysiące. Z początku nie chciał mnie słuchać, bo był to zresztą poczciwy, ale głupi

¹⁾ Pieniądze.

„kacap“, frajer jakich wielu. Udało mi się nawiązać z nią bliższe stosunki i namawiałem ją, żeby nakłoniła swego męża do przystąpienia do naszej szajki. Rozumiałem dobrze korzyści z tego: po pierwsze, mógłbym otwarcie przychodzić do swej kochanki, pod pozorem omawiania interesów, po drugie, był dobrym mechanikiem, specjalistą od kas, człowiekiem, na którym nam zależało, od którego potrzebowaliśmy wydobyć niektóre sekrety, odnoszące się do najnowszej techniki budowy kas i skarbców. Nareszcie żona zwyciężyła; kochał ją nad życie i chciał jej dogodzić, zdobywając za wszelką cenę pieniądze.

— Początkowo nie domyślał się naszego stosunku, a później, jak się do nas przyłączył i „obszemrał“¹⁾, jak współnik i „kasowiec“, zaczął rozumieć powoli, co było powodem, że wciągnąłem go do naszej „paczki“, a ona, już wcale nie zwracała na niego uwagi i otwarcie zdradzała go ze mną, tak, że kiedy, pewnego razu, on jej powiedział, że być może jestem „zasypany“²⁾ w „interesie“, bo rano miałem być, a ja właśnie w tej chwili przybyłem do nich, to ona ujrzawszy mnie całego i zdrowego, rzuciła się do mnie i bez żenady, pocałowała mnie, wołając uszczęśliwiona: „Ach, mój“.. i urwała, nie kończąc zdania. Spojrzałem na jej męża — był blady, jak trup

¹⁾ Obeznał.

²⁾ Zaaresztowany.

i nic nie mówiąc, wybiegł z mieszkania. Zacząłem robić jej wymówki, że zdradziła nas, nie panując nad sobą. Na to zaczęła mnie całować, mówiąc:

„Nie gniewaj się na mnie, mój drogi, nie mogę dalej tak żyć i być żoną dla dwóch, chcę tylko ciebie“. Starąłem się jej wytłómaczyć, że jest jego prawowitą małżonką i że nas dzieli chiński mur — religja, której ja nie zmienię, była bowiem prawosławną i wreszcie on może ją zmusić, żeby z nim żyła. A ona mi na to, że ją „religja“ wcale nie obchodzi i że dziś może opuścić ten dom i ze mną wyjechać. Zwróciłem jej uwagę, że on może nam przeszkadzać w urzeczywistnieniu naszych planów. A ona na to: „Zabij go“. Oburzyłem się na to, tak, że zaczęła płakać, oświadczając, że jej widocznie nie Kocham, skoro nie chce jej uwolnić od niego. Obiecałem, że ją uwolnię w inny sposób, że potem pojedziemy do Moskwy i żeby teraz, nic nie biorąc z domu, szła ze mną, tak jak stoi. Rzuciła mi się w objęcia, obsypała całusami, cieszyła się jak dziecko i zapewniała mnie, że czuje się szczęśliwą, jak nigdy. Ale ja, mój bracie, muszę trochę przerwać, bo mi tchu zabrakło.

Dawid, przez cały czas opowiadania suchotnika, nie spuszczał z niego oczu, słuchając uważnie. Słyszał już coś niecoś o tem, interesowało go więc posłuchać teraz z ust samego bohatera, historję jego miłości.

— No, słuchaj dalej, bracie — zaczął

znowu suchotnik — ale może ja cię nudzę, albo nie masz czasu?

— O nie, bardzo mnie to interesuje... słyszałem, że ty miałaś „kapować”¹⁾ na jej męża i że dałaś mu pięć lat „chleba”.

Na ten zarzut chory zbladł jak płótno i wyszeptał z trudem:

— Ja, „kapuś?!”.

Widocznem było, że ten zarzut uczynił na nim wielkie wrażenie: oczy iskrzyły mu się złowrogo i zaciskał chude pięści, z trudem oddychał.

Dawid zaczął go uspakajać, zapewniając, że nie wierzy tym posądzeniom i prosił, żeby opowiadał dalej.

— Może być, że mnie już nie długo wegetować marnie, wiem i czuję, że wkrótce rozstanę się z tem przekletem życiem i ta jedna, jedyna myśl tkwi w moim mózgu, ta myśl o nieuniknionej śmierci, wgryza się w mą świadomość i toczy ją jak czerw drzewo: ta straszna, bolesna myśl nie pozwala mi zastanowić się nad czem innym, tak muszę odejść... czuję zbliżający się koniec, ale muszę wraz z sobą pociągnąć ją... w otchłań śmierci, muszę się zemścić... — dokończył, charcząc i grożąc zaciśniętą, wzniesioną pięścią.

— Więc, gdzie ja tam jestem, aha! tak, zabrałem ją z domu — zaprowadziłem na „meline”, bo nie chciałem jej od razu zabierać do swego domu, myślałem bowiem, że mąż jej wyda mi wojnę. Spodziewałem

¹⁾ Zdradzić.

się „dintojry“, albo zemsty z jego strony. „Dintojry“ się nie bałem. bo, wiesz dobrze, jak złodziei ma sprawę z „frajerem“, musi zawsze wygrać. ale zemsty się bałem. bo frajer był z nami na kilku „robotach“ i mógł nas „lignać“¹⁾. Ale co ty powiesz na to — jeszcze tego samego dnia wieczorem. przyszedł do mnie i winszował mi z powodu mojego podboju, zwycięstwa. Podał mi reke, mówiąc: — „Poco mamy się gniewać. o marna „dziewczynę“, trzymaj ją sobie. ja i tak mam kochankę i wdzięczny ci jestem. żeś mnie uwolnił od niej i od tytułu męża — możemy teraz wynieść na to konto. po „jednym“.

— Patrzyłem na niego z niedowierzaniem, bo wiedziałem, jak bardzo ją kochał. a on do mnie: — „Co takie oczy zrobiłeś? Wiem, że mnie podeirzewasz. tak kochałem ją... dopóki byłem frajerem. bo myślałem, że oprócz żony. nie wolno znać innej kobiety, ale odkąd zostałem waszym wspólnikiem: — gwizdże. na wszystko! Chceż użyć za te lata. spędzone przy ciężkiej pracy: pracowałem we dnie i nocie za te pare rubli. z trudem opędzając biedę. Teraz... wiem przynajmniej. że żyję... „błaty“ płyną jak lód. ze wszystkich stron i żyję, jak Pan Bóg w Odesie. Jem, piję i bawie się. a komóż to mam do zawdzięczenia jak nie tobie: żeby nie ty... dalej pracowałbym po dwanaście godzin dziennie. byłbym „smoluchem“... za to samo

¹⁾ Wydać policji.

wart jesteś, żeby ci żonę odstąpić... — śmiał się na cały głos, a potem dodał: „żebyś wiedział, jaką ładną kochankę już mam, to byś się przekonał, że nie jestem frajerem, odstępując ci żonę. No, dalej, poszlij jeszcze po „liłkup“¹⁾ i „zagryche“²⁾ albo chodźmy do baru amerykańskiego!”

— Pomyślałem — możliwe, że się frajer „obszemrał“³⁾ i gwizdże na wszystko. Poszliśmy pić.

— Uplęnęło ze dwa tygodnie—moja święta kochanka żyła ze mną, jako żona, jej dawny mąż przychodził do mnie, jak dawniej, jakby nigdy nic, chodził z nami kraść i przestałem go zupełnie podejrzewać, widząc go stale wesołym. Pił i używał, jak szalony, co przypisywałem po części jego głupocie, a poza tem, że nigdy nie miał w ręku tyle piemędzy; z jednej tylko „roboty“ dostał „dole“ 20.000 rubli. W przyszłości okazało się, że się myliłem, on tylko zalewał robaka ze zgryzoty i smutku, po stracie swej żony i knuł plany zemsty“.

Odпочzął znowu krótką chwile i dalej mówił.

V.

— Pewnego dnia przyszedł do mnie, w towarzystwie jakiegoś jegomościa, które-

1) Wódka.

2) Zakąski.

3) Obeznał.

go przedstawił jako swego kolegę, z którym kiedyś razem pracował w Moskwie i teraz nadaje na Nikolskiej ulicy „robotę” — bogatego jubilera, gdzie — będzie się można przyzwocicie „odreperować”. Zgodziłem się więc, obiecałem pomówić ze współnikami i dać odpowiedź nazajutrz. Zaczął mi wtedy tłumaczyć, że tam nie trzeba więcej, jak dwóch do środka i jednego na „cynku”¹⁾, a tym, miał być ów nadawca. Nie podejrzewałem ani tego nadawcy, ani mego współnika, a że potrzebowaliśmy wtedy pieniędzy, bo chciałem z „moją” wyjechać do Niemiec, więc sam nalegałem na przyśpieszenie tej „roboty”. Miałem zamiar wysprzedać wszystko i przenieść się za granicę, a tam kupić kino, albo założyć hotel i osiedlić się na stałe, kończąc w ten sposób niebezpieczną karierę złodziejską. Ach, te przekłete pieniądze... zawsze mi ich było mało...

Wyjechaliśmy na drugi dzień. Kończęcej mej nic nie mówiłem, dokąd jadę i po co — zawsze trzymałem się tej zasady, niewtajemniczenia kobiet w swoje interesy zawodowe i radzę ci to samo, choć byłbym może lepiej uczynił, radząc się swojej. Przyjechałem do Moskwy, stanąłem w hotelu Europejskim na placu Teatralnym i w nocy poszedłem oglądać interes. Widać, że ten interes można robić na „kaber”, albo przez korytarz. Z korytarza były drzwi żelazne, zamknięte na dwie

¹⁾ Obserwacja.

sztaby i patentowaną dwuskrzydłową „pietruwę“¹⁾). Rozważyłem, że najlepiej jest robić z korytarza. bo na górze, nad intereselem, była sala tańców, prawie całą noc otwarta, a pod intereselem nie było ani piwnicy, ani żadnego lokalu, tak, że na „kaber“ było niewygodnie.

Z korytarza zaś była tylko ta trudność, że co godzinę przechodził nocny „skower“²⁾ stale zaglądał i sprawdzał, czy „pietruwa“ nie naruszona. Z frontu w żaden sposób nie można było robić. bo akurat naprzeciwko stał „skiel“³⁾ przed jakąś rządową instytucją. Tu musze ci powiedzieć, że interes stał „na widno“, całą noc, a przez wystawę „skower“ też co godzinę zaglądał do środka. Co ty byś zrobił? — zapytał Dawida.

— Niema co, trzeba z korytarza — odparł Dawid.

— Dobrze mówisz, ale powiedz mi, co byś ty zrobił z temi „pietruwami“? „Skower“ stale zaglądał i sprawdzał czy nie naruszone i jakby zobaczył, że „pietruwy“ niema, narobiłby hałasu i „klapa“. A tam „robota“ przy „pudle“⁴⁾ musiała trwać conajmniej dwie godziny, pracując „rakiem“. No wiec?

Dawid spostrzegł, że przy tych „fachowych pytaniach i „uwagach“ twarz su-

1) Zamek.

2) Stróż nocny.

3) Policjant.

4) Kasa.

chotnika zabarwiła się lekkim rumieńcem i rozpogodziła się, jakby odżywając pod tchnieniem dawnych wspomnień; widać „fachowa” namietność nie wygasła doszczętnie w tej ruinie człowieka i złodziejska żyłka zagrała w nim na nowo, kiedy pytaniami swemi chciał się przekonać, czy Dawid jest dobrym „remiecią”¹⁾.

— Ja bym się urządził tak: — odparł Dawid. — Dorobiłbym „pasówki” do „pietrów”. Później trzeba było wpuścić dwóch do środka i zamknąć ich na nowo. Po zrobieniu „pułta” dać „cynk”, temu co został na ulicy, żeby was wypuścił — nalepić papier na szybie wystawowej. A jeżeli „pasówki” nie można dorobić, to trzeba było kupić podobne „pietruwy” i klucze już będą; w najgorszym razie, kiedy nie można dobrać kluczy, trzeba „skasować” stare „pietruwy” i zawiesić podobne, żeby stróż nie mógł się „tropnąć”. No, a wtedy, jak masz interes zamknięty na własną „pietrówę”, to jesteś w domu — możesz zabierać się do roboty.

— „Mołodiec” jesteś. Dobry „remiecia”. Wdę, że znasz się na wszystkim i nie żal umierać, jak tacy, jak ty, zostają zastępcy. Właśnie zrobiłem, jak mówisz. „Pasówki” nie mogłem dorobić, a i takich samych „pietrów” nie mogłem za żadne pieniądze dostać, więc kupiłem podobne. Skasowałem stare i zawiesiłem swoje na próbę, czy „skower”

¹⁾ Majster.

połapie się. Obserwowałem go z kąta, ale nie zauważył tej zamiany: nakręcił zegar, obmacał „pietrówy”, pociągnął i poszedł. Zawolałem spółnika i weszliśmy do środka, a ten „nadawca” zamknął nas i miał czekać na „cvnk” ze środka.

Interes zajmował duże pokoje, z wielu szafami oszklonemi. Na półkach była moc sreber, zegarów i zegarków. Uderzało w oczy, że lepsze, cenniejsze rzeczy były pochowane. „Pudło” było wpuszczone w mur — okazało się „wiedeńska stara marka”, grat. Przystąpiłem bez namysłu do roboty, pracowałem zawzięcie — każda sekunda była tu droga... nagle usłyszałem kroki na korytarzu i zrozumiałem, że „skower” sprawdza zamki. Słyszałem szczęk szarpniętej kłódki, nakrecanie zegara i wreszcie oddalające się powoli kroki.

Wszystko szło dobrze. Pracowaliśmy na zmianę bez przerwy. Nareszcie pierwszy i drugi pancierz został rozpruty. Wspólnik pracował bez zarzutu, ledwo dając się zastąpić przy borowaniu. Za kilka minut puścił ostatni pancierz — „pudło” było zrobione. Kiedy zajrzałem do środka, stanąłem olśniony. Było całe wypełnione złotymi wyrobami jubilerskimi. Niezliczone zegarki, pierścienie, sznury pereł, kolje, brosze i inne rzeczy, poza tem pieniądze w złocie, które na oko mogłem ocenić na jakieś 20.000 „błatów”. drugie tyle w papierach. W jednej z przegródek było pełno drogich kamieni, tak, że kiedy otworzyłem pudełko i rozchyliłem watę, by-

łem prawdziwie olśniony blaskiem i migotliwymi połyskami tych kamieni. Pomyślałem, że tego wystarczy mi na całe życie i zacząłem ładować, co cenniejsze rzeczy do teki i skórzanego worka, bo o zabranu wszystkiego nawet mowy nie było i dałem „cynk“ w oknie.

Cała robota trwała półtorej godziny, mieliśmy jeszcze trzydzieści minut do nadejścia „skowera“. Trzeba się było teraz ulotnić. Dochodziła już czwarta i „miotła“¹⁾ tego domu mógł już wstać do zamiatania ulicy. Upłynęło już kilka minut, jak dałem „cynk“, a współnik nasz jakoś nie zjawiał się. Każda sekunda oczekiwania wydawała się wiekiem, jeszcze kwadrans, a możemy być zgubieni.

Wtem usłyszeliśmy zgrzyt sztab i za chwilę drzwi się otwarły. Wziąłem teczkę, współnik worek i „statki“ i znaleźliśmy się na korytarzy. Wspólnik mówi do mnie:

— Zobacz, czy nie zostawiłeś czego w środku!

— Obmacałem na przedce kieszenie i zdrewniałem z przerażenia — nie miałem portfela z dokumentami. Oddałem mu tekę: wpadłem do środka, szukając portfela w kącie, gdzie się znajdowała cały czas marynarka i futro, które zdałem przy robocie. Znalazłem, biegnę do drzwi, chcę uchylić, a tu ani rusz! Pukam pocichu, może trzyma, — bez rezultatu... cisza...

I tu dopiero błysnęło mi w głowie, że

¹⁾ Stróż domu.

jestem w pułapce, zgubiony. Nie zdążyłem się zorientować, co robić, kiedy usłyszałem ciężkie kroki, zbliżający się do drzwi „skower” przyszedł spełnić swoją funkcję. Włosy stanęły mi dęba — sadziłem, że wszystko spostrzeże. Zdumiałem się. Nakreślił zegar, sprawdził „pietruwy”. jak zawsze i potem oddalił się spokojnie, miarowemi, ciężkiemi krokami. Uprzywodziłem sobie błyskawicznie, że to nie wypadek, że padłem ofiarą wyrafinowanej zemsty mojego „głupiego” współnika, za jakiego go miałem. Teraz rozumiałem całą gorzką prawdę: „Co posiejesz, to zbierzesz!...”.

Zasiałem w jego sercu zemstę i doczekałem się jej plonu. Zrozumiałem teraz wszystko. Kiedy zdjąłem futro, biorąc się do roboty, musiał zauważyć, że w bocznej jego kieszeni tkwi portfel, w którym miałem dokumenty i weksle, wystawione na moje nazwisko. Wyrzucił go skrycie na ziemię, a gdy już byliśmy na korytarzu, przypomniał mi o nim. Było u nas zwyczajem, zwracać jeden drugiemu uwagę, na pozostawione rzeczy po skończonej robocie i to mnie teraz zgubiło. Otworzyłem portfel i z wielkiem zdziwieniem zauważyłem, że oprócz moich papierów znajdują się jeszcze jakieś inne, których poprzednio nie miałem. Przejrzałem je szybko i przekonałem się, że przybyły mi jakieś podejrzané dokumenty spiskowca, informacje o jakichś politycznych zamachach, jakiś protokół : sprawozdanie z tajnego posiedzenia.

— No, no! pomyślałem, ładnego „głupca“ miałem!... Mnie starego „urke“. żeby ktoś tak „skantował“... nie spodziewałbym się po nim czegoś podobnego... Zacząłem palić pośpiesznie kompromitujące papiery jakiegoś „partyjnika“ nad zapalniczką, słusznie rozumując, że te ułatwienia do carskiej szubienicy są mi wcale nie potrzebne.

— A co teraz pocznę? — rozważałem na zimno, jak wydostać się?

— Daremnie wysilałem swój mózg, by coś wymyślić. Poczulem się bezapelacyjnie zgubiony i zdawało mi się, że wszystkie tykające zegary naokoło mnie, zgodnym chórem stwierdzały: Zgu-bio-ny; a jeden z większych zegarów, umieszczony w pięknej, czarnej, rzeźbionej szafce, z dziwaczny-
mi figurami jakichś komediantów na szczycie, potwierdzał niezmordowanie za wszystkiemi najgłośniej: tak! tak! tak! tak!...

— Nie było wyjścia z tej przeklętej pułapki, a już zaczynało dnieć. Mój wzrok padł znowu na wielki brązowy zegar, na ścianie między oknami wystawowemi, na który patrzyłem już raz, dając „cynk“ na ulicę — jego wskazówka stała już na szóstej, dając mi niedwuznacznie do zrozumienia, że minuty mej, względnej wolności, są policzone. Pomimo całej mej roz-wagi, chwyciłem się za głowę i biegałem po pokoju, jak błędny. Kilka razy obszukiwałem wszystkie swoje kieszenie i nie mogłem znaleźć ani jednego „włosa“ angielskiego, które zawsze miałem przy sobie w zapasie. Nawet scyzoryk mi zabrał, pod

pozorem przecięcia sznurków, przy obwiązaniu teki. Kto by przypuścił, że ten frajer jest zdolny tak fachowo i logicznie obmyśleć wszystko, co zmierzało do mego pogwałcenia. Zemścił się!... Stałem i patrzałem przez wystawowe szyby, jak „horodowoj” przechadzał się, pogwizdując tuż przed wystawą, a na drugiej stronie ulicy, dwu mężczyzn rozprawiało z ożywieniem z trzecim w czarnym mundurze i z bączkiem na „furażce”. Palili papierosy, to mi nasunęło myśl, że mogę przecież zapalić papierosa, co też uczyniłem. Palilem i obserwowałem, przesuwane się cienie przechodniów melicznych o tak wczesnej godzinie. Przestałem tak z godzinę czasu, bo kiedy znów spojrzałem na bronzowy zegar, dochodziła ósma. Czarna, wielka wskazówka, nieubłaganie sunęła naprzód — już tylko pięć minut, już tylko dwie... Już słyszeć kroki na korytarzu, może to właściciel nadchodzi. Wtem słyszę jakieś śmiałe, lekkie kroki, zbliżające się do drzwi. Słyszę brzęk kluczy. Za chwilę przenikliwy krzyk kobiecy, rozlega się na korytarzu.

— O, „radi Boga! woory! woory!” — lamentował cienki dyszant kobiecy. Ustyszałem teraz wielkie dudnienie szybkich kroków. Co chwila ktoś chwycił za kłódki i sztaby i poruszał nimi z hałasem. Hałas coraz bardziej wzmagający się na korytarzu doprowadzał mnie do wściekłości i krańcowej rozpaczki, biegałem przy żelaznych drzwiach, jak dzikie zwierzę, oszczone przez ogary, wściekły, na bezna-

dziejność sytuacji, bezradny, wydany na pastwę, na ofiarę tym, tam podnoszącym rwestes.

— Nagle słyszę, jakiś znany głos: „Pozwąt slesaria!” i zarządzenia rozstawienia policji. Przez wystawę zaglądały do środka twarze „horodowych” i dziesiątki gapiów. Znajomy głosik, wydający rozkaz posłania po ślusarza, był głosem starego „tajniaka”, Jegorowa. Poznałem go odrazu, a i on mnie, jak się potem okazało. Byłem zadowolony, że jest już policja — nie będą mnie przynajmniej bili. Usłyszałem łoskot spadających sztab, drzwi się nagle otworzyły na oścież i kilka łuf rewolwerowych skierowało się w mą stronę: — „Ruki w wierch!”

Machinalnie podniosłem rece do góry, nie stawiając bezcelowego oporu. Jegorow przywitał mnie, w sposób w podobnych okolicznościach zwyczajny, poruszając moją familję i rozstawiając po kątach wszystkich krewnych i zrewidowawszy mnie, założył mi kajdanki. Już mieli mnie wyprowadzić, gdy nagle rozległ się spazmatyczny płacz właścicielki, mdlejącej na widok rozbitego i opróżnionego „pudła”. Po chwili Jegorow przyskoczył do mnie. Na twarzy jego malowało się zdziwienie — nie mógł, pojąć w jaki sposób to się stało, że kasa jest okradziona, a ja jestem w środku. Złapał mnie za gardło, jakby chciał udusić: potrząsając mną jak workiem siana — ryczał, żeby mu mówić zaraz jak to się stało. Milczałem jak mur, złagodniał prędko i zaczął mnie prosić, żeby mu opo-

wiedzieć i wyjaśnić wszystko. Milczałem wciąż. „Wziat’ jego i otwiesci w syskno-je!” dał rozkaz — „tam budiet piet’ kak pticzka”. Wyprowadzili mnie.

— Na ulicy zatrzymał się samochód naczelnika urzędu śledczego—przybył on osobście na miejsce wypadku. Zawieźli mnie do biura. Tam już wiesz jak jest. Zaczęło się długie i nudne śledztwo, kiedy przekonali się, że nie uda im się wydobyć ode mnie wszystkich szczegółów włamania, zaczęli mnie bić i zmuszać wszelkimi sposobami do posłuszeństwa i „śpiewu”. Zacząłem symulować warjata, obojętny na wszystko. Nareszcie rozchorowałem się, dostałem silnej gorączki, tak, że nie rozróżniłbym żaby od słonia. Przekonali się że nic ze mnie nie wybija i odesłali mnie do więzienia na „Tagance”. Zamkneli mnie do warjackiego obserwatorium, samego jednego. Tego tylko chciałem. Ułożyłem sobie plan ucieczki, za wszelką cenę. Byłem zdecydowany nawet życiem przypłacić, byle uciec i zemścić się. Żyłem teraz tylko tą myślą o zemście — myślałem o tem po całych nocach. Byłem jeszcze pod śledztwem, a już ona przyjechała do mnie. Nie chciano jej dać „widzenia” ze mną.

Pewnego dnia, na „pragułce”¹⁾ patrze—mój dawny wspólnik spaceruje sam, tam i z powrotem. Nie zauważył mnie, zakaszlałem, a on się obejrzał. Poznał mnie odrazu, ale dałem mu „cynk”, żeby się do mnie

¹⁾ Spacerze.

nie zbliżał, bo mnie „klawisze“ ²⁾ obserwowwały. Zdażyłem mu „gruchnąć“, że „świerkuje“ ³⁾, a on mi odpowiedział, że jest starszym porządkowym w szpitalu, gdzie leżałem. Ucieszyłem się tą nowiną, że o mało się nie zdradziłem — niedaleko od nas spacerował cały oddział, a wiadomo, że „kapusiów“ ⁴⁾ nigdzie nie brakuje.

— Dał mi znać, że przyjdzie do mnie do celi, pod jakimś pozorem. Wróciłem do celi i zaraz popsulem dzwonek. „Klawisz“ przysłał go naprawić. Przyszedł i do „pucu“ nakrzyczał na mnie, grożąc, że mi założy warjacki kaftan, tak, żeby „klawisz“ słyszał i nie „tropnął się“.

— Tu muszę ci powiedzieć, że kiedy przekonałem się, że jestem „zasypany“, wydłubałem z pozostałych w „interesie“ pierścieni trzy kilkukaratowe brylanty i połknąłem je, a po dwóch dniach wydostałem. Wiedziałem, że i w więzieniu mogły mi się przydać. Teraz więc, kiedy przyszedł naprawić dzwonek, prosiłem go, żeby wysłał „gryps“ bokiem do mojej i dałem mu trzy kamienie, żeby mi wszvstko załatwił i „zblatował“ „klawisza“, żeby mi nie dokuczał. Za kilka dni podał mi „bukfel“, wyrznąłem kratę i najechałem. Byłem we własnem ubraniu, ona czekała na mnie na umówionej „melinie“ za „Rogożewskiej Zastawoj“, u mego dawnego przyjaciela i je-

²⁾ Dozorcy.

³⁾ Warjuje.

⁴⁾ Zdrajców.

szcze tej samej nocy wyjechałem z Moskwy razem z nią. Plakała, patrząc na mnie, tak strasznie wyglądałem...

— Pierwsze moje słowo było: „Gdzie jest twój mąż?“... Nie mogła mi na to odpowiedzieć, bo nie pokazał się jej w Odesie. Sprzedałem na prędkę wszystko, co można było spieniężyć i wyruszyłem szukać go, dowiedziałem się bowiem, że wyjechał do Berlina, na kilka dni przed wybuchem wojny światowej. Postanowiłem go ścigać zagranicą, tembardziej, że w Rosji ziemia paliła się mi pod nogami. Po całej Rosji był rozesłany mój „cyferblat“¹⁾ i listy gończe. Wydostałem się z nią na Litwę, a kiedy Niemcy zabrali Suwałki, dostałem się do Berlina i po kilku tygodniach odszukałem go. Mieszkał na Grenadierstrasse na „lewe“ nazwisko. Miałem chęć biec do niego i palnąć mu w łeb, ale zastanowiwszy się, postanowiłem załatwić po cichu nasze porachunki. Dowiedziałem się też, że się ożenił i kupił dom za pół miliona marek, a oprócz tego ma hotel i prowadzi dostatni tryb życia. Zapomniałem ci powiedzieć, że temu „nadawcy“, też nie dał ani grosza z tego interesu, bo kazał mu odnieść „statk“ na „melinę“; a mnie zamknął i ulotnił się...

VI.

— Zastanawiałem się, w jaki sposób doprowadzić do spotkania z nim i wreszcie

¹⁾ Fotografia.

wpadłem na dobry pomysł. Ucharakteryzowałem się, wziąłem ze sobą walizę i udałem się do jego hotelu. Zająłem numer na trzecim piętrze. Idąc po korytarzu z numerowym, ujrzałem go — zmienił się bardzo, ale go poznał, to był on. Z ledwością zapanowałem nad sobą, żeby nie rzucić się na mego. Wszedłem do numeru, obejrzałem pokój i prosiłem służącego, żeby przysłał mi właściciela. Za krótką chwilę drzwi się otworzyły i wszedł on. Spojrzał na mnie i wiesz co? — zauważyłem, że przygląda mi się ze strachem, poznał mnie. Nie było minuty do stracenia. Błyskawicznym ruchem wyjąłem rewolwer i zagroziłem mu, zmuszając żeby usiadł, nic nie mówiąc. Przekreśliłem klucz we drzwiach i zerwałem wąsy i brodę, żeby nie miał najmniejszej wątpliwości, co do mej osoby. Zbladł, jak trup i uśmiechał się blado. Mówię do niego:

— Przyszedłem po moją „dole“ od tego jubilera.

— Dobrze — powiada — mogę ci dać, ile chcesz?

A ja na to:

— Ja, chce twoją duszę, jak ty chciałeś mojej podkładając mi „dokumenty“.

A wiesz, co on mówi?

— Moją duszę?... już dawno ją zabrałeś.

— Tak, on ją musiał kochać, nie zaprzeczał wcale, że się mścił na mnie za żonę. Po chwili znów się odezwał:

„Proszę, nie rób hałasu, bo goście śpią, rób, co chcesz, jestem do twojej dyspozycji“.

— Nigdybym nie dał wiary, że ten frajer jest tak obojętny na śmierć, być może, nie myślał, że go zabije. Nie namyślając się długo, pchnąłem go sztyletem w samo serce, poprawiłem jeszcze kilka razy — nawet nie krzyknął. Wskoczyłem na ulicę, pobiegłem na kwaterę i kazałem „swojej“ spakować rzeczv

— Tej samej nocy wyjechałem do Frankfurtu, a na drugi dzień w „Berliner Tageblatt“ czytałem opis zabójstwa, kończący się pocieszeniem opinji publicznej, że policja jest już na tropie mordercy, który pozostawił na miejscu zbrodni sztuczną brode i wasy.

— Zabójstwo było dokonane, według oświadczenia władz policyjnych, najprawdopodobniej na tle porachunków osobistych, żadnego bowiem śladu rabunku nie znaleziono. Pieniądze i złoty zegarek świadczyły o tem. Zamordowany był właścicielem hotelu, przybył niedawno z Rosji i cieszył się dobrą opinją.

— Robiłem sobie wyrzuty, że źle uczyniłem, porzucając brode i wasy, które kupiłem w Berlinie, i postanowiłem iechać do Wiednia. Zamieszkałem tam u siostry i pozostałem w Wiedniu do dwudziestego roku.

— „Moja robiła teraz ze mną, co chciała, grożąc mi, że mnie wyda policji za zabójstwo jej męża. Ja zamiast zrobić z nią porządek, jak z jej małżonkiem, jeszcze bardziej pokochałem ją, stając się jej bezwonnem narzędziem. Ona tymczasem dokładała wszelkich starań, żeby podtrzymywać

we mnie tę dziką żądze, jaką pałałem ku niej. Nie było tak wyrafinowanych sposobów, którychby nie stosowała w naszych pojedynkach miłosnych, z których, niestety, coraz częściej ona wychodziła zwyciężczynią.

— Zacząłem podupadać na zdrowiu, do tego stopnia, że siostra moja, widząc opłakane skutki naszego pożycia, radziła mi uciekać czempredzej od tego szatana w spódnicy, od tej nienasyconej, rozgranej bestji. Nie mogłem jednak zdobyć się na porzucenie jej.

W dwudziestym roku przyjechaliśmy do Polski — ona tak chciała, żeby mnie wyrwać z pod wpływów mojej siostry. Szaleństwo namiętności dalej królowało nad naszym życiem. Poczulem się chorym na dobre — gruźlica zagroziła memu życiu i w końcu doprowadziła mnie do obecnego stanu.

— Stałem się ścierką, cieniem dawnej istoty i przedmiotem pogardy dla mej „czulej“ kochanki, bo jestem już dla niej nieprzydatny. I wiesz, choć jej nienawidzę i gardzę nią, nie mniej, niż ona mną, jednak kocham ją zarazem bez pamięci i jestem zazdrosny o nią.

— Teraz, kiedy jestem zupełnie bezsilny i lada dzień mogę skończyć z tem życiem, ona nie przestaje wyciskać ze mnie ostatnich soków, siły mi nie dopisują, wymyka się przy lada sposobności na „róg“, by przyłapać sobie „gościa“.

— Kilka razy udało mi się przekonać na-

ocznie o tych jej wycieczkach i dlatego nie puszczam jej teraz od siebie, za co jest wściekła na mnie i nieraz m. dokucza. Boi się mnie porzucić, bo zagroziłem jej, że może dostać z dziesięć lat więzienia, za namowę do zabójstwa jej męża — ja się już więzienia nie boję, dni moje już i tak policzone...

— Teraz ostatnio zaczęła namiętnie grać w „sztosa“, przegrała wiele biżuterji tak, że obecnie musi zdechnąć w tej cuchnącej dziurze. Dziwię się sam, że ja mogłem dopuścić do tego, by kobieta do tego stopnia mnie opanowała, ale teraz jest już zapóźno...

Otarł czoło zroszone kroplistym potem i zakończył:

— Tak, bracie... jesteś jeszcze młody i może ci się przydać, to co ci opowiedziałem. Zapamiętaj sobie, zwłaszcza, że jeżeli chcesz być w życiu szczęśliwy, — nie ufaj żadnej kobiecie. Jesteś jeszcze zbyt młody, by poznać osobiście ich przewrotność. Nie daj zapanować nad sobą kobiecie, bo skończysz marnie, jak ja...

Podniósł się z krzesła, przekreślił klucz i roztworzył drzwi. Dawid chciał teraz z kolei opowiedzieć historję swojej tragicznie zakończonej miłości, ale przez otwarte drzwi weszła kochanka suchotnika, która obrzucając go przenikliwym spojrzeniem i rzekła:

— Co ten „trup“ tu panu naopowiadał o mnie? Nie wierz mu pan — to pierwszorzędnny kłamca.

— Nic mi o pani nie mówił — odparł spokojnie Dawid, — rozmawialiśmy o znajomych, — jednocześnie wszakże obrzucił ciekawym spojrzeniem tę kobietę, która z tak silnego mężczyzny, jakim był „Smok“, wyssała krew i życie.

Nagle weszła Róża z potulną miną niewiniątka i nieśmiałym, cichym głosem przemówiła:

— Chodź stąd, Dawidzie, już czas na śniadanie.

Lekko pociągnęła go za rękaw — machinalnie wstał i wyszedł za nią. Podała mu futro i kapelusz i wyszli na śniadanie do kawiarni.

Na ulicy Róża, tuląc się do kochanka i patrząc mu w oczy, zagadnęła:

— Coś ty taki nie swój? Ten suchotnik pewnie ci coś naopowiadał... Nie pójdziesz już więcej do tej wstretnej meliny. Ta jego kochanka przeraża mnie swoim zachowaniem i wiesz, że ona ma chrapkę na ciebie, Dawidzie? Rzuciła się cały ranek, jak tygryscica. Znam ją od kilku miesięcy — wszystkie pieniądze przegrała w karty, a teraz chciałaby go jaknajprędzej wyprawić na tamten świat, żeby na kogo innego się dla zastawić. Ale niedoczekanie jej, żeby miała ciebie opanować, jeszcze dzisiaj postaram się o mieszkanie dla nas.

Dawid tak był przejęty historią suchotnika, że w uszach brzmiał mu jeszcze głos jego: „Nie ufaj kobietom“! Postanowił też strzec się „swojej“, dopóki nie przekona się o jej charakterze i prowadzeniu się.

Widząc zamyślenie i małomówność swe-

go towarzysza. Róża również zamilkła, po stanawiając sobie dowiedzieć się o przyczynie tego stanu i nie dopuścić na przyszłość do spotkania między nim i rozpasaną kochanką suchotnika, czuła bowiem w niej swą groźną rywalkę, bardziej może doświadczoną i wyrafinowaną od niej w usidlaniu mężczyzn. Natomiast wcale jej na myśl nie przyszło, że wypadki mogłyby się inaczej ułożyć, gdyby nie przypadek, kładący kres zamierzeniom namietnej kobiety.

Idąc zamyśleni, każde o czym innym, weszli do kawiarni na Pawiej, gdzie zdecydowali się zjeść śniadanie

VII

W kawiarni mimo wczesnej pory, było pełno gości i wiele „grubych ryb“ z elity złodziejskiego świata. Witano ich z zaciekawieniem, a kilku znajomych Dawida zbliżyło się do niego i ściskając mu rękę, pół serjo, pół żartem, wieszowali mu powodzenia. Nie jeden spoglądał na Dawida z zazdrością. Róża bowiem uchodziła w tym „światku“ za skończoną piękność i miała niejednego adoratora, napróżno dobijającego się o jej względy.

Usiedli przy stoliku i kazali podać kakao i ciastka. Pijąc, Dawid obrzucił spojrzeniem wnętrze kawiarni i przekonał się, że wszystkie spojrzenia były zwrócone na nich, a właściwie na Różę, która rzeczywiście wyglądała uroczo. Poczł dumę i

zadowolenie miłości własnej, że jest posiadaczem tej pięknej dziewczyny. Po wy-
piciu i zjedzeniu Róża zaproponowała:

— Chodźmy, zaprowadzę cię do siebie.
Mieszkam u starego małżeństwa. Odnaj-
mują mi ładny pokój. Omówimy tam na-
sze sprawy, mam ci coś ważnego do za-
komunikowania.

Dawid uregulował rachunek, poczem
kochankowie opuścili kawiarnię, odpro-
wadzani spojrzeciami większości obec-
nych.

Skoro tylko drzwi się za nimi zamknęły,
poczęły padać zewsząd rozmaite uwagi
na temat Róży, jej wyglądu i wdzięków.
Ktoś oświadczył, że „ten Dawid“ ma
szczęście, inny, że miał zaszczyt po-
znać to szczęście i zakosztować wszel-
kich rozkoszy, jakich ta dziewczyna
może dostarczyć. Znaleźli się obrońcy jej
osoby i urody, byli też zdecydowani pes-
ymiści, utrzymujący, że „to“ nic takiego
nadzwyczajnego. Na tym punkcie wyni-
kła dość ostra wymiana słów w formie
zwykle praktykowanej w tej sferze.

A byli tam przedstawiciele wszystkich
gałęzi „fachu“ przestępczego. Agenci do-
mów publicznych z Buenos - Aires, najlep-
si znawcy „kobiecego towaru“, spluwali
tylko spokojnie, nie biorąc udziału w pod-
nieceniu większości, dorzucając niekiedy
swoje cyniczne uwagi do poruszonego te-
matu. Jednak co zapalczywsi łapali już za
kufle i krzesła, by zdobyć posłuch dla
swoich argumentów i niewiadomo czem-

by się zakończył gorący spór, gdyby nie przypadek.

W tej chwili bowiem do natłoczonej sali kawiarni, wpadł jak bomba mały, piegowaty żydek i zdyszczanym głosem wyksztusił:

— „Loches“! (obława idzie) — od Dzi-ki Gass!

Jakby za czarodziejskim dotknięciem różdżki kawiarnia opustoszała doszczętnie. Przy bufecie stał tylko piegowaty żydek, jeszcze oddychający z trudem, licząc otrzymane od właściciela kilka groszy, za ostrzeżenie przed chmurą, co miała nadejść.

Za kilka minut drzwi restauracji otworzyły się szeroko i weszło kilku wysokich i pewnych siebie mężczyzn o przenikliwych oczach. Jeden z nich wykreślił się na pięcie, obejrzał wokoło po sali i mruknął do towarzyszy:

— Już zdmuchnął ich ktoś... psiakrew! — spojrzał na właściciela, który w chwili wejścia gościa podniósł się z miejsca za bufetem i stał teraz oparty o rozwartą księgę rachunkową z piórem w reku i patrzył na gości ze zdziwieniem.

— A, to pan?! — zagadnął niezdecydowanym tonem przybyłego urzędnika policyjnego.

— Tak, to my! Pewno nie spodziewał się pan naszej wizyty. — odpowiedział urzędnik z ironją w głosie. — Co tak pu- sto u pana tutaj, gości żadnych? — tu zauważył małego żydka, stojącego przy bu- fecie i uśmiechającego się głupkowato.

— Co ty tu robisz, psiakrr... gdzie tylko przychodzimy, wszędzie ten żydek. a reszta, jakby wymiół... to ty, lotrze spłoszyłeś tę bandę, ty wyprzedziłeś nas, brać go do kozy!

— Ny, proszę wielmożnego pana, ja nie wiem, ja obwarzanki roznoszę po kawiarniach — tłumaczył się mały żydek.

— Dobrze, dobrze — uśmiechnął się policjant, — pamiętaj tylko, że jak cię jeszcze raz spotkamy w jakiej kawiarni, to cię każę zastrzelić, — pogroził mu palcem.

Właściciel poważnie i grzecznie tłumaczył:

— Pan się pyta, co tak pusto u mnie? Kiepskie czasy szanowny panie, ja jeszcze początku dziś nie miałem, — to jakiś feralny dzień dla mnie.

Urządник spojrział na niego z pogardą : rzekł:

— Tak, racja, dziś i dla mnie feralny dzień, bo twoi goście zdążyli ulotnić się przed czasem. Wiem kogo gościłeś dziś w swoich wysokich progach. Bądź — no pan łaskaw dać klucze od piwnicy, słyszałem, że paserujesz teraz i „facienty“ swoich gości przechowujesz. Mam ochotę przekonać się, czy coś nie zbłądziło z cudzej własności do twojej piwnicy.

— Z wielką przyjemnością — odpowiedział żyd — ja nigdy nie trudniłem się paserstwem i teraz się nim nie zajmuję, może pan szukać, proszę ma pan klucze.

Urządnik mrugnął na jednego z agentów, żeby miał gospodarza na oku, wziął klucze i udał się do piwnicy.

Okazało się jednak, że rewizja nie dała żadnego rezultatu, urzędnik wręczył klucze właścicielowi, przygryzł wąsy, obrzucił badawczem okiem spokojnego Żyda i zmarszczył czoło. Był zły, że i tym razem spuścił, pomimo, że tak był dokładnie poinformowany o złożonej w tej piwnicy manufakturze, skradzionej dwa dni temu na Marszałkowskiej.

Żyd był zadowolony, że jeszcze wczoraj wszystko wywiózł, a i dziś ptaszki wyfrunęły, chociaż o nich niewiele się troszczył. Cóż go może obchodzić, kto do niego przychodzi zjeść lub wypić za pieniądze, byle piwnica była próżna, to wszystko jest w porządku.

Agenci, zamierzali już opuścić lokal, kiedy drzwi otworzyły się z hałasem i ten sam mały i błydy Żydek — „ostrzegacz“ wpadł do kawiarni z krzykiem:

— Aj, waj, Smoczy Gass, jeden zastrzelił kochankę i siebie, ona wyleciała z oknem! aj! waj! paf! puf!

VIII.

Na Smoczej, ujrzel: już zdaleka wielkie zbiegowisko przed bramą jednego z domów. Z trudem przepchnęli się przez zbity tłum ciekawych, dostając się na podwórze, gdzie oczom ich ukazał się okropny widok. Na bruku podwórza leżał człowiek we krwi i z roztrzaskaną czaszką. Mózg rozprysnął się po kamieniach, ręce i nogi były widocznie połamane.

Jeden z agentów zapytał jakąś kobietę z tłumu, z którego okna wyskoczył denat i co to za jeden. Kobieta, wskazała na czwarte piętro, gdzie okno było otwarte i objaśniła:

— Tam jeszcze ktoś podobno zabity.

Policjanci udali się natychmiast na górę. Odnalazłszy pokój, gdzie się rozegrała tragedia, ujrzeli drugi krwawy obraz. Nad półnagim, pławiącym się we krwi trupem młodej kobiety, stała właścicielka tego mieszkania i świadek zbrodni i półprzytomnie wykrzykiwała jakieś niezrozumiałe słowa. W chwilę po wejściu agentów omdlała. Dwu z nich przeniosło ją do drugiego pokoju i złożyło na kanapie, gdzie po chwili przyszła do przytomności i znowu zaczęła załamywać ręce.

W tej chwili do pokoju wszedł lekarz i przedstawiciele urzędu śledczego i władz sądowych i przystąpiono do obejrzenia denatów.

Lekarz stwierdził najpierw śmierć od upadku, leżącego na podwórzu człowieka, przy którym nie znaleziono żadnych dokumentów. Później przystąpiono do oględzin kobiety w mieszkaniu. Leżała ona półnaga, naokoło wszystko było w nieładzie, stół miał odłamaną nogę, kilka krzeseł leżało połamanych, łóżko przewrócone, pościel, porozrzucana po całej podłodze, pod oknem zaś leżał browning belgijski z wystrzelonym magazynkiem.

Lekarz stwierdził pięć ran postrzałowych na ciele kobiety; jedna z kul przeszła serce, pozatem u denata dwie rany postrza-

łowe klatki piersiowej, obie jednak nie śmiertelne.

Ze wszystkiego można było wywnioskować, że rozegrał się tu straszny dramat pary kochanków. On zabił najpierw ją, a potem odebrał sobie życie. Nieład i poszarpane odzienie kobiety, zdawały się dowodzić, że między mężczyzną i kobietą, odbyła się zacięta walka. Widać, kobieta nie miała chęci postradać życia i broniła się rozpaczliwie przed widmem śmierci. Nie znaleziono żadnej kartki zapisanej, która by rzucała światło na ten krwawy dramat. Zapytana kobieta, czy zmarła jest jej córka, lub synową, zaprzeczyła energicznie z oburzeniem i poprawiając włosy, jakby dla stwierdzenia, że jest zbyt młoda, by mieć córkę w tym wieku, płaczącym tonem odpowiedziała:

— Nie, ona była moją znajomą, oboje mieszkali u mnie.

— A więc pani jest gospodynią tych pokojów? — pytał starszy przodownik.

— Dobrze więc, proszę nam powiedzieć, co tu zaszło, kto oni i co tu robili? — odezwał się komisarz badawczym głosem i skinął na wywiadowcę, by gotów był do pisania.

Gospodyni stanęła przed komisarzem i, gryząc róg fartuszka z widocznym zaniepokojeniem o siebie, drżącym głosem zaczęła lamentować:

— O, moje nieszczęście!... moje nieszczęście! co tym ludziom przyszło do głowy w mojem mieszkaniu narobić...

— Proszę odpowiadać na pytania —

przerwał jej komisarz służbowym tonem:
Jak pani na imię?

— Klara.

— Nazwisko?

— Goldszajn.

— Wyznanie?

— ?

— Jaka religię pani wyznaje?

— Żydówką jestem.

— Meżatka?

— Nie.

— Panna?

— Nie! — wdowa jestem.

— A panińskie nazwisko?

— Rozenblum.

— Ładne nazwisko — pochwalił komisarz, chcąc ją ośmielić. — Proszę się nie lękać, myślę, że pani tu nie jest winną, proszę się uspokoić. Więc pani jest gospodynią, czy tak?

— Tak panie?

— A cóż oni tu robili?

— Mieszkali.

— Oddawna?

— Kilka tygodni — kłamała.

— A meldowani byli?

Kobieta podniosła błagalnie oczy na komisarza i odpowiedziała z trwogą:

— Nie byli meldowani.

— A, to źle, — dlaczego?

— Nie chcieli, żebym ich meldowała.

— Źle, że pani zgodziła się na to; będzie pani pociągnięta do odpowiedzialności.

Kobieta zalała się łzami.

— Panie komisarzu, jestem wdową, męża

mi zabito, a żyć trzeba; dobrze mi płacili, to ich trzymałam.

— Kto pani męża zabił?

— Na wojnie światowej, — skłamała po krótkim wahaniu, nie chcąc wyjawić, że jest wdową po bandycie.

— Jak oni nazywali się? Czy to małżeństwo?

— Nie wiem!

— Może kochankowie?

— Może.

— Jak on się nazywał?

— Imię Antoni, a „familja“ nie wiem.

— A ona?

— Olga — kłamała jak najęta.

— Czy Polka?

— Pewno.

— A rozmawiali po polsku, czy inaczej?

— Po polsku czasem po rusku.

— A może Rosjanie, przyjezdni?

— To możliwe, nie wiem.

— Gdzie pani była, jak to się stało?

— Na mieście.

— Po co?

— Kupić mięsa na obiad, a jak przybyłam, zastałam tylko trupy i już na podwórzu dowiedziałam się, co się stało.

— Czy żyli dobrze między sobą?

— Czasem tak, czasem nie.

— Czem się trudnili?

— Nie wiem.

— A z czego żyli?

— Z gotówki.

— A skąd przybyli?

— Nie wiem, nie mówili.

— A skąd pochodzili?

— Z Rosji.

— Czy często się kłócili i co powodowało ich kłótnie?

— On był suchotnik, a ona zdrowa i ładna. On ją kochał, nie dał na krok się ruszyć bez niego z domu, był zazdrosny.

— Pewno kochanka miała?

— Nie wiem.

— A dziś, czy kłócili się?

W tem miejscu zawahała się, czy odpowiedzieć, co zaszło rano, ale nie chcąc wtrącać innych, odpowiedziała:

— Tak, kłócili się dziś rano, jak jeszcze nigdy, jak u mnie mieszkają.

— A o co im się rozchodziło?

— Nie wiem.

— Czy pani wiedziała, że on posiada broń?

— Nie.

— Proszę pokazać ich rzeczy.

— O, ta szafa co tu stoi i te dwa kufry — pokazała.

— A kto ma klucze?

— Ona zawsze miała klucze przy sobie.

— Niech pani poszuka.

Jeden z agentów podszedł do małego stolika, przy oknie, na którym leżał woreczek z przyczepionym do niego pęczkiem kluczy i podał je komisarzowi. W woreczku były pieniądze: 150 dolarów, kilka marek niemieckich i trzy pięćorublowki złote. Komisarz kazał otworzyć szafę i kufry, w których znaleziono sporo ubrań, sukien i bielizny, — wszystko w dobrym gatunku.

— Musieli być kiedyś bogaci. Czy nic nie opowiadali? — zapytał jeszcze.

— Tak, słyszałam, że mieli w Rosji dwie kamienice.

— Więc byli zamożni?

— Może, nie wiem.

Komisarz rozglądał się wśród rzeczy w szafie; zauważył drogie futro meskie i karakułowe damskie palto. Prócz tego nowe, eleganckie palto fokowe damskie z marką firmową. Spojrzał na markę: firma w Lipsku.

— Czy denat nosił te ubrania i futro na sobie, mieszkając u pani? — zastanowiło go, że wszystko to było robione na tęgiego mężczyznę i denat mógłby się schować w jednej nogawce, wiszących tu spodni z angielskiego diginału.

— Nie — odrzekła — nigdy nie wychodził z domu, bo był chory na suchoty.

— Czy leczył się u jakiego doktora?

— Nie, nie chciał, zawsze tylko pragnął, żeby jaknajprędzej marzec przyszedł.

— Hm, to jakaś zagadkowa sprawa — mruknął komisarz.

Wtem nadszedł jeden z wywiadowców, będących na dole przy trupie mężczyzny i podał mały, platynowy medaljonik na złotym łańcuszku, małe arcydzieło, wysadzane maleńkimi brylancikami.

— Zdjęto to z szyi denata — zameldował.

Komisarz nacisnął przycisk, przyczem odskoczyło małe wieczko, ukazując wewnątrz minjaturową fotografię kobiecego popiersia.

Komisarz spojrział na zmienione rysy denatki, porównyując je z fotografią, przy czem stwierdził podobieństwo.

— Któż oni — mruknął sam do siebie — on Antoni, ona Olga i wszystko. Bądź tu teraz mądry! Żadnych papierów, żadnych dokumentów. .

— Co pan myśli o tej parze? — zwrócił się do agenta oglądającego medaljon.

— Ja? Mojem zdaniem albo to była para z arystokracji rosyjskiej, mająca poważne powody, by żyć „incognito”, być może w obawie przed agentami bolszewików, albo też para niepospolitych niebieskich ptaków, ukrywająca się przed sprawiedliwością — zakonkludował młody wywiadowca, zadowolony, iż sam komisarz zechciał wysłuchać jego zdania.

Komisarz uśmiechnął się i wycedził przez zęby:

— Tak, zgadłeś zuch, jak nie deszcz, to pogoda i ja jestem tego zdania, — a zwracając się do wchodzącego prokuratora, powiedział:

— Wątpię, panie prokuratorze, czy pan będzie miał sposobność w tej sprawie, błysnąć swym darem wymowy przed sądem — sprawca i ofiara przemieśli się do wieczności, sprawa ciemna dotychczas.

Żyli nieznani i odeszli nieznani.

— No, panie komisarzu, nie mamy co wątpić zgóry, pański aparat, zdaje się, nigdy nas jeszcze nie zawiódł — wskazał na gorączkową pracę kupki służbistów śledczych, odciskających palce denatki i robiących zdjęcia pośmiertne. To samo

mniej więcej, działa się z połamaniem członkami denata.

Sędzia śledczy dyktował coś sekretarzowi... Nareszcie wszystko się skończyło, zwłoki zabrano na rozkaz prokuratora do prosektorjum, pokój z rzeczami zmarłych opieczętowano i cała kompanja sług sprawiedliwości opuściła teren wypadku.



Po wyjściu z kawiarni Dawid i Róża udali się na Złotą, gdzie właśnie mieszkała Róża, zajmując pokój przy starem małżeństwie, żyjącem z zasiłków, przysyłanych z Ameryki przez dzieci, tam przebywające. Róża podawała się za studentkę uniwersytetu, a ponieważ była inteligentną i ukończyła osiem klas gimnazjum — dalsze bowiem kształcenie się przerwała wojna i rewolucja, a właściwie śmierć rodziców — nie przychodziło jej to z trudnością i nie wzbudzała żadnych podejrzeń.

Opowiadanie Róży o swych kolejach losu, którem zainteresowała swego kochanka, zawierało sporo szczegółów prawdziwych, pominęła w niem jednak to, co odnosiło się do jej wykształcenia i wychowania, dzięki nabytej znajomości sfery, wśród której żyła. Wiedziała dobrze, jaką nienawiść i pogardę czują ludzie tego świata występku, względem bogatych i inteligencji, tak zwanego w ich języku „frajerstwa“, omięła więc te szczegóły, które by świadczyły o jej przynależności do tej właśnie, znienawidzonej przez świat podziemny, sfery ludzi.

Róża zmuszona była udawać studentkę, w ten sposób bowiem najłatwiej mogła usprawiedliwić swój nieregularny tryb życia, podając się za pracownicę, musiałaby spędzać regularnie kilka godzin dziennie poza domem. Po chwili wchodzili już na elegancką klatkę schodową i po wejściu na drugie piętro, Róża zapukała do drzwi. Moment panowała cisza, wreszcie dało się słyszeć ciężkie stąpanie i przekrecono klucz we drzwiach. Drzwi uchyliły się cokolwiek, a w szparze ukazała się siwa głowa starca.

— A, to pani? Proszę!

Róża i jej kochanek weszli do przedpokoju, a starzec patrząc nieufnym okiem na towarzysza swej lokatorki, zamknął drzwi zpowrotem na klucz.

Z przedpokoju, poprzez drzwi otwarte, widać było ładnie umeblowane mieszkanie. Dawid rozglądał się ciekawie po gustownych meblach, zauważył pianino i mimowolnie zaczął szukać... kasy, o którą zaczął podejrzewać „starego”. Róża podchwyciła te jego penetrujące i ciekawe spojrzenia, szepnęła mu wesoło, jakby zgadując jego myśli:

— Nie rozglądaj się, bo niema tu tego, o czym myślisz — a do starca odezwała się:

— Ojczulku, a gdzie to mamusia, czy wyszła na miasto?

Róża tak się żyła z poczciwymi i spokojnymi starszuskami, a ci tak ją polubili i przywiązali się do niej, że uważali ją za swe dziecko, lub wychowanicę i nie brali

jej za złe, kiedy zwracała się do nich, jak dziecko do rodziców.

Starzec nic nie odrzekł, spojrzal na Dawida, a potem na nią, zapytując wzrokiem, co ma myśleć o jej towarzyszu.

Róża nigdy nie przyprowadzała dotychczas mężczyzn ze sobą i zrozumiała niezadowolenie staruszka. Zarumieniła się zlekka i zaszczębiotała:

— Ach, jaka ja roztrzepana jestem, proszę ojczulka to mój znajomy, przybywa z Niemiec do Warszawy i oto odwiedził mnie, poznajcie się panowie!

Dawid skłonił się z gracją światowca, której jako międzynarodowy włamywacz i złodziejski arystokrata, dawno już był. Podali sobie ręce.

— Bresler!

Starzec mruknął coś pod nosem, co miało oznaczać nazwisko, widać było, że wcale nie był zadowolony z tej znajomości.

Róża zmiarkowała to odrazu i żałowała już w duchu, że go tu przyprowadziła. Wiedziała, że stary nie ufa nikomu, obawia się o swoje kilka tysięcy dolarów, które zawsze nosi na piersiach, każdego podejrzewając, że jest złodziejem i chce go okraść podobnie, jak to miało miejsce dwa lata temu.

Pomyślała, że chociaż stary tym razem się nie myli i ma przed sobą złodzieja, to jednak ona nigdy nie pozwoli, żeby skrzywdzić tych ludzi. Można śmiało powiedzieć, że Róża pomimo występnego życia w ostatnich czasach, pozostała w głębi duszy dobrą dziewczyną i tylko zemsta,

zakorzeniona w jej sercu. na skutek krzywdy doznanej, nie pozwalała jej wydźwignąć się z tego błota zbrodni, występku i zgnilizny moralnej, w jaką została zrzadzeniem losu zepchnęta.

Róża zaprosiła kochankę do swego pokoju, przymykając drzwi za sobą. Był to dość obszerny i wygodny pokój, łączący w sobie sypialnię i toaletę, powietrze było przepojone miłą wonią perfum, całość tworzyła zaciszne i przytulne gniazdko. Podała mu krzesło, a sama usiadła na łóżku, usłanem z jedwabiów i muślinów. Raptownie wyciągnęła rękę i pociągnęła go ruchem energicznym razem z krzesłem. Była piękna i rozkoszna, a jej szybkie, niespodziewane ruchy, miały w sobie coś drapieżnego, coś z ruchów kotki sjańskiej, albo tygryscy. Nachylił się ku niej, był znowu pod jej urokiem, oszołomiony jej magnetycznym spojrzeniem, wonią tego pokoju i wdziękiem jej swobodnej, nie dbałej pozy. W jej oczach paliły się jakieś żywe ogniki, a na uśmiechniętej twarzy, nie było najmniejszego śladu po przebytych, ciężkich dniach burzliwych jej życia.

— Pocałuj mnie, mój drogi! — szeptała.

Dawid był posłuszny. Fala krwi buchnęła w tej samej chwili na jej twarz, niewiadomo tylko, czy z pożądliwości, czy też ze wstretu i tłącej się w jej sercu nienawiści. Czerwieniącemi się ogniciście wargami przyłgnęła do ust jego, tuląc się całym ciałem do niego.

Obserwator, przyglądający się tej parze, podziwiałby z pewnością namiętność z jaką kobieta całowała kochankę, gotów by dać głowę, że rządziła nią prawdziwa miłość. A jednak tak nie było. Ten wybuch namiętnej czułości, był tylko zreczną ofensywą na jego kieszeń, to było niejako przygotowanie terenu. Róża odepchnęła go zlekka, wrywając mu się z objęć. Postanowiła atakować, korzystając z chwili.

— Kochany, jestem już twoja... nie potrzebujemy się więc krępować, chcę cię prosić o coś — rzekła, całując go po oczach.

— Teraz, zapewne będzie strzał do mojej kieszeni — pomyślał Dawid i nie omylił się.

— Cóż takiego, mów, wszystko dla ciebie zrobię, ja chcę i muszę wiedzieć, co ci dolega, co ci brakuje, mów śmiało, bez żadnych ceremonij.

— Widzisz, mój drogi, ja jestem winna w kilku miejscach, mam zastawioną bżuterję i garderobę — mówiła cichym, nieśmiałym głosem — chciałabym wykupić, a nie mam pieniędzy — dodała gorzko, spuszcżając oczy. A on myślał: „Oj, kobiety, jaka niebezpieczna gra z wam. któż jest w stanie oprzeć się wam i siidłom waszych wdzieków“. Przypomniał sobie ostrzeżenie suchotnika i stwierdził, że nie na wiele mu się ono przydało, bo oto zaczyna tańczyć, jak mu ta czarodziejka każe i czuje, że nie zdobędzie się

na to, by się uwolnić z pod jej uroczego wpływu, by odrzucić precz od siebie pokusy jej zmysłowego ciała.

Róża czekała z zapartym oddechem na jego decyzję, ale usłyszała:

— Dobrze, gotów jestem zapłacić wszystkich twoich wierzycieli... tylko pamiętaj, żebyś dobrze prowadziła się od dzisiaj!

— Ach, drogi mój, jakże ci jestem wdzięczna za twoją dobroć, jaką mi okazujesz... przysięgam ci, że tylko śmierć zdolna byłaby rozłączyć nas, więcej nic, będę ci wieczne oddaną! — pieściła jego twarz, ująwszy głowę w obie ręce i gorącymi ustami przygłnęła do jego warg.

Niezakochany, może odczułby fałszywą nutę w głosie swej kochanki, lecz Dawid niezdolny był do analizy i krytyki — miłość zaślepiała go, pożądanie pchało ku temu pięknemu ciału ponętnej kobiety.

— Tak, moja droga, śmierć nas nie rozłączy, ale więzienie może nas rozłączyć. Dziś jest bardzo „ślisko“ dla „naszych“, łatwo się „zasypać“, a z chwilą, kiedy mnie nie stanie, znajdzie się inny, co będzie chciał zasmakować twoich ognistych warg i rozkoszy twojego ciała, a wtedy o mnie zapomnisz — żal zadźwiczał w jego głosie, a na myśl, że słowa jego mogą się stać ciałem, zadrżał.

— Nie ja... kochany, nie ja, — powtarzała naiwnie, patrząc mu w oczy, w których dojrzała zwilgotnienie i chwile żal jej się zrobiło kochanka. Za moment jednak znowu zerwał się w niej bunt przeciw tym

ludziom, do których i Dawid należał. Przypomniała sobie łzy przelane w domu swej „opiekunki” na Wołyńskiej, dzięki, brutalne sceny, pełne wyuzdania, zwierzęce zabawy mężczyzn, dla których była tylko samicą, kawałem żywego i czującego mięsa, wydanego na łup ich samczych żądz. Przypomniała sobie te łzy, które miast wywołać litość i współczucie, wywoływały wręcz odwrotny skutek, bo jej przygodni amanci, wobec których nieraz nie była w stanie powstrzymać łez rozpaczy i wstępu, oświadczeni jej, że jak płacze, to jest jeszcze bardziej pożądana i rozkoszniejsza. Tu, by ukryć rozpalającą się w jej sercu zemstę, zaczęła znowu gwałtownie całować go i pieścić.

— No, moja droga, dość tych dzieciństw i pieszczot! — zdecydował Dawid, odyskując zimną krew, — już pół do trzeciej, a myśmy jeszcze obiadu nie jedli. Chodź, pójdziemy na obiad.

— Dobrze, tylko powiedz mi, jak będzie z mieszkaniem. Ty tutaj nie możesz ze mną mieszkać za nic w świecie. Mam na myśli jedno mieszkanie u znajomej mi rozwódki; na Chmielnej, tam będzie nam wygodnie.

— Dobrze, — odparł Dawid, ale dzisiaj noc, gdzie spędzimy? Myśle, że będziemy musieli tę noc spędzić na „platonicznych” rozmyślaniach o naszej miłości, ja u siebie w numerze hotelowym, a ty, u swoich staruszków, prawda?

— Tak, musimy się rozłączyć na tę jedną noc, — odpowiedziała Róża — od-

poczniesz sobie chwilkę, a teraz chodź już na obiad.

Wychodząc z pokoju Róży i kierując się ku wyjściu, kochankowie natknęli się na starego właściciela mieszkania, który znowu, aż nazbyt ciekawie obserwował Dawida, jakby chciał się przekonać, czy ten nie wynosi czegoś pod futrem. Nie podobał mu się ten znajomy jego lokatorki, a podejrzania jego objęły teraz młodą dziewczynę, której dotychczas nie mógł nic zgola zarzucić, tak taktowne było jej zachowanie się, uprzejmy, a nawet serdeczny i tkliwy jej stosunek do nich. Mimo to, ta niespodziewana wizyta nieznanego młodego mężczyzny, z którym zdawały się ją łączyć bliskie i intymne stosunki, mocno podkopały jego wiarę w te wszystkie dodatnie cechy charakteru, które zdawały się być ozdobą tego miłego, spokojnego dziewczęcia.—Hm, hm — mrucał do siebie, kiedy młodzi już wyszli i postanowił naradzić się ze swą „starą“ czy by nie było wskazaniem wymówić jej mieszkanie, albo wprost zażądać od niej dowodów i stwierdzenia, co właściwie robi i dokąd uczęszcza na studia. Nasunęła mu się myśl, że być może kobieta ta, co do której ogólnego wykształcenia i inteligencji nie miał wątpliwości, jest jaką osobistością podejrzaną konduity, współtowarzyszka jakichś przestępców, hochstaplerką, może nawet osobą karaną sądownie... kto wie?

Dawid z Różą znaleźli się wkrótce na Dzielnej, a kiedy otworzyli drzwi, widok,

który uderzył ich oczy, rzeczywiście był godzien widzenia, jako charakterystyczny, pełen nastroju obrazek rodzajowy. Na środku dużej sali stała duża grupa mężczyzn, skupiona dokoła młodej dziewczyny, zalanej łzami i szlochającej. Ukończyła ona widocznie opowiadanie o jakimś wypadku, bo słuchacze byli jeszcze zasluchani i pogrążeni w niewesołym rozmyślaniu.

Dawid z kochanką zbliżyli się ciekawie do tej grupy, chcąc się dowiedzieć, co zaśzło. Jeden z zebranych, który pierwszy go spostrzegł, krzyknął:

— O, dobrze, żeś przyszedł, chcieliśmy już posłać po ciebie... może już wiesz, co się stało?

— Nic nie wiem, gadaj predko!

— Wiesz, co „Smok” zrobił?

Dawid przybladł, zaczął się domyślać czegoś tragicznego, myśl o samobójstwie nieszczęsnego chorego stała przed nim w całej swej ponurej grozie. przypomniało mu się opowiadanie chorego.

— Najpierw „zakropił” kochankę, a potem palnął sobie w łeb, a że żył jeszcze, wyskoczył z czwartego piętra.

Zarówno Dawid, jak i jego kochanka, uczyli żal na wieść o tragicznym wypadku, z dwóch różnych powodów: on żałował, że Smok śmiały i zdolny złodziej skończył tak marnie, ona żałowała nieszczęśliwej kobiety, która padła z rąk „zбира”. jak myślała i do której mimo, że niedawno zdawała się być jej rywalką, nie czuła obecnie najmniejszej urazy.

— A może to „bujda“? — zauważył sceptycznie Dawid.

— Jakto? — krzykneło kilka osób naraz — przecież ta dziewczyna jest siostrą tej „melnarki“ i widziała na swoje oczy, jak karetka zabrała trupy, a policja zapieczętowała mieszkanie i aresztowała „melnarkę“. Właśnie przyszła tu z płaczem, żeby ratować jej siostrę, bo wiesz, że to jest wdowa po jednym z „naszych“. Trzeba też zrobić zebranie i sprawić pogrzeb dla „Smoka“, jak się patrzy. On był „chłopak“, jakiego nie łatwo znaleźć — charczał jakiś zezowaty z krogulczym nosem i wielką szramą na twarzy Żyd.

— Co ty na to? — pytał inny.

Dawid zamyślił się, usiadł na krześle, zapomniał o obiedzie. On jeden znał historię zmarłego i wiedział, jakie były pobudki krwawego czynu — że była to zemsta.

Mimowoli spojrzął na Różę. Dziwna rzecz... W jej błyszczących oczach widział teraz takie same ogniki, jakie zapalały się w oczach suchotnika, kiedy wymawiał imię kochanki. — „Czyżby i Róża żywiła uczucie zemsty, ale do kogo i za co? Przecież ja ją kocham i nic jej złego nie zrobiłem“. — Znów spojrzął jej w oczy, ale były to już oczy dziecka.

Dalsze rozmyślania przerwało wejście trzech znajomych Dawida. Zaraz od progu zawołali:

— Dobrze, że ty jesteś! Mamy ważne zebranie, pewno już wiesz?

— Tak, wiem, — odparł Dawid. — Możemy radzić, a gdzie jest „Klarnet“?

— Właśnie, że „Klarnet“¹⁾ wyjechał do Berlina na „dintojrę“ u Glazmana. Tam się rozchodzi o wielki „sofek“²⁾ i sprawa nagła. Ale my wiemy, że ty masz jego zaufanie i jak ty zrobisz, to „on“ sam powie, że dobrze. Możemy już radzić, ale nie tu, bo stąd mogą nas „wychłać“³⁾.

Dawid był bardzo zadowolony, że został wybrany na zastępcę „jego samego“ i cieszył się w duchu, że zaimponuje Róży tem poważaniem; mirem wśród „swoich“. Myślał, że wkrótce, być może, na stałe zastąpi „jego“, bo „on“ był już stary i spodziewany był wybór następcy.

Przed opuszczeniem lokalu trzeba było zjeść obiad, zwrócił się więc do Róży, by zamówiła, na co miała apetyt.

— O, nie będę jadła, przygnębiła mnie ta straszna nowina. Ty zostaniesz tu pewnie, a ja pójdę do domu, jutro o dziesiątej spotkamy się, czy dobrze?

— Dobrze, ale czemu się śpieszysz, zostań jeszcze chwilę.

— Puść mnie — prosiła — głowa mnie boli — wstała, podając mu rękę i lekkim krokiem skierowała się do wyjścia, od progu jeszcze przesyłając mu uśmiech.

Dawid śledził ją rozkochanymi oczami,

¹⁾ Herszt.

²⁾ Przywłaszczenie łupu.

³⁾ Aresztować.

gdy nagle, w chwili kiedy już zamykała drzwi za sobą, przypomniał sobie o pieniądzach, które miał jej dać na uregulowanie długów. Skoczył więc z miejsca i już na ulicy wręczył kopertę z pieniędzmi.

— A wiele tu jest? — zapytała nieśmiało.

— Pięćset dolarów — odpowiedział obojętnie, obserwując, jakie wrażenie zrobi na niej ta cyfra, ale nie dojrzał żadnego podniecenia, ani wzruszenia na jej twarzy, kiedy chowała do torebki cenną kopertę.

— Starczy, starczy, mój drogi — pożegnała go i zniknęła wśród tłumu przechodniów.

Dawid spodziewał się wybuchu radości i gorących podziękowań, to też obojętne przyjęcie tak znacznej sumy utwierdziło go w przekonaniu, że kochanka jego, albo nie miała nigdy w ręku większej sumy pieniędzy, albo należy do rzędu tych kobiet, co nie znają wartości pieniędzy, lub lekceważą je sobie.

— W każdym razie, romanś ten będzie rzeczą kosztowną, na to zdaje się wszystko wskazuje: ano, zobaczymy, co będzie dalej — zakończył swe rozmyślanie, kładąc sobie podać obiad.

Do restauracji przybywali nowi goście, widocznie powiadomieni o zebraniu.

Wśród przedstawicieli rozmaitych gałęzi złodziejskiego fachu można było obserwować starych weteranów, którym ani Sybir, ani Kamczatka i Sachalin, ani „Rudniki“ nie zdołały wpoić poszanowania cu-

drzej własności i nie uczyniły im w niczem ujmy, owszem okryły jeszcze sławą „starego katarzana”.

Sam właściciel kawiarni, liczący sobie już osiem krzyżyków, był głośnym swego czasu bandytą i „pobytowym” i często wspominał dawno minione dni, kiedy to przed pięćdziesięciu laty należał do groźnej „Zambrowskiej szajki”, co grasowała w Grodzieńszczyźnie i sąsiednich guberniach. Lubił nieraz opowiadać, jak to „strażnictwo” było bezsilne wobec ich śmiałych napadów w biały dzień, na folwarki, probostwa i przejezdnych pod mandrem przewodnictwem Gardziejewa. Banda jego liczyła niekiedy do pięciuset członków: długi czas była nieuchwytna, ponieważ jej członkowie mieszkali po wsiach i miasteczkach, jako kupcy, osadnicy, lub ukrywając się pod przebraniem, jako żydzy: „chasydzi”, których policja rosyjska nie podejrzewała o udział w szajkach bandyckich. Sprzedajność policji ułatwiała jeszcze sytuację, dobrze więc było żyć, dopóki nie przybył tam policmajster Polak i nie wystąpił heroicznie do walki z bandytyzmem w obronie obywateli Polaków, którzy najczęściej byli terroryzowani przez ową bandę. W krótkim czasie też banda została zlikwidowana, a on, obecny właściciel restauracji, powędrował wraz z innymi na Sybir, skąd dopiero po trzydziestu latach wrócił do swych kamratów z Nalewek i Nowolipek, by na stare lata odpocząć i wspominać ciężkie minione dni katongi. To też w gronie kryminali-

stów. stanowiących jego stałą klientelę, miał wielki szacunek i poważanie i chętnie zasięgano jego rady w trudnych lub ważnych sprawach. I teraz też usłuchano jego rady, kiedy tłumaczył, że bezpieczniej będzie, jeżeli zamierzone zebranie odbędzie się w piwnicy.

— Racja — padły głosy — dawaj klucze, idziemy na dół.

Wszyscy skierowali się do małego pokoiku, gdzie były zamaskowane drzwi w podłodze nad schodami do piwnic. Starzec otworzył kłapę i pierwszy zaczął zstępować w głąb piwnicy, którą za chwilę rozświetliły promienie lampy naftowej. Pod ścianami stało kilkanaście beczek; stos pak. Na jedną z nich wskoczył Dawid i kiedy już wszyscy znaleźli się na dole, przemówił do zebranych gości:

— Bracia! Dzisiejszy dzień... jest bardzo smutny dla nas wszystkich. Ubył z pośród naszego grona człowiek, którego zasługi były bardzo znaczne w naszym kółku. Niejednego z naszych braci wyratował z więzienia, składając za niego kaucję, niejednej wdowie, której mąż skończył w więzieniu, albo na nieudanej wyprawie, przyszedł z pomocą, dając jej na utrzymanie. A sam tak marnie skończył... Ale — cóż, taki już nasz los... Dziś on tak zakończył, jutro może to czeka mnie, lub kogo z was. Zebraliśmy się tu, żeby każdy z nas ofiarował, co może, by godnie go pogrzebać; jak na złodzieja przystało. Trzeba też pochować jego żo-

nę. Musimy to wszystko załatwić starannie, żeby „on” nie zarzucił nam niedbalstwa, kiedy wróci. W jego imieniu proszę dać, co kto może. Popierajmy się wzajemnie, bracia, bo inaczej, po was, wyłapią i wytepią nas jak muchy. Co ma ktoś powiedzieć, niech mówi. Ja skończyłem”.

Słuchano go z uwagą, za to kiedy skończył, powstał rejwach. Jakiś mały, ruchliwy, czarny człowieczek dał się na cały głos:

— Panowie! dobrze mówi, trzeba się popierać nawzajem, ale ja słyszałem, że ten „Smok” miał dać jednemu z naszych pięć lat „chleba” w Moskwie, to „kapuś”¹⁾ był...

Jednocześnie musiał skoczyć w tył, bo kilkoro rąk wyciągnęło się w jego kierunku, w zamiarze ukrócenia jego złośliwości.

Dawid klasnął w ręce, dając znak, że chce jeszcze mówić.

— Bracia! — mówił — opowiem wam o wypadku, o którym właśnie ktoś wspomniał, zarzucając zmarłemu, że „kapuś”, bo miał kapować współnika i dał mu pięć lat „chleba”. Ja wam powiem, że nikt z was nawet się nie domyślał, jaki to wielki był człowiek. Tę historję w Moskwie opowiedział mi cała, na godzinę przed śmiercią.

— Posłuchajcie. — Tu zaczął opowiadać znane już czytelnikowi dzieje, a kiedy skończył, odezwały się głosy zachwyty

¹⁾ Zdrajca.

i pochwały, któremi zebrani oddali hołd „złodziejskiemu charakterowi” zmarłego.

Dawid zdjął kapelusz, prosząc jeszcze raz o ofiary. Posypały się też obficie mniejsze lub większe datki, a każdy starał się prześcignąć innych i ściągnąć na siebie uwagę swoją hojnością. Po ukończonej zbiórce, wysypał zawartość kapelusza na połę futra i przeliczył. Zebranych było pięćset dziesięć dolarów i sto dwadzieścia rubli w zlocie.

— Bardzo dobrze poszło — oznajmił stary właściciel kawiarni — trzeba będzie też zająć się „meliniarką”, żeby ją zwolnili — zakończył, zgarniając wszystkie zebrane pieniądze, które mu Dawid po ostatecznem obliczeniu oddał.

Stary miał zajmować się całym pogrzebem i w duchu już rozmwślał i obliczał, ile też uda się urwać z tej sumy, do własnej kieszeni. Wszystkich oczy, skierowane były teraz na pieniądze, które „stary” zaczął chować do kieszeni ubrania. Niejeden z uważnych obserwatorów, zapalił się chęcią uduszenia starego i zagarnięcia pieniędzy. „Stary” ulokowawszy pieniądze, przemówił krótko:

— Bracia moi i Dzieci! Trzeba zawiadomić wszystkich „naszych”, żeby wzięli tłumny udział w pogrzebie i uprzedzić, żeby nikt nie śmiał kraść podczas pogrzebu. Uszanujmy pamięć zmarłych!

XI.

Po powrocie do domu, Róża zastała parę staruszków w melancholijnym nastroju

ducha. Przywitała ich równie serdecznie jak zawsze, ale spostrzegła odrazu, że ją jakoś chłodno przyjeł. Zapytała też troskliwie z całą swobodą:

— Czy zaszło coś przykrego, że moi opiekunowie są tacy smutni?

Staruszek spojrzał na nią niemal groźnie : odparł:

— Proszę usiąść, mam pani kilka słów powiedzieć.

— Ależ proszę, słucham ojczulka, czy coś tak bardzo poważnego? — dodała, robiąc aluzję do surowego tonu, w jakim zwrócił się do niej zazwyczaj daleko uprzejmiej usposobiony „ojczulek“.

Niewzruszony jej serdecznością, staruszek potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć, że nie życzy sobie tego m'ana, przybrał marsowy wyraz twarzy i przemówił:

— Proszę powiedzieć mi, do jakiej uczelni pani uczęszcza i proszę mi pokazać świadectwo szkolne, bo powiem pani, że mam powody ku temu, aby sprawdzić tożsamość pani.

Takie postawienie sprawy zrobiło wielkie wrażenie na nieszczęśliwej dziewczynie. Zbladła, by z kolei zapłonąć purpurą nabiegającej do twarzy krwi. Oboje starzy obserwowali ją ciekawie, a widząc jakie wrażenie zrobiło na ich pensjonariuszce niedyskretne pytanie — starzy mężczyzna obrzucił swą żonę triumfalnym spojrzeniem — nie upłynęła bowiem godzina, jak sprzeczały się na temat uczciwości swej lokatorki. O ile żona broniła młodej

kobiety, o tyle mąż twierdził uparcie, że porządna panna nie będzie spędzała całych dni i nocy, poza domem i przyjmowała u siebie młodych ludzi, zamykając się z nimi w swym pokoju.

— To będzie zbyt cenne, dziś wyprowadzam się od was, kocham państwo! — mówiąc to, zakryła sobie oczy rękami i cichy szloch wydarł się z piersi dziewczyny.

Oboje starszycy patrzyli na siebie z przerażeniem, nic już teraz nie rozumiejąc. Spodziewali się, iż będą zmuszeni wymówić jej mieszkanie, aż tu ona sama oświadczyła gotowość opuszczenia zajmowanego mieszkania i do tego z tym niespodziewanym wybuchem rozżalenia. W głębi duszy starszycy poczuł żal, że poruszył tę drażliwą kwestję i wyrządził tym przykrość młodej kobiecie. Starszycy wzruszona jej płaczem, podeszła do niej i z macierzyńską tkliwością zaczęła ją uspakajać.

Róża po chwili zapanowała nad sobą i, ocierając batystową chusteczką łzy cisnące się jej do oczu, wyjęła z torebki kilka naszykowanych już w celu uregulowania opłaty za pokój banknotów dziesięciodolarowych i położyła je na stole, a sama, tłumiac łzy, udała się do swego pokoju, w którym miała przepędzić ostatnią noc. Rzuciła się na łóżko i płacząc, powtarzała przez łzy:

— Żal mi się rozstać z tymi pocziwymi ludźmi, ale cóż robić... Oni są w pra-

wie. Czy rzeczywiście nie sadzonym mi jest żyć między spokojnymi i uczciwymi ludźmi?... Czy ma mnie pochłonać to bagno bez ratunku? Czy mam zerwać wszelkie nici ze światem ludzi porządnych... Serce mi się rwie na strzępy, kiedy pomyślę do jakiego stopnia to straszne życie źle się obeszło ze mną. Dlaczego skazana zostałam na hańbę, dlaczego? Gdzie szukać ratunku? Co robić?...

W końcu, zmęczona atakami rozpaczliwych myśli, popadła w rodzaj półsnu. W rozgorączkowanej głowie Róży, poczęły się rodzić i przesuwać jedne za drugimi obrazy z ubiegłego jej życia.

Widziała siebie, jako małą dziewczynkę, w towarzystwie matki na balkonie Taszkieńskiej ulicy. Widzi te ulice zalaną skwarnymi promieniami słońca, od którego broni ją gęsty wał winorośli, oplatającej cały front domu. Słońce, praży nie-miłosiernie, matka drzemie w rozstawionym leżaku, a ona, spogląda w dal białej ulicy, po której od czasu do czasu, przesuwa się tubylec w wielkim turbanie na głowie, w ubraniu z materii w kolorowe paski, albo kobieta, z obnażonymi ramionami i wielkim dzbankiem lub koszem na głowie. Oto kilku półnagich piekarczyków przebiegło przez ulicę, nosząc podłużne deseczki z podłużnymi bułkami na głowie. Miłe to były chwile, pełne szczęścia. Ale oto inne sceny przesuwały się przed oczami jej wyobraźni, okropne, przerażające i dzikie i znów oblicze jej,

jak na jawie reaguje na te obrazy, brwi marszczą się i trwoga maluje się na jej twarzy.

Widzi kłęb dzikich oblakańców, wyciągających do niej zakrwawione palce i usiłujących szarpać jej ciało ostremi pazurami, widzi idiotycznie roześmiane twarze z szeroko rozwartymi ustami i wyszczerbionymi zębami. Nagie ciała kobiece wywijające karkołomne kozły w powietrzu i na podłodze jakiegoś dużego pokoju, gdzie odbywa się szaleńcza orgia. Ją samą chwyta jakiś nagi mężczyzna za nogę i z dzikim rechotem zmusza ją do chodzenia na rękach. Męczy się okropnie, pada na załamujących się rękach, a na nią, wali się jakiś grubas, z wykrzywioną zwierzęcą namiętnością twarzy; przymyka oczy i czuje, że się dusi, brak jej oddechu...

Za chwilę znowu powraca widzenie z czasów dzieciństwa. Jest małą dziewczynką w krótkiej sukience, boso, biegającą po wysypanych piaskiem drózkach między kłombami kwiatów i krzaków porzeczek i agrestu w rozległym sadzie za domem w rodzinnym Taszkencie. Dziwi się, że ona tak mała, maleńka... Później wszystko miesza się i niknie. Oprzytomniała i ze ściśniętego żalością i smutkiem gardła wyrwał się szep:

— Boże, Boże... czy ja, rzeczywiście byłam kiedyś taką małą i niewinną, ach... czemuż nie mogę nią być nadal... czemu skazana zostałam na życie w hańbie i poniżeniu. Gdzie szczęście minione... niepo-

wrotne?... gdzie lata swobodnej bez troski, nieświadomości i niewinności? Ach, czemu to życie tak straszne?...

XII.

Staruszkowie, widząc nagły wybuch płaczu swej młodej lokatorki, pozostawiającej należność za mieszkanie bez słowa na stole i porzucającej ich w stanie widocznego rozżalenia i urazy, byli teraz przygnębieni całym zajściem. Staruszek był wyraźnie zachwiany w swoich poprzednich domysłach i podejrzeniach, a żona jego nie omieszkała mu powiedzieć, że obraził swem żądaniem biedną, niewinną, samotną dziewczynę. Staruszek przygryzł wąsy, cokolwiek strapiiony swym postępkami, pochylił głowę i nie przestając bębnić palcami po blacie stołu, myślał:

— Więc znowu pudło. Jaki ze mnie stary idjota, że podejrzewałem tę dziewczynę. Coprawda miałem powody i podstawę... ale, kto wie, może teraz świat inny, jak dawniej i co dawniej nie uchodziło, dziś jest na porządku dziennym.

Żona zaś przeczuwająca zmianę w usposobieniu męża, odezwała się:

— Pójdę ją uspokoić, a potem ty przyjdiesz ją przeprosić, bo naprawdę mi jej żal i nie będę mogła się przyzwyczaić do jej braku, gdyby naprawdę chciała się wyprowadzić. Czy źle było posłuchać jej gry i śpiewu tych modnych teraz p.ose-

nek? Dom nasz poweselał, trochę przy tej dziewczynie — dodała.

Podeszła po cichu do drzwi i zapukała, ale lokatorka nie odzywała się. Staruszkę ogarnął niepokój, gdy wtem drzwi otworzyły się, a na progu ukazała się Róża z zaczerwienionemi od płaczu oczami, płonącemi blaskiem podniecenia. Jakiś wyraz zdecydowania, zaciętości i rozpaczki jednocześnie malował się na jej twarzy. Staruszka nigdy ją taką nie widziała, spoglądała więc na nią z trwogą i przemagając wzruszenie, przemówiła do niej, biorąc ją za rękę:

— Dziecko drogie... co ci jest, zastanów się, co sę z tobą dzieje?

Róża podniosła głowę, ocknęła się jakby z letargu i wyrzekła smutnym głosem:

— Ach, to pani... — i czule pocałowała staruszkę w rękę.

Ta przycisnęła ją do siebie i chciała pocałować w twarz, lecz Róża cofnęła się w tej chwili gwałtownie, wrywając rękę swą, a całus ten zawiśł w powietrzu. Drżącym głosem zaś mówiła:

— Pani, ja... ja... nie jestem warta, by mnie całować.

Przy tych słowach upadła, jak długa do nóg staruszki, szlochając tak głośno, że stary właściciel mieszkania, słysząc to, pośpiesznie skierował się do pokoju, a widząc tę scenę, widocznie wzruszony przystąpił do leżącej i zaczął serdecznie przemawiać do niej i uspakajać, usiłując skłonić ją do powstania i przepraszać za

swe podejrzenia i nieufność. Okazało się jednak, że biedna dziewczyna zemdl'ała właśnie, tak, że staruszkowie byli zmuszeni podnieść ją z ziemi i położyć na łóżku. Podczas kiedy przestraszony na dobre stary człowiek, szybko wydostawał flakonik trzeźw'acej soli i podał go żonie, ta natarła jej czoło kolońską wodą, czem wkrótce przywrócono młodą kobietę do przytomności. Usiadła na łóżku i uśmiechając się smutno, zaczęła:

— Już mi dobrze, dziękuję, bądźcie spokojni, nic mi nie jest i wcale się nie gniewam, bo i za cóż? za wasze dobre serce? Chociaż jestem z wami ostatni raz... chcę wytłumaczyć, dlaczego nie jestem godna waszej miłości i przywiązania, a nawet szacunku, tak, niegodna jestem i podła...

Tu zaczęła gorączkowo opowiadać, jakby śpiesząc się zrzucić z siebie balast niezasłużonej miłości i współczucia:

— Niestety, nie omylił się pan, podejrzewając mnie... ja jestem sto razy gorsza... tak, tak, oszukiwałam was przez cały czas pobytu u was. Nie dlatego co prawda, aby ukrywając swe zamiary, skrzywdzić was, nie, o tem nigdybym nie pomyślała, ale by ukryć przed wami swoje podwójne życie. Ach! gdybyście byli wiedzieli, kim właściwie jestem, z pewnością nie mogłabym u was mieszkać! Mogłabym też nie odkrywać swej tajemnicy i opuścić nieznaną wasze progi gościnne, ale widząc wasze czyste serca, miłość i czułość dla mnie, postanowiłam wyprowa-

dzić was z błędu, w jakim dotąd trwaliście, niech chociaż w ten sposób szpetota moralna i hańba, złoży hołd czystości serca i uczucia, wtedy ujrzycie, że przerastacie mnie pod względem moralnym nieskończenie i pojmiecie, że nie dla mnie miejsce obok was, że precz iść stąd powinnam! Serdecznie pragnę wam podziękować, dobrzy ludzie, za waszą czułość, za opiekę nade mną, niegodną. Proszę tylko o jedno, o pobłażliwość, bo na drogę, po której kroczę, zostałam wepchnięta przemocą tragicznych, smutnych okoliczności, a teraz niema już dla mnie ratunku, niema... — powtarzała w zamyśleniu.

— Oto cała prawda: jestem kobietą upadłą... to, co chciałam wam powiedzieć, ale trudno, tak los chce... Jeżeli pozwolicie, to ucałuję jeszcze na pożegnanie wasze ręce i pójde sobie...

Tu łzy znowu zabłysły w jej oczach, zmuszając do ukrwicia twarzy w rękach.

Staruszkowie siedzieli dziwnie nieporuszeni, jakby oniemieli, nie odzywając się słowem i nie dowierzając swym uszom. Obojgu zabłysła jedna i ta sama myśl — dziewczyna bredzi w gorączce. Odgadując jakby ich myśl, zawołała:

— Ach, Boże mój... widzę, że nie wierzycie mym słowom, a może nawet uważacie mnie za niespełna rozumu. Niestety, jestem przy zdrowych zmysłach i to, co wyznałam wam, jest prawdą, straszną. Powtarzam, że jestem nierządnicą i to już od kilku lat. Zamieszkałam u was, po-

dając się za studentkę, chciałam bowiem za wszelką cenę zerwać z tem bagnem i błotem moralnem, w którem zmuszona byłam dotychczas się zanurzać. Zaczęłam coprawda starać się o jakieś zajęcie biurowe. Tu jednak, znowu spotkało mnie mniej więcej to samo, co dziewczynę publiczną na ulicy. Każdy z pracodawców, dawał mi odrazu do zrozumienia, że jestem pożądana w jego przedsiębiorstwie, jako dobrze zbudowana i pociągająca swemi wdziękami kobietem „pracowniczką”, innemi słowy, że nadal będę „pracować” w swoim fachu, założę tylko maskę uczciwej kobiety, a na taką rolę nie chciałam się zgodzić. Nie chciałam nikomu mydlić oczu i praktykować wśród inteligentnych i eleganckich ludzi, to samo, co do niedawna praktykowałam, niejednokrotnie, z tymi osobnikami, jako dziewczyna uliczna w sferze półświatka. Nie, nie mogę ubierać się w maskę cnotliwej, by samą siebie oszukiwać. I tu i tam hańba. Tu, bez żadnych pozorów cnotliwości, tam upozorowana. Tu, jestem tą, za którą mnie uważają i nikt nie będzie potrzebował przynajmniej zdzierać z mej twarzy maski obłudy, bo teraz jestem bez maski. Nie mam już nic do stracenia, gardzę sama sobą, lecz pozostane już na zawsze w tem bagnie zepsucia — taki już mój los nieszczęsny! A później pójdę do mojej matki i ojca... tam, może będzie mi lepiej... — uśmiechnęła się gorzko. — No, teraz, moi zacni, po tem com wam opowiedziała, myślę, że nie będziecie wá-

tpić, że rozsądnie mówię. Wiem, że to w waszem pojęciu, przekracza wszelkie możliwości, lecz jest to, nie dająca się zaprzeczyć prawda — zakończyła smutnie.

Starzy zrozumieli teraz, że jej wyznania są prawdziwe i rzecz dziwna — staruszek zamiast triumfować nad żoną, poczuł litość dla tej dziewczyny i wielką łza stoczyła się po jego zwiedłych policzkach. Odezwał się wzruszonym głosem:

— Słuchaj dziecko... ty jesteś niewinna i dlatego rozumiem twój ból. Winni są ci, co cię taką zrobili, a jednak... mam wszystko, czy naprawdę niema już dla ciebie ratunku? Czy nie lepiej później, niż wcale?... Jesteś jeszcze zbyt młoda, żeby nie było ratunku dla ciebie. Powiedz mi tylko słowo, że pragniesz się nawrócić i zapomnieć o swej przeszłości, a ja i moja żona, nigdy ci o niej nie wspomnimy i będziesz nam córką, najmiłą uciechą naszej starości. Dziecko moje, jeszcze możesz być szczęśliwą w życiu...

Staruszka zdziwiona początkowo tą niezwykłą wspaniałomyślnością męża, ucieszyła się ogromnie i patrząc błagalnie w smutne i piękne oczy dziewczyny, wzrokiem zdawała się prosić, by nie odrzucała propozycji jej męża.

Róża zalała się łzami i padając do nóg staruszkom zawołała:

— Nie, nie mogę was krzywdzić, przymując imię córki waszej, tej najbliższej, najdroższej sercu rodziców istoty. Spro-

fanowałabym to imię święte. a was okry-
łabym hańbą na stare lata. Zresztą nie zdo-
łałabym nigdy zapomnieć o swem życiu
dawnem. niemorainem. a przeżyta hańba,
zatrzymała mi chwile szczęśliwe. przy
waszym boku. To niemożliwe. to nie-
możliwe!... — Z jakiej racji... wy uczci-
wi, spokojni ludzie. macie dzielić ze mną
ten ciężar hańby, który zmuszona jestem
dźwigać. z jakiej racji macie dla jakiejś
obcej, biednej dziewczyny, znosić przy-
krości. na jakie nie zasłużyliście — mó-
wiąc to, całowała oboje po rękach, płą-
cząc i łkając.

Zrozumieli nareszcie starzy, że ta skrzyw-
dzona dziewczyna. nie może przwiązać ich
ofiary i posmutnieli. bo ciężko im było roz-
stawać się z tą, którą polubił serdecznie.

Na dworze już zmrok zapadał.

Staruszek podniósł się ze swego miej-
sca z ciężkim westchnieniem i zwrócił
się do Róży:

— Tak, rozumiem cię. Jesteś skrzyw-
dzona na zawsze. Nie zatrzymuję cię,
skoro nie chcesz z nami dzielić doli. Żeg-
nam cię i nie osądzam. nie do nas sąd na-
leży. Pożegnaj, dziecko, tą, która gotowa
była być ci matką i pamiętaj. że gdy bę-
dzie ci ciężko i będziesz potrzebowała po-
mocy. przychodź. znajdziesz zawsze życz-
liwe ci serca, pomoc i opiekę. Żegnaj, dro-
gie dziecko!

Pożegnali ją oboje czule i zostawili w
pokoju.

Róża podeszła do okna i otworzyła je.

Fala chłodnego powietrza otrzeźwiła ją, normalny, ożywiony ruch uliczny przypomniał jej, że i ona musi iść swoją drogą życia i za chwilę zmieszać się z tym tłumem przechodniów idących po swoich drogach i ku swym celom. Podeszła do toalety i przyglądała się uważnie swemu odbiciu. Były jeszcze ślady łez, a oczy świeciły nienaturalnym blaskiem nerwowego podniecenia. Wydała się sobie piękniejszą, niż zwykle. Twarz miała w sobie wyraz potęgi i stanowczości, bo oto miała być ofiarą obojętnego życia, miała iść dalej po ścieżce niedoli i hańby; wyżyć się tęsknoty do życia ludzi uczciwych. Przed nią cel jeden — zemsta! Zaczęła się ubierać, wybierając najstrojniejsze odzienie. Spakowała swe rzeczy w dwie ręczne walizy, oddała klucz właścicielce mieszkania i żegnana po raz ostatni przez stare małżeństwo, opuściła ich mieszkanie z uczuciem, że ostatecznie zrywa ze wszystkim, co uczciwe i dobre. Prosiła dozorczynię o zawołanie taksówki i za kwadrans była już na miejscu, na Chmielnej.

XIII.

W kawiarni na Dzielnej, gdzie odbywała się wczoraj zbiórka na pogrzeb „Smoka“, od rana już panował wielki ruch i ożywienie, zresztą jak zwykle. „Katarżan“ już od dwóch godzin urzędował na swoim zwykłym miejscu za bufetem, odbierając pieniądze, wydając polecenia i zapi-

sując coś w zatłuszczonym notesie. Każdego ze swych stałych gości witał wyrażeniem nadziei, że z pewnością dobrze stoi po dzisiejszej nocy. Ciekaw był tylko „wiele” — reszta go nie obchodziła.

„Stary” miał specjalnego rodzaju wdech: umiał poznawać każdego „zarobionego” po jego minie i zachowaniu, jednakże każdego dobrego znajomego witał, jakby ten przychodził prosto z „roboty” i to udanej, a był to z jego strony akt kurtuazji i uprzejmości, którą obdzielał i tych, co rzeczywiście przychodzili „zarobieni” i tych, co mieli nimi być w przyszłości.

Dwie jego córki, ładne, zdrowe dziewczęta, urodzone na Syberji i o typie cokolwiek moskiewskim obsługiwały gości, obdarzając niejednego uśmiechem swych purpurowych, jędrnych, zmysłowych warg. Szczególną wszakże uprzejmość okazując tym, których im ojciec polecił znaczącem kiwnięciem siwej brody. Kręciły się wokół nich, bo byli wybrankami fortuny, tymi, którym się łowy udały i którzy teraz za swój spryt, odwagę i rzywko chcieli pić i kochać. Do tych należał i Dawid „Nachalnik” nie z tytułu, że był świeżo „zarobiony”, lecz, że należał do elity złodziejskiej i wszędzie się z nim liczyli.

Jedna z dziewcząt podeszła do stolika Dawida i widząc go zamyślonym, spytała, czemu przypisać jego smutek. Przysiadła, starając się rozweselić go — mówiła wesoło, obrzucając go wiele obiecującym spojrzeniem pocieszycielki:

— Coś ty tak wczesnie do nas zabłądził, Dawid, pewno ci kochanka nie dała spać... A widziałam ją wczoraj... ładna jest, niema co, dobry masz gust — śmiała mu się prosto w oczy.

— Wcale nie spałem i spać mi się nie chce.

— A, rozumiem, byłeś na „robocie“... no i co?

— Nic, była „poruta“ i ledwo uszłem.

— To źle. Ale nie martw się, im dłużej dzisiaj siedzisz w domu, tem dłużej będziesz na woiności — i filuternie pogroziła mu palcem.

Dawid spojrział na zegarek i zagadnął:

— Chcę cię o coś poprosić.

— Z największą przyjemnością — odparła, uśmiechając się — tylko nie proś mnie, czasem do łóżka, bo dopiero wstałam z niego, a widzę, że ty masz ochotę iść spać, czy zgadłam?

— Tak, zgadłaś, chcę się trochę prze-spać, a ty „moja“ przyjdzie o jedenastej. Powiedz jej, żeby zaczekała na mnie chwilę, a ty zawiadomisz mnie o jej przyjściu, to wszystko.

— Ha, ha, ha, dobrze, dobrze! Możesz iść, masz tu klucz, jak przyjdzie, to cię obudzę.

— Dziękuję ci, nie potrzebują iść aż na Nalewki — uśmiechnął się Dawid do niej życzliwie.

Dziewczyna podała mu klucz i zadowolona z takiego obrótu rzeczy, dorzuciła:

— Przyjemnych marzeń, ja tam przyji-

dę na górę zobaczyć, czy ci się dobrze śpi...

Róża opuściła mieszkanie staruszków, by udać się wprost do swej znajomej rozwódki i prosić ją o odstąpienie pokoju, w którym chce zamieszkać z kochankiem.

Rozwódka zajmowała dwa pokoje z kuchnią i zgodziła się odstąpić jej jeden pokój, pod warunkiem wszakże, żeby Róża nie miała do niej pretensji, jeżeli uda jej się z czasem zbałamucić jej kochanka. Rozwódka, młoda jeszcze kobieta, utrzymywała, że nie może za siebie reczyć, że nie jest kamieniem bez czucia, by mogła obojętnym okiem patrzeć na kochających się, że „krew nie woda“ i t. d.

Wreszcie koleżanki zgodziły się, poczem Róża wybrała się na Dzielną, gdzie w znanej już kawiarni miała zawiadomić Dawida o załatwieniu sprawy mieszkania.

Po przybyciu na miejsce przed jedenastą, nie zastała wprawdzie kochanka, natomiast po chwilowem oczekiwaniu zbliżyła się do niej córka właściciela i powiedziała:

— Pani znajomy czekał na panią już o ósmej godzinie, ale nie mógł się doczekać i jest teraz u nas na górze, zaraz go zawołam — podała jej krzesło, a sama pobiegła na górę.

Róża usiadła z dziwnem uczuciem smutku, czy też zazdrości, zaobserwowała bowiem, że córka właściciela zmieszała się, ujrzawszy ją. Ale po chwili roześmiała się w duchu i określiła to uczucie, niewyraźne i nieprzytomne uczucie, jako obawę o

jego kieszeń, o zazdrości nie mogło być mowy, gdzie była nienawiść i pragnienie zemsty.

Wtem wszedł Dawid. Przywitał się z rezerwą:

— Byłem w strachu i niepewności, myślałem, że już...

Odczuła jego chłód i ironję w głosie i odparła:

— Przybyłam umyślnie trochę później, bo nie chciałam ci przeszkadzać... — tu spojrzała wymownie na śledzącą ich dziewczynę.

Dawid zarumienił się lekko i pokrył swe zmieszanie pytaniem:

— Jak tam z mieszkaniem?

— Możesz się jeszcze dziś wprowadzić do mnie... jeżeli jeszcze chcesz?

— Odzywasz się do mnie, jakbym ci co złego zrobił... Nie poczuwam się do winy.

— Już dobrze, dobrze — uśmiechnęła się — nic mi nie zrobiłeś złego, ale i dobrego nic...

— A co chcesz, żebym zrobił, wszystko uczynię dla ciebie! — powiedział, patrząc jej w oczy.

Róża kusicielsko uśmiechnięta, myślała, że oto znowu jest pod jej urokiem.

— A teraz chodźmy na nasze nowe mieszkanie, — odparła Róża — będzie nam dobrze, bo właścicielka mieszkania jest moją dobrą przyjaciółką. Tylko nie zostań czasem i ty jej przyjacielem — pogroziła mu palcem i wstała, biorąc go za rękę.

Wyszli na ulicę, a córka „katorżnika“ odprowadziła Różę nienawistnym spojrzeniem, przysięgając sobie, że wyteży siły, by rozłączyć tę parę i zdobyć Dawida dla siebie.

XIV.

Już tydzień Dawid mieszkał ze swą kochanką w odnajętym pokoju na Chmielej. Siedział właśnie przy stole, podparłszy głowę rękami, zamyślony i przygnębiony. Od czasu poznania Róży, nie wiodło mu się jakoś. Był już niemal ogołocony z pieniędzy, bo świeża kochanka okazała się kosztownym nabytkiem i nie było dnia, żeby nie musiał dawać jej na coraz to nowe wydatki, w wyszukiwaniu tych dziur, któremi miała odpływać gotówka, kochanka okazała się mistrzynią.

Trzeba więc było nagwałt starać się o pieniądze; jakby na złość jednak, gdzie się ruszył ze swoimi ludźmi, wszędzie natrafiał jakieś przeszkody, wszędzie była „poruta“.

Rozmyślał teraz nad tem niepowodzeniem, ścigającym od pewnego czasu jego szajkę i przychodził do przekonania, że czasy są coraz cięższe dla złodziei. Technika policyjna w walce ze światem przestępczym, wydoskonalona została do tego stopnia, że trzeba nielada sprytu w układaniu planu wyprawy, by móc policję wprowadzić w pole.

Wielu i to najzdolniejszych złodziei

przeszło na służbę urzędów śledczych, nic dziwnego więc, że policja jest doskonale informowana o stosunkach panujących w świecie złodziejskim, a informacje te umie w odpowiedni sposób zużytkować.

— Ciężko żyć, ciężko — myślał — a tu na dobitkę szatan mnie popchnął w objęcia tej kobiety. Oj, zebym ja nie skończył czasem, jak ten biedak „Smok”. Gdzie moja przezorność i rozwaga? Jak tak dalej pójdzie, to ja i „moi”, zdechniemy pod płotem z głodu. Trzeba koniecznie opracować jakiś dobry plan, bo jak tam „moim“ naprzykrzy się czekać, to albo znajdą innego wodza, albo się wezmą do mnie po swojemu. Tak, ludzie potrzebują pieniędzy i ja też. A więc do roboty!...

Wtem drzwi się otwarły i do pokoju wpadła jak bomba zaczerwieniona od szybkiego biegu Róża i, wymachując gazetą, wołała krzykliwie:

— Słuchaj tylko, słuchaj, jak opisują ten wypadek na Smoczej, masz, czytaj!

Dawid, niezadowolony, że przerwano mu rozmyślenia, rzucił spojrzenie na nagłówek artykułu, nie kwapiąc się do czytania, to też Róża nie omieszkała przeczytać go sama. Pod nagłówkiem: „Tożsamość denatów z ulicy Smoczej“, była podana następująca wiadomość:

„Kilka dni temu donosiliśmy o krwawym dramacie, jak się rozegrał na ulicy Smoczej. Nazwisk bohaterów tragicznego zajścia nie mogliśmy podać, ponieważ zmarli nie posiadali przy sobie, ani też w mieszkaniu, gdzie miała miejsce tragedia, żad-

nych dokumentów, ustalających tożsamość ofiar krwawego zajścia.

Obecnie dowiadujemy się świeżych szczegółów. Oto podczas oględzin rzeczy pozostałych po denatach, znaleziono w kieszeni kamizelki zmięty skrawek koperty, na którym szczęśliwie ocalał adres niejakiego Niwińskiego, zamieszkałego na ulicy Wolskiej 47. Zwrócono się pod tym adresem i przekonano się, iż ów Niwiński jest znanym i notowanym niejednokrotnie włamywaczem, operującym nie tylko w Polsce, ale i zagranicą. To naprowadziło władze śledcze na właściwy trop. Po zbadaniu odcisków zmarłego mężczyzny, żmudna ekspertyza dzielnego daktyloskopa warszawskiego urzędu śledczego pozwoliła ustalić bezsprzeczne tożsamość denata, mordercy i samobójcy razem. Oto okazał się on groźnym, międzynarodowym włamywaczem, znanym w świecie przestępczym pod przydomkiem „Smok”, którego nazwisko prawdziwe brzmi Antoni Zilberstein. Urodzony w Odesie, a od roku tysiąc dziewięćsetczternastego poszukiwany za zuchwałe włamanie do magazynu jubilerskiego na ulicy Nikońskiej w Moskwie, był lata całe nieuchwytny dla władz policyjnych. Nadmienić należy, że aresztowany na miejscu włamania, do czego przyczyniła się zemsta współnika, który zamknął podstępnie „Smoka” w obrabowanym lokalu, po odstąpieniu go do więzienia na „Tagance”, zbiegł i do śmierci pozostawał nieujętym. Tożsamości kobiety nie zdołano ustalić.

— Choć po niewczasie, jednak doszli wszystkiego — myślał Dawid — a zrobiła to ta przekłeta technika policyjna, ten bicz boży na nasze głowy.

Kiedy Róża skończyła czytanie, Dawid podniósł się z miejsca i zbierał się do wyjścia.

— Dokąd to mój pan i władca zmierza? Zaraz będzie obiad.

— Niedługo wrócę, muszę się zobaczyć z kolegą, umówiłem się na trzecią dzisiaj. — Wyszedł i szybko udał się do wspólnika. Za godzinę, wchodząc zpowrotem do mieszkania i już na schodach usłyszał podniesione głosy w zajmowanym przez nich pokoju. Mimowoli przystanął pod drzwiami i słuchał. Ktoś mówił:

— Nie myśl, że on jest taki głupi, że będzie z tobą — żył długo! — Poznał głos, a była to z całą pewnością piękna Florcia, romantyczna córeczka starego „katorżnika“ z ulicy Dzielnej. — Lada dzień cię zostawi, jak tamten. Ty jesteś głupia inteligentka, a on potrzebuje „cwaniczki“.

Dawid otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Zastał jakiegoś nieznajomego i Florcię, która niez mieszana wcale wejściem Dawida, obrzuciła jego kochankę wymysłami i obelgami, nie nadającemi się do powtórzenia. Róża milczała, widocznie nie zaprawiona jeszcze do podobnej szermierki słownej.

W pewnej chwili jednak potok gróźb i wymysłów przerwał stanowczy głos Dawida:

— Pani sobie za dużo pozwala, proszę nie zapominać, że jest pani u mnie, niech pani zamilczy, bo wyproszę za drzwi!

— Co, może chcesz mnie pobić? — wykrzyknęła Florcia, doskakując do niego i obrzucając go zapalczywym spojrzeniem.

W tej chwili, siedzący w milczeniu jęgomość, odezwał się:

— Gdzie kobiety się kłóca, nie ma pan prawa się wtrącać.

— Ja do pana nie przyjdę o prawo się pytać! — odparł Dawid, gniewny już, odezwane się bowiem nieznanego wyglądało na zaczepkę.

— Ale ja zato bez pytania pana prawa nauczę! — wrzasnął nieznanomy, sięgając do kieszeni. Nie zdążył jednak ręki wyciągnąć, bo momentalnie, dostał dwa tegie uderzenia, tak zwanym „bykiem” i został wyrzucony za drzwi z pokrwawioną twarzą.

Florcia podniosła swój miły głosik do najwyższej skali, złorzeczając swej rywalce:

— Ja cię nauczę ty „dzidro“, wycieruch, gęś inteligentna, my się porachujemy, czekaj! Odechce ci się nie tylko tego, ale wszystkich kochanków.

Wygrażając pięściami, wybiegła za wyrzuconym alfonsem.

— Co to za jeden i czego tu chciał? — zapytał Dawid bladej jeszcze i wystraszonej kochanki.

— Nie znam go wcale! — odrzekła — przyszedł z Florka, ona nienawidzi mnie,

że żyję z tobą, dobrze, że przyszedłeś i wybawiłeś mnie od ich towarzystwa, byliby mnie chyba zamordowali.

Po raz pierwszy, Róża przekonała się naocznie o herkulesowej sile kochanka i nagle uczuła się dumna i uspokojona.

— Dopóki mam go za obrońcę, mogę się nie obawiać swych wrogów — myślała.

— Pamiętaj, żebyś go nie znała! Mnie się zdaje, że coś tam kiedyś musiało być między wami. Przypomnij sobie, może to jeden z tych „zapasowych“, a że ich wiadać zbyt wielu miałaś, więc nic dziwnego, że o tym zapomniałaś — mówił z ironją w głosie.

— Nie, nie, ja go wcale nie znam — broniła się Róża niepewnym głosem.

Nie słuchał jej już, bo zatopiony nagle w myślach, zaczął nerwowym krokiem spacerować po pokoju, mrużąc do siebie jakieś niezrozumiałe słowa i gestykując od czasu do czasu. Zapomniał, że się znajduje we własnym mieszkaniu, miarowym krokiem przemierzał niezmordowane pokój od ściany do ściany, jakby się znajdował w celi więziennej i podczas, gdy posłuszne nogi, niosły go jak automaty, myśl pracowała, tworząc skojarzenia logiczne, roztrzásając przesłanki i wysnuwając wnioski.

— Florka za mna oddawna strzela oczami, a stary „katorżnik“ pragnie mnie mieć za zięcia — rozmyślał — ale to równałoby się zaprzędanu. Musiałbym zostać złodziejem do końca życia, a ja tego przecieź

nie chcę, mam zupełnie inne plany. Różę pokochałem prawdziwą miłością, poślubię ją i rzucę ten niebezpieczny fach. Aż tu nagle staje między nami Florka, wprowadza jakiegoś „nygusa“ i nareszcie ta przekłeta historia z wyrzuceniem go za drzwi. Wiem, że się na tem nie skończy. Niech to diabli porwą! — myślał podniecony.

W samej rzeczy, przed wieczorem zjawił się jakiś obdartus, zapytując od proggu:

— Czy tu mieszka Dawid „Nachalnik“?
— a po otrzymaniu potwierdzającej odpowiedzi, wręczył Dawidowi list.

Dawid rozerwał koperte.

„Szanowny Panie! — czytał — Mamy zaszczyt zaprosić Pana na „dintojre“, która ma się odbyć dzisiaj wieczorem o godzinie dziesiątej na ulicy Krochmalnej 14. Przed bramą domu, będzie czekał na pana ten sam osobnik, który doreczył Panu ten list i on zaprowadzi Pana, na miejsce. Żądamy satysfakcji dla naszego pobitego kolegi. Będziemy mieli okazję przekonać się, czy i wobec nas, będzie Pan taki mocny. Radzimy przybyć; w przeciwnym bowiem razie, będziemy zmuszeni złożyć Panu wizytę, co nie sprawi ani nam ani Panu wielkiej przyjemności. Z poważaniem“. Następował podpis nieczytelny.

Oczekującemu obdartusowi odpowiedział Dawid, że będzie na miejscu o oznaczonej godzinie i że odpowiedzi na piśmie nie da; wypchnął chłopaka za drzwi.

Przebiegł oczami po raz drugi treść listu i podał go kochance.

— Przeczytaj sobie ten miły liścik od dawnych swoich przyjaciół i opiekunów— mówił sarkastycznie, obserwując uważnie jej zaleknioną twarz.

Róża przeczytała list : z charakteru pisma oraz niewyraźnego podpisu, wywnioskowała, że może list ten został napisany przez głównego herszta sutenerów i handlarzy żywym towarem, w którego rękach raz już się znajdowała, osławionego Icka Goldfarba. Zaraz na początku swej kariery, jako dziewczyna publiczna, natknęła się na niego, zostając jego kochanką. Przez rok blisko żyli razem, ale wreszcie Icek wyjechał z partją kob et do Ameryki i na skutek tego stosunki między nimi zerwały się, jakkolwiek Icek pozostawił ją pod czujną opieką swych kompanów. Była pewna więc, że obecnie po powrocie z Ameryki, Icek zechce przypomnieć się jej, by na nowo zmuszać ją do nierządu, z którego czerpał zyski. Domyślała się również, że główną sprężyną była tu zazdrośna Florka, która musiała przypomnieć Goldfarbowi, że jego kochanka znalazła sobie nowego wielbiciela, że zdradziła go i że powinna wrócić do niego. Wzwyżskując pogardę i niechęć, jaką odczuwał Dawid, jako złodziej, do przedstawicieli sutenerstwa, postanowiła Róża rozpocząć kontrofenzywę przeciw swym dawnym opiekunom.

— Nie mam pojęcia, czego oni chcą ode mnie? — powiedziała tonem skargi.

— Ale zato oni wiedzą, moja kochana, czego chcą od ciebie. A teraz z powodu

tego łobuza i do mnie coś czują. Proszę cię po raz ostatni, powiedz mi, czy znasz tych ludzi, którzy cię napastują i jak: e cię z nimi łączyły lub łączą stosunki? Potrzebuję to wiedzieć koniecznie, rozumiesz?! — podniósł głos.

Róża wybuchnęła płaczem. Był to szczerzy odruch, spowodowany obawą przed szajką sutenerów. Potrzebowała teraz obrony: pomocy kochanka, jak nigdy dotąd. Chociaż wiedziała dobrze, że Dawid ma znaczenie i wpływ przedewszystkiem w sferze złodziei, żyjących z sutenerami, jak pies z kotem, jednak miała nadzieję, że opieka, jakiej dostarczy jej Dawid, ma znaczenie istotne, zapewniając jej wszakże bezpieczeństwo.

I nie myliła się, choć przedstawiciele obu tych fachów nienawidzili się wzajemnie, jednak przeciwieństwo to łagodził fakt, że wielu złodziei zaniechało w ostatnich czasach swego fachu, biorąc się za sutenerstwo, jako zawód bezpieczniejszy, łatwiej uchodzący bezkarnie. To też Róża przerażona perspektywą dostania się w moc dawnych swych opiekunów, z prawdziwą trwogą w głosie zwróciła się błagalnie do swego kochanka:

— Ja pójdę z tobą na tę „dintojre“ i błagam cię, obroń mnie przed temi ohydnyemi hienami, oni mnie prześladują, bo wymknęłam im się, nie chcąc pracować moją hańbą na nich. Nie wydawaj mnie na łaskę tych niedźników!...

— Dobrze, ale powiedz mi, co cię łączy z tym „nygusem“, co tu był dzisiaj?

Róża zawahała się zlekka, ale postanawiając wreszcie wyznać całą prawdę, mówiła:

— Opowiem ci wszystko, co zaszło między nami. Oto w kilka miesięcy po przyjeździe do Warszawy, kiedy zmuszona byłam z braku środków do życia zamieszkać na Wołyńskiej i „chodzić” po ulicy, spotkałam pewnego wieczoru, elegancko ubranego mężczyznę, wychodzącego z Dworca Głównego. Wyglądał na podróżnego cudzoziemca, w rękę trzymał podróżną walizkę i ciekawie rozglądał się po ulicy. Podeszedł do mnie i zagadnął po rosyjsku, gdzie jest hotel „Angielski” i którędy ma się do niego skierować. Ja tylko czekałam na takiego „gościa”, bo jako przyjezdny i cudzoziemiec, był dla mnie najbardziej pożądanym, — załatwił swoje pojedzie, a ślad za nim zaginie. Porozumieliśmy się przedzej, niż się spodziewałam. Za kwadrans, już siedziałam z gościem w hotelu i zjadałam kolację, a potem już wiesz...

— Więc to był on? — przerwał Dawid, zaciskając pięści.

— Tak, to był on. Rano, kiedyśmy wstali, przyznał się kim jest i dlaczego, użył tego podstępu. Oto szajka ich była doskonale poinformowana, że ja nie zgodziłam się wejść z nim w spółkę, a raczej dać im się wyzyskiwać pod pozorem opieki, oddawna uznał mnie za obiekt, godny zainteresowania ze względu na dochody, jakie mogłabym im dawać. Teraz kiedy

mnie posiadał podstępem, miał według ich prawa podstawę do roztoczenia nade mną opieki, a gdybym ją odrzuciła, miał prawo mnie prześladować : gwałtem zmuszać do posłuszeństwa. I rzeczywiście, odtąd zaczęli mnie prześladować na każdym kroku, tak, że w końcu, nie chcąc im się poddać, udałam się, pod opiekę... starszego agenta policji obyczajowej, wynagradzając go od czasu do czasu... Odtąd też ustały te szykany i napaści z ich strony, bali się zadzierać z moim opiekunem, potrzebując jego łaski. Teraz, kiedy dowiedzieli się, że żyję z tobą, na nowo wzięli się do mnie. I jestem pewna, że Florka, zazdrosna o ciebie, przypomniała mu o mnie i przyprowadziła go tutaj. Zresztą na „d:ntojrze“ przekonasz się, że ci prawdę mówiłam.

— Musisz iść ze mną, twoja obecność może mi bardzo dopomóc, a bez ciebie mogliby mnie skrzywdzić — mówił z ironją.

Róża myślała: — Wszyscy wy jesteście warc: jedni drugich, wy bestje, w ludzkim ciele Nienawidzę was wszystkich, gdybym tylko mogła, to bym kazała powywieszać jednych obok drugich, alfonsov, przy złodziejach. Ale w:erw musisz ty mnie obronić; później, poszukam sposobu, żeby się i ciebie pozbyć, bratku. Tak dbam o twoją m:łość jak o piąte koło u wozu. Żebyś się tylko „wyklepał“, mój kochany z takimi grubszymi sprawkami, to już po tobie, ale nie byłabym ko-

biętą, żebym nie potrafiła nic z ciebie wy-
cisnąć.

Podeszła do kochanka, objęła go za szyję i zaczęła namiętnie całować, co zawsze najlepiej skutkowało, bo i teraz rozbroiła go jej udana miłość.

Wszystkie dawniejsze obawy i podejrzenia znowu pierzchły, pod wpływem czułych pieszczot. Spoglądał na nią najczulej i myślał:

— Muszę jej bronić wszelkimi siłami, to dobra, tylko nieszczęśliwa dziewczyna. Postaram się nie zawieść jej nadziei, pokładanych we mnie, będzie miała ze mnie obrońcę oddanego, szczerego przyjaciela, tak jak teraz jestem oddanym kochankiem.

Z głową opartą na jego piersi, głaszcząc swego kochanka po twarzy, aksamitnymi dotknięciami zgrabnych palców, jednocześnie śniła o zemście, która się spełni wówczas, gdy pośpieszy z wiadomościami do urzędu śledczego, a „umłowany“ za krótką rozmyślać będzie o doznanych z nią rozkoszach.

XV.

Na ulicy Krochmalnej w domu pod czterem nastym, w pojedynczym pokoju, na drugim piętrze, od dawnych czasów, odbywały się sądy złodziejskie, czyli tak zwane „dintojry“.

Dziś przy stole sędziowskim mieli zasiąść nie złodzieje, ale „alfonsy“. I rzeczywiście o godzinie trzy na dziesiątą wie-

czorem w słabo oświetlonym pokoju, nie było ani jednego złodzieja. Przy stole siedziało trzech mężczyzn w średnim wieku, elegancko ubranych, jak przystało poławiaczom naiwnych piękności. Oczekiwali przybycia reszty kompletu sędziowskiego i skracając sobie czas opróżnianiem butelek alkoholu, którymi stół był zastawiony, prowadzili hałaśliwą rozmowę. Nie żalowano sobie, więc też i humory były doskonałe, ku czemu przyczyniła się również świadomość, że wszystko, co będzie wypite i zjedzone, idzie na rachunek tego, który przegra sprawę, nie ulegało przecieży kwestji, że nie uczyni tego nikt z areopagu sądowego, wszystko więc było w porządku.

Jeden z pośród siedzących miał właśnie dłuższą przemowę, mówił cokolwiek ochryplym głosem, dwaj inni słuchali: go z zaciekawieniem i uwagą, co chwila wybuchając śmiechem i trącając się szklankami z wódką.

Wesołą opowieść przerwało wejście jeszcze trzech mężczyzn, którzy nie omieszkali natychmiast dołączyć do wesołego grona, m.ile zdziwieni baterią różnego kalibru flaszek i butelek. Najstarszy z pośród zgromadzonych, spojrział na zegarek i stwierdził, że dochodzi dziesiąta.

— Może nie przyjdzie? — zauważył ktoś.

Nim zdążył ktoś odpowiedzieć, drzwi się otworzyły i na progu stanął oskarżony, Dawid „Nachalnik“. Spojrział śmiało po

obecnych, skłonił się sztywno i stał nieporuszony, wlepiwszy oczy w twarz najstarszego wiekiem mężczyzny, który wydał mu się znajomy. Ten zerwał się z krzesła i zdumiony zbliżył się do Dawida.

— Czyś to ty... czy duch twój? — zapytał.

— Tak, to ja! — odpowiedział Dawid i w tej chwili obaj padli sobie w objęcia.

Świadkowie tego serdecznego powitania wymownie milczeli, zaskoczeni tą niespodzianą sceną: Oto, prezes sądu, ściska oskarżonego, którego uważali za „złodziejzka“, z którym potrafia rozrachować się jak zechcą.

Przewodniczący zajął miejsce i zwrócił się do oskarżonego, rozkazując mu, by zajął miejsce, a potem przemówił do obecnych:

— Teraz przystąpimy do rozpatrzenia sprawy; ponieważ, jednak oskarżony jest najlepszym moim przyjacielem, a do ostatniej chwili nie wiedziałem kogo mam sądzić, więc rzekam się przewodniczenia w tej sprawie.

Odezwały się głosy opozycji:

— Ty jeden sprawiedliwie rozsądzisz! Wiemy o tem, choćby to był twój brat, albo ojciec.

Tylko poszkodowany z obandażowaną głową milczał ponuro. Stracił już nadzieję, na wygranie sprawy i żałował teraz, że dał się namówić Florce, która umyślnie przedstawiała Dawida, jako „lapserdaka“.

Czuł, że nic nie poradzi; nie może czepiać się kobiety, która żyje dobrowolnie ze

złodziejem tego znaczenia, co Dawid, choćby przedtem była prostytutką.

Postanowił więc nadać inny obrót sprawie i w tym celu zabrał głos:

— Panowie! Ponieważ okazało się, iż przeciwnik mój jest znany, jako złodziej i cieszy się przyjaźnią prezesa, uważam za swój obowiązek oświadczyć, że nie mam do niego pretensji za pobicie mnie, ponieważ zacząłem go i ubliżyłem mu, sprowokowałem go do czynnego wystąpienia, a że okazał się silniejszym ode mnie, więc mnie pobił, „trudno” mówić się. Ale jest inna sprawa, mam ważniejszą pretensję, proszę więc rozpatrzyć ją i wydać sprawiedliwy wyrok.

— Proszę mówić! — brzmiał rozkaz przewodniczącego.

— Ten pan mnie skrzywdził, zabierając mi kochankę, której nabycie i utrzymanie kosztowało mnie sporo pieniędzy, zabiegów i kłopotów. Domagam się więc zwrotu jej, lub odszkodowania za straty materialne i moralne.

Przewodniczący: — Co to znaczy, że pan domaga się? Pan nam przedstawia tylko swoje pretensje, a my rozstrzygniemy; nie ma miejsca na domaganie się, proszę się liczyć ze słowami! — a zwracając się do oskarżonego, zapytał:

— Co ty na to?

— Daję wam „złodziejskie słowo honoru“, że nie wiedziałem wcale o stosunkach jakie łączyły moją obecną kochankę z poszkodowanym. Proszę ją zawezwać, ona czeka na mnie w sąsiednim pokoju.

Przewodniczący wydał rozkaz sprowadzenia Róży. Jeden z obecnych wyszedł i po chwili wrócił, prowadząc ją widocznie wzruszoną i wylekłą. Ukłoniła się obecnym i stanęła przy kochanku.

— Pani jest tu główną przyczyną zajścia między tymi dwoma panami. Proszę mi powiedzieć, czy pani zna tego pana? — pytał przewodniczący, wskazując na osobnika z obandażowaną głową.

Róża przymrużyła oczy, obrzuciła wskazanego sobie mężczyznę pogardliwym spojrzeniem i odwracając wzrok od niego ze wstrętem nieukrywanym, odparła:

— Tak, znam go z tego, że jest wstrętnym alfonsem!

Tu przytuliła się do ramienia kochanka, jakby szukając obrony po tem śmiałem wyznaniu rzuconem obecnym, cały bowiem komplet sędziowski składał się wyłącznie z sutenerów i słowa te, musiały ich dotknąć. Przewodniczący przygryzł wargi i surowo skarcił:

— Proszę nie zapominać, do kogo pani to mówi! — nadrabiając miną, jak prawdziwy sędzia, a zdobywając się na powagę, co z twarzy jego robiło prawdziwą karykaturę, ciągnął:

— A czy bliżej go pani zna? Niech się pani dobrze przypatrzy!

Róża zarumieniła się zlekka i zaczęła opowiadać historję podstępnej nawiązania z nią bliższych stosunków przez pokrzywdzonego. Cały komplet śmiał się cynicznie z tego „kawału“ i chwalił podstęp, tak, że

przejęta wstydem i wstretiem Róża była zmuszona zamilknąć.

— A pan co na to? — pytał przewodniczący pokrzywdzonego.

— Tak jest, jak opowiadała. Nie zaprzeczam wcale temu i tem bardziej jestem z tego dumny, że potrafiłem te inteligentkę „nabrać“, tak, że była moją przez całą noc, później kilkakrotnie zmusiłem ją do posłuszeństwa, ale ostatecznie musiałem ją odstąpić „tajnikowi“ z „obyczajówki“, który się nią zaopiekował. Wiadomo, że z policją muszę być w zgodzie, ale gdy się dowiedziałem po powrocie z zagranicy, że ma świeżego kochanka, to upominam się o swoje. — zuchwale spojrział na nią. — Miała ze mną wyjechać do Argentyny, wydałem na nią przeszło dwieście dolarów — zakończył.

Róża spojrzała błagalnie na kochanka. Dawid przez cały czas siedział, nie odzywając się słowem, zapatrzony w starą, zmietoszoną gazetę, leżącą na brzegu stołu. Nagle zerwał się z miejsca: groźnie namarszczony, stanął przed poszkodowanym, który również porwał się wystraszony i cofnął się kilka kroków, niezbyt widocznie ufając swym siłom.

— Ty nędzniku! Jak ty śmiesz w mojej obecności czepiać się tej kobiety? — wołał Dawid. — Ja cię zabiję, jak psa!

Kilku obecnych zerwało się z miejsca i stanęło między zwaśnionymi, odciągając Dawida i sadzając go na jego krześle.

Nagle padł strzał — to poturbowany „al-

fons“ strzelał do swego przeciwnika. ale kula poszła w sufit. odrywając kawał tynku. Obezwładniono go, zabierając mu rewolwer. Zrobił się ogólny popłoch : zamieszanie. Róże omdlała złożono na kanapie, przyczem jeden z „alfonsów“, młody chłopak, korzystając z zamieszania, zaczął zdradzać niedwuznacznie apetyt na młodą kobietę, którą troskliwie zaczął się zajmować, nakrapiając jej twarz wodą kolońską, wyciągniętą z kieszeni i rozpinając bluzkę. Wkrótce jednak porządek był przywrócony, bo przewodniczący zagroził, że da w łeb temu, kto nie będzie posłuszny lub zakłóci spokój, a poszkodowanego pociągnie do odpowiedzialności.

Wszyscy zajęli miejsca, przewodniczący położył rewolwer przed sobą na stole i ocierał pot z czoła, spozierając z triumfem po obecnych. Po chwili zwrócił się do Róży:

— Co pani chce jeszcze powiedzieć w tej sprawie?

— Ten pan ma do mnie pretensje jako do swej własności, ale zapomna o tem, że ja sobą rządzę. Chciał, żebym ja swem ciałem utrzymywała go. Musiałam oddać się pod opiekę agenta policji, a później, kiedy poznałam swego obecnego kochanka — wskazała na Dawida — nie chce innego znać — zakończyła.

Teraz przewodniczący zwrócił się do poszkodowanego:

— Powiedz pan, na ile oceniasz swe straty?

— Ty możesz ode mnie dostać jeszcze raz w łeb, no i drugi „ślip“ mogę ci podbić, jeżeli masz chęć — wtracił Dawid.

— Uspokój się kolego! Wszvstko się ułoży — starał się łagodzić przewodniczący. — Wychodzić do drugiego pokoju — oznajmił wszvstkim.

Dawid z kochanką wyszli z pokoju obrad i z przedpokoju przeszli do sąsiedniego pokoju, zajmowanego przez „melniarke“, od której odnaimowano właśnie pokój, w którym obradowała „dintojra“. Za nimi zjawił się obandażowany i usiadł w milczeniu w pobliżu parv kochanków.

Po kilku minutach zawezwano Różę. Przewodniczący zapytał ją:

— Przy kim chce pani zostać?

— Powiedziałam raz i zdania nie zmieniam — odparła z przekonaniem.

— Dobrze, zawołać obu!

Weszli. Przewodniczący odczytał wyrok:

— „Dintojra“ uznała za słuszne potwierdzić istniejący stan rzeczy i oddalić pretensje poszkodowanego, jako nieuzasadnione, „dintojra“ nie może zmuszać kobiety, o którą chodzi, do współżycia z poszkodowanym. Poza tem, obecny jej kochanek nie posyła jej na ulicę, a więc mu zarzucić nie można. Co do pieniędzy, które poszkodowany miał wydać na nią, brak na to dowodów i „dintojra“ przechodzi nad tem do porządku dziennego. Za pobicie poszkodowanego „dintojra“ nakłada na oskarżonego dwadzieścia dolarów kary z

przeznaczeniem na biednych więźnów, a na poszkodowanego nakłada trzvdzieści dolarów na szpital na „Książceci” za wywołanie nieporządku i strzał do kolegi. Sprawa zakończona.

— Salomonowy wyrok — domyślała Róża i zwróciła się do kochanka:

— Chodź do domu, głowa mnie boli po tem wszvstkiem...

Dawid położył pieniądze na stole, zamierzając opuścić lokal, ale został zatrzymany przez przewodniczącego.

— Cóż ty, chcesz uciekać? Musimy przecież oblać „dintojrę“. Wiesz, że u nas na „sucho“ nie idzie. Ona może iść. jak chce, ale z tobą muszę troche pogadać, długośmy się nie widzieli.

— Jeżeli koniecznie chcesz, możesz iść do domu, ja później przyjde — zwrócił się Dawid do kochanki.

— Zaczekam na ciebie — postanowiła Róża, siadając obok kochanka.

— No, a teraz napijemy się, a wy prze-proście się — zawołał prezes.

Pobity „alfons“ pierwszy wvciaął dłoń do zgody. Przyznał w przviacielskiej rozmowie, jaka wywiązała się między do niedawna zawzietymi przeciwnikami, że rzeczywiście Florka namówiła go, żeby odnowił pretensję do swej dawnej kochanki i wyraził przypuszczenie, że Florce musi zależeć na tem, by Róża porzuciła Dawida. Przep to raz · drugi, a rozochocony prezes odciągnął na bok Dawida, chcąc z nim swobodnie porozmawiać. Przeszli do

drugiego pokoju, zabierając ze sobą Różę.

— Powiedz mi, czy kto wie, że mieszkasz... w Warszawie na „lipie“, bo wiesz, gdy cię ujrzałem, zlekłem się trochę. Mówili, że ci dali „gimzę“¹⁾ w Rosji, a tu widzę cię we własnej osobie — szantał prezes, kiedy przechodzili korytarzem, do sąsiedniego pokoju.

Musieli zatrzymać się chwilę. Róża bowiem zmieniła nagle zdanie i pożegnawszy się z prezesem, opuściła mieszkanie, tłumacząc się wzrastającym bólem głowy.

Przeszli do pustego pokoju oświetlonego podobną, jak w „sali“ obrad, nędzną lampką i usiadłszy na wyplatanych krzesłach, pod oknem, zaczęli ożywioną rozmowę.

— Przedewszystkiem, pamiętaj! nie „wyklep“ mego nazwiska prawdziwego, nazywam się tutaj Dawid Bresler, przez zwiśko „Nachalnik“. Już nawet cztery lata „odleżałem“ na to nazwisko. Wiem o tem, że jestem poszukiwany przez policję niemiecką, bo uciekłem z „Tegel“ w Berlinie, miałem tam piętnaście lat. Pamiętaj nie mów nikomu, bo może mnie kto „zakapować“ i byłbym zgubony. Polska wydałaby mnie, a tam, u tych „szwabów“, to wiesz — mogiła... A co z tobą się stało, że przestałeś kraść, a zostałeś alfonsem?

— Słuchaj, mój przyjacielu — odpowiadał

¹⁾ Śmierć przez rozstrzelanie.

zkolei prezes — już siedem lat mieszkam w Warszawie. Z Rumunji, gdzie dawniej zamieszkiwałem, musiałem wwiechać, bo groziło mi kilka lat. Przwiechałem tu, ożeniłem się z kobietą, która była dłuższy czas w Argentynie i przwiozła majątek. Dobrze mi z nią, ma dwa „bajzle“, a czasem, jak się trafi, to się też pare „gasek“ odprawi do Argentyny. Wiem, że ty, jako złodziej gardzisz tym chlebem, ale wierz mi, że to lepsze, jak niepewny złodziejski los, ja nie chcę leżeć na swoje „stare lata“ — żartował — a w Polsce, teraz bardzo „ślisko“ dla złodziejów. Ty też byś mógł się mądrze urządzić, masz taką ładną kochankę, mógłbyś na niej majątek zrobić w Buenos - Aires. Nie bądź głupi! Masz iść kraść na nią i nie być pewnym do tego, czy cię nie zdradzi. Wiesz, że mówili mi o niej, że podobno wsadziła swego kochanka do więzienia, „cwana“ jest, żadnemu alfonsov nie udało się jej opanovać, ona chce, żeby na nią kradli, to mądry lis. Ty wiesz, że jako twój stary przyjaciel, rozstrzygnąłem ten spór na twoją korzyść, ale radzę ci trzymaj ją krótko i nie dowierzaj jej za bardzo.

Dawid wysłuchał i po namyśle odpowiedział:

— Może masz i rację, że lepszy ten twój chleb, od mojego i muszę ci się przyznać, że od pewnego czasu, nie szykuje mi się jakoś, ślisko też bardzo — jak mówisz — chętnie bym rzucił ten złodziejski chleb, ale nie wiem, jak się wziąć do tego, żeby ją skłonić na nowo do uprawiania nierządu,

zdaje mi się też, że ją kocham—dokończył zawstydzony.

— Ha, ha, ha, a wiesz, kto to się może kochać, a nawet życie sobie odbierać dla kobiety? Tylko frajer! Mój kochany. — Ja jestem tego zdania, że miłość trwa pięć, dziesięć minut zgóra, a później ona dla mnie nie istnieje — oto moje zapatrywanie! Niezdolny byłbym do najmniejszej ofiary dla miłości kobiet.

— Tak, mój bracie, posłuchaj rady przyjaciela, a będzie ci dobrze. Pomysł tylko, co cię czeka, jeżeli nadal bedziesz się trudnił kradzieżą, — po pierwsze, mogą odkryć twoje piętnaście lat w Berlinie, a poza tem, za kradzież dostaniesz teraz najmniej sześć a to i osiem, teraz „recydywistom“ tak „wałą“. Więc radzę ci, jak bratu, namów ją, zdaje się, że ty masz wpływ na nią, przyprowadź ją do mojej żony, a ona już poprowadzi sprawę. A później będziesz mógł wyjechać z nią do Argentyny, jeżeli się wstydzisz być tutaj alfonsem i ręczę ci, że zrobisz tam majątek, bo to piękna i inteligentna dziewczyna, to jest skarb, zastanów się, a przekonasz się, że ci dobrze radzę.

Dawid milczał kilka minut, wreszcie odezwał się:

— Dobrze mówisz, spróbuje, masz rację... Jedna mi już dała cztery lata, dość tych romansów. Dziękuję ci, że mi otworzyłeś oczy, bo nie zdawałem sobie sprawy, co za skarb mam w ręku, postaram się go wykorzystać — uściskali sobie dłonie.—

Postąpię według twoich wskazówek —
zapewniał Dawid.

Zaczęli się żegnać. Dawidowi śpieszno
było połączyć się z kochanką i zapropono-
wać jej zmianę trybu życia w myśl wska-
zówek i rad starego „alfonsa“.

XV.

Za chwilę był już na ulicy i jakież było
jego zdumienie, kiedy nagle poczuł pod
pachą czyjąś rękę. Była to Róża. Czekala
na niego na ulicy, nie mogąc znieść dłużej
atmosfery w jakiej odbywała się sławetna
„dintojra“. Zmuszona była wyjść na ulicę,
taką odrazę czuła do tych ludzi, żyjących
hańbą i nędzą nieszczęśliwych dziewcząt.
Szli węc razem. Na ulicach opustoszałych
spotykali od czasu do czasu, parę podobne
im, śpieszące do domu, ze spacerów, lub
miejsc rozrywkowych. Róża przytulona
do kochanka, szła w milczeniu, przesuwa-
jąc wzrok po szeregach okien, podobnych
do jakichś oczu mechanicznych ludzi. Cza-
sem nad bramą, lub w oknie zakrwawiło
purpurowe światło. Wiedziała ona, co się
kryje za roletami, lub firankami, z poza
których przebijały smugi czerwonego
światła. Przypomniała sobie, te sceny,
rozgrywające się w dyskretnie oświetlo-
nych pokojach, te orgie zwierzece, w któ-
rych zmuszona była brać udział i ogarnął
ją nieopisany wstret do podobnego życia.
Przyrzekała sobie, że woli umrzeć, niż

raz jeszcze dostać się do tych gniazd rozpusty i zezwierzęcenia.

Doszli w swoich rozmowach na ten sam temat, do zgola różnych postanowień. Na schodach, prowadzących do mieszkania ciemno już było. Dawid wciął latarkę elektryczną, z którą się nie rozstawał i oświecał drogę. Róża zapukała do drzwi. Po kilku chwilach zgrzytnął klucz i gospodyni rozspanym głosem zaczęła indagować:

— Co się z wami stało, myślałam, że już nie przyjdziecie, może jakie nieszczęście się stało. A może przygrzać kolację, pewno głodni?

— Nie, nic nam nie potrzeba, może pani spokojnie spać — powiedział Dawid i zwrócił się do Róży — a może będziesz jadła, co?

— Nie, jeść mi się nie chce, tylko spać, do dziesiątej możemy się jeszcze prze-spać.

Weszli do swego pokoju. Róża w jednej chwili była już w łóżku, zerwawszy ze siebie pośpieszne ubranie, a Dawid rozbięrał się powoli, układając sobie w głowie, jak ma zacząć drażliwą rozmowę, która by skłoniła ją do powrotu do dawnego zajęcia.

Jakkolwiek Róża zaobserwowała zamyślenie kochanka i jego milczenie, co u niego stanowiło prawie zawsze wstęp do poważnej rozmowy, z pewnością jednak nie przyszłoby jej nigdy na myśl to, o czym w tej chwili kochanek rozmawiał.

— Rozbieraj się przedzej, mój kochany, czy nie widzisz, że czekam na ciebie?!

Pośp eszył się i za chwilę był już obok niej. Oparła się o niego całym swem nagiem, jędrnym ciałem i znowu poczuł się pod jej wpływem i urokiem. Ale nagle przypomniał sobie, że ma z nią mówić, niezwykłym wysiłkiem woli strzegł jej uwodzicielski urok i zapytał niespodziewanie:

— Powiedz mi, moja najdroższa, czy kochasz mnie naprawdę, czy ufasz mi we wszystkim?

— Czy możesz wątpić — odpowiedziała pytaniem — ale dlaczego się pytasz, czy nie dałam ci jeszcze dowodu mej miłości?

— Tak, nie wątpię i dlatego właśnie postanowiłem rozmówić się z tobą, na temat naszej wspólnej przyszłości.

— Powiedz najdroższy, gotowa jestem do wszystkiego dla naszego wspólnego dobra i szczęścia, mów! — objęła go za szyję swem pełnymi, sprężystemi ramionami, a wargami swemi szukała warg jego, zapalając żar w krwi, szumiącej rozgłośnie i paląc jego członki, miękkiem dotknięciem swego ciała.

— Otóż chce mieć dowód twej miłości. Słuchaj, co postanowiłem dla naszego wspólnego dobra. Jak ci wiadomo — kraść teraz jest bardzo trudno, jeżeli się „zasypie“, czeka mnie kilka lat więzienia, a ty zostaniesz sama, wydana na łup swych wrogów, oczekujących tylko na okazję. Jeżeli będę kradł, to lada dzień mo-

gą nas rozłączyć, a szczęście nasze prys-
nie, jak bańka mydlana. Tylko od ciebie
zależy, żebym ja nie siedział w więzieniu
— dodał.

— Ode mnie zależy?... powiedz, jakim
sposobem — pytała zdziwiona.

— Tak, moja kochana! Wiesz, jak gar-
dę sutenerstwem, ale teraz widzę, że nie-
ma innego wyjścia. Musisz „zarabiać”,
przynajmniej przez pewien czas. Wybacz
mi, że ci to mówię, ale zważ sama, mnie
grozi kilka lat więzienia, a tobie najwyżej
kilka dni. Jeżeli więc mnie kochasz, to
myślę, że zgodzisz się na moją propozy-
cję.

Róża ledwie mogła opanować się, by
nie plunąć w oczy kochankowi. W pier-
wszej chwili sądziła, że jest to żart z jego
strony, ale widząc poważny wyraz twa-
rzy, zrozumiała, że to sprawa przekłete-
go „prezesa”, że to fortel, jakim ta banda
chce ją zmusić do hańbiącego rzemiosła.
Zemsta zawrzała jej w piersi, jednak opa-
nowała się i odezwała:

— Przyznam ci się, mój kochany, że nie
spodziewałam się po tobie tego żądania.
Ale mimo to, zgadzam się bez wahania, dla
ciebie na wszystko się poświęcę... masz
teraz dowód, że cie kocham... Ale po-
wiedz mi, jaki ty mi dasz dowód twej dla
mnie miłości, bo żądanie twoje, jakie mi
pozostawiłeś, zdaje się przemawiać wręcz
przeciwnie, gdybyś mnie kochał... nie żą-
dałbyś ode mnie tej ofiary.

— Kocham cię, jak siebie samego, go-
tów jestem do wszelkich ofiar, byle ra-

zem... byle nas nie rozdzieliło to przekłete więzienie, które byłoby grobem naszej miłości. Ale musisz wziąć pod uwagę, że to, co ci teraz zaproponowałem, jest koniecznością dla nas, a zresztą nie przymuszam cię do tego, to zależy od twojej woli.

— Zrobię wszystko dla ciebie, kochany, ale proszę cię wzamian za to, o zaufanie do mnie. Powiedz mi szczerze, ty kryjesz coś przede mną... czy pamiętasz ten wybuch gniewu, kiedy wspomniałam ci o twojej przeszłości podczas naszej pierwszej rozmowy? Pamiętasz? Ja wiem, że ty mnie oszukujesz, że ty mieszkasz w Warszawie na „lipe”, ja chce znać prawdziwe nazwisko tego, którego kocham... i z którym żyję wspólnie.

— Nic, nie kryję przed tobą, znasz moje prawdziwe nazwisko, wierz mi! — tłumaczył się Dawid niezrecznie.

— Teraz widzę, że nie dbasz o mnie — zaczęła z płaczem, odwracając się gniewnie do ściany i odpychając kochanka. — Ty mi nie ufasz, a mówisz o miłości i poświęceniu...

— Dobrze, więc — rzekł Dawid, jakby zdecydowany nagle odkryć całą prawdę — pamiętaj tylko, że od dzisiaj życie moje będzie w twoich rękach. Dowiesz się, czego nikt nie wie... Słuchaj więc, mówię ci, bo ci ufam, jak sobie samemu.

— Nazywam się Józef Stern i pochodzę z Odessy. Dziesięć tysięcy złotych jest wyznaczony za moją głowę. Jestem poszukiwany za zabójstwo kasjera w dzie-

więtnastym roku na Wielkiej w Wilnie. Pamiętaj, nie zdradź się z tem przed nikim, bo dostałbym „gimze“. Masz teraz dowód, że cie kocham, bo znając tę tajemnicę, życie moje masz w swoich rekach...

— Nie obawiaj się, najdroższy, przecież jestem twoją żoną i kocham... — kocham cię nad życie. ach, mój ty bohaterze, rycerzu, mój ty słodki morderco, chodź teraz w moje objęcia. zamorduj mnie teraz swą miłością — znowu splotł się i zwarł swe ciało w huraganie namiętności, a kiedy zmeczeni zapasami miłosnymi odpoczywali, Róża myślała z triumfem:

— Mam cię nareszcie ptaszku, wyjezyczyłeś się, doskonale, prędejj oddam cię panu „Maciejewskiemu“, niż dostaniesz ode mnie jeden złoty, zarobiony moją hańbą, ha, ha, ha — śmiała się w duchu — każdy mężczyzna zgłupieje, jak kobieta zechce. Tymczasem — myślała — muszę obiecywać, że pójdę na „róg“, żeby się nie zdradzić ze swoją zamarami, donóki nie zawiadomię policji. Z temi myślami zasnęła.

Zadowolony, że tak stosunkowo łatwo udało się mu nagiąć ją do swego celu, zasnął Dawid, nie podejrzewając, jakie myśli i plany zrodziły się w pięknej głowce jego kochanki.

Następnego dnia rano, o siódmej godzinie Dawid wrócił do domu i zastał Różę w łóżku z „gościem“. Był wściekły, nocna wyprawa znowu nie powiodła się; zazdrość szarpnęła nim, że o mało nie ściągnął

nał nieznanego mężczyzny na podłogę; przypomniał sobie, że samprzecież kazał jej „zarabiać”. Uspokoił się i zaczął obserwować śpiących. Mężczyzna chrapał zdrowo, snem sprawiedliwego, jego ogorzała cera i gęste, wełniste, czarne włosy, ostro odcinały się na bieli poduszki. Róża spała również. Leżała naga, z rozrzuconymi nogami i zwisającą bezwładnie lewą ręką; prawą trzymała gościa za szyję. Głowa, leżąca na brzegu poduszki, była lekko odwrócona na pokój. Połeczki były blade i oczy podkrążone sinemi obwódkami.

Przebiegał wzrokiem po jej toczonych, alabastrowych kształtach, które teraz wydały mu się jeszcze piękniejsze, niż dotychczas. „Poco ja jej kazałem to robić?”... —myślał zrozpaczony—„zabić ich oboje!” — przemknęło mu przez mózg.

Opanował się jednak, trzasnął drzwiami i przewrócił mały stolik, wychodząc do sąsiedniego pokoju, gdzie spała gospodyni.

-- Co pani tu dom publiczny założyła! czy co? Nie myślałem, że pani pozwoli na to — zwrócił się gwałtownie do przecierającej oczy gospodyni.

— Cóż pan chce ode mnie, proszę się Różki pytać, o to, ja nic nie wiem—dodała gniewnie.

Zawrócił do pokoju. Róża już miała na sobie koszulę i bojaźliwym wzrokiem spoglądała na zachmurzone oblicze kochanka. Mężczyzna przebudził się także i niezadowolony widocznie, że mu sen przerwano, zagadnął Dawida niechętnie:

— Co tu pan wyprawia?

— Ubieraj się pan, predko już, w tej chwili! Czy nie ma pan się gdzie zabawić w Warszawie?

— Co to za jeden? — zapytał gość, zwracając się do Róży.

— To mój mąż!

— A dlaczego pani nie mówiła, że ma męża? — zagadnął z półuśmiechem na ustach — już się ubieram.

Nieznajomy wstał z łóżka i ubierał się, nie śpiesząc się zbyt. Był to, najwyżej trzydziestoletni mężczyzna, barczysty, brunet o przenikliwym spojrzeniu, ciemnych, błyszczących źrenicach i regularnych prawie pięknych rysach.

Sznurując lakierowane półbuty, zagadnął Dawida:

— Czy mogę pana o coś zapytać?

— Proszę!

— Czy można wiedzieć, czem się pan trudni?

— Ja jestem rękawicznik, czy dobrze? — odparł Dawid z ironją w głosie.

— Doskonały fach — zgodził się nieznajomy. Ubrany w elegancki, doskonale skrojony garnitur, założył palto, spojrzał porozumiewawczo na Różę i zauważył:

— O ile to jest naprawdę pańska żona, musi pan ją bić, bo lepsze bite, niż zdechłe.

— Już ja do pana po radę nie pójde, może mnie pan pożegnać i dziękować Bogu, że gości nie naruszyłem.

— No?! Proszę się nie denerwować i do ostatka zachować się, jak dżentelmen.

Po tych słowach wyszedł z pokoju, nie oglądając się.

Róża leżała w niedbalej pozycji, oparta na łokciu, a oczy jej świeciły złowrogim blaskiem; wyraz mściwości wybił się na jej twarzy na moment i zgasł tak szybko, jak nagle się ukazał. Dawid zdołał jednak pochwycić go i przeraził się na chwilę, ale widząc znowu uśmiechnięte usta kochanki, uspokoił się, nie przestał jednak jej ciekawie obserwować.

— Ładny „alfons“ z ciebie będzie... jak tylko zobaczyłeś u mnie gościa, mało go nie zjadłeś. Chodź-no, mój ukochany, bliżej, powiem ci, kto to był, to nie będziesz się złościł.

— A któż to był? — zaciekawiał się.

Róża usiadła na łóżku.

— Żebyś ty wiedział, kto to był, to byś go nie wyganiał.

— A może to był ten, który ci pomoże „Mesjasza“ urodzić? — żartował już.

Róża zachowała jednak poważną minę.

— Posłuchaj, a będziesz żałował swej gwałtowności. W dzisz, to był syn bankiera, którego zapoznałam wczoraj na Nowym Świecie. Zakochał się we mnie, jak wiesz, to potrafie was brać, o ile mi tylko o to chodzi — kokieterynie przekręciła główkę i mrugnęła okiem — przyprowadziłam go tu i dowiedziałam się wszystkiego, co potrzeba. Można go będzie „obrobić“ na wielką sumę. Pójdę do niego na jedną noc i „odciski“ kluczy napewno ci przyniosę.

Dawid zapalił się:

— Dlaczego nie mówiłaś mi o tem, byłbym nie przeszkadzał, a kiedy masz iść do niego, masz adres?

— Pójdę dzisiaj, zarobisz dobrze, a później wyjedziemy za granicę.

Róża zaczęła się pośpiesznie ubierać. Po kwadransie już w najlepszej komitywie zasiedli do śniadania. Wieczorem Róża wystroiła się i pożegnała Dawida, upewniając go, że idzie do „bankerowicza”. Przed wyjściem dał jej kawałek plasteliny, w której miała odcisnąć klucze i spodziewając się, że się dobrze wwiąże ze swego zadania, położył się spać. Zasnął tak twardo, że nie słyszał wejścia kłku mężczyzn, świecących sobie w ciemnościach elektrycznymi lampkami. Dopiero kiedy jedna ręka była w kańdankach, przebudził się. Zerwał się na równe nogi, ale było zapóźno — nie stawił oporu. Zaczął uprzytamniać sobie, co się stało. Wywadowcy przeprowadzili rewizję, nie znaleźli jednak broni, rozkuli więc Dawida i kazali się ubierać, poczem zakuli go ponownie. Wyprowadzili go na ulce, gdzie czekał na nich samochód. Przerażona gospodyni, ze łzami w oczach, odprowadzała go aż za brame, narzekając, że Róża nic nie wie, o nieszczęściu, jakie spotkało kochanka.

Rano zjawiła się Róża z wiadomością, że kochanka aresztowali. Zebrała rzeczy, chcąc jaknajprędzej wwiechać z Warszawy. Spodziewała się, że prędzej, czy póź-

niej wszystko się wyda, a wtedy nie uszłyby zemsty jego kolegów.

Dawid przesiadł cały dzień w areszcie przy urzędzie śledczym niewzywany. Dopiero wieczorem został zaprowadzony do gabinetu komisarza, który groźnym tonem zaczął badanie.

— Jak się nazywasz?

— Dawid Bresler.

— A skąd jesteś?

— Z Kiszyniowa.

— Kłamiesz!

— Proszę pana ja nie kłamię. Nie wiem za co zostałem zatrzymany.

— To się zaraz dowiesz! — rozłożył jakiś papier i zaczął czytać. — Nazywasz się Józef Stern i pochodzisz z Odesy — spojrzał mu przenikliwie w oczy. „Tak to ona mnie zdradziła“ — przemknęła szybka myśl. Odparł zuchwale:

— Mówię prawdę, panie komisarzu, to nazwisko jest mi nieznane.

— Łotrze, mów prawdę, bo ci każe odlać z przedziesiąt kijów, a wtedy będziesz śpiewał... Mów kto był z toba przy tem zabójstwie w Wilnie w dziewiętnastym roku.

— Aha, już przypominam sobie te robotę w Wilnie, wtedy był ze mną naczelnik więzienia mokotowskiego...

— Co to za odpowiedź! Ty zbrodniarzu! Co może już symuluiesz wariata, to na nic bratku, mam dowody!

Dawid spoważniał nagle i rzekł:

— Dostyc tych głupstw, panie komisarzu, mogę wykazać swoje alibi:

— W tym roku siedziałem w więzieniu w Mokotowie to musi być jakieś nieporozumienie, proszę się zwrócić do więzienia mokotowskiego, gdzie przebywałem od tysiącdziewięćsetosiemnastego roku do tysiącdziewięćsetdwudziestego drugiego. Zwolniony zostałem w listopadzie tego roku. Panie komisarzu, ktoś przez zemstę nagadał panu niestworzonych historii.

Komisarz spuścił odrazu z tonu.

— A więc to takie buty? Sprawdź, a o ile tak jest rzeczywiście, to pana zwolnię.

— Prosiłbym pana komisarza, o jaknajszybsze sprawdzenie i zwolnienie mnie.

— Dobrze! Zbadam jeszcze raz świadka i jeżeli okaże się, że jest prawdą, coś pan powiedział, będziesz pan jutro wolny.

— Można go zabrać! — zwrócił się do posterunkowego.

Idąc korytarzem do aresztu zauważył ku swemu wielkiemu zdziwieniu elegancką postać „bankierowicza“, tym razem w mundurze podkomisarza policji. Teraz zrozumiał cały podstęp Róż. „Madra jesteś — myślał — ale nie na głupiego trafiłaś duszko; teraz się porachujemy ze sobą“.

Róża siedziała przygnębiona w mieszkaniu. Z powodu nakazu policyjnego stawienia się na każde wezwanie do urzędu śledczego, nie mogła opuścić Warszawy.

Na ulicę obawiała się pokazać, zauważyła już bowiem, wracając do domu, że podejrzane jakieś typy „andrusów“ zdawały się śledzić ją, a kilka razy spotkała się z ponurym, groźnym wzrokiem nieznanych szpiegów.

Wieść, że „Nachalnik“ „leży“, lotem błyskawicy rozniosła się w warszawskim świecie przestępczym i od początku zaczęto powtarzać sobie, że kochanka jego miała być sprawczynią „zasypiania“.

Gdy tak siedziała pogrążona w niewesołych myślach, zapukano do drzwi i wszedł agent policyjny, wzywając ją do urzędu śledczego.

Kiedy stanęła przed komisarzem, prowadzącym śledztwo w sprawie Dawida, tenże odezwał się do niej:

— Wie pani, doniesienia pani okazały się fałszywymi. Sprawdziłem, że Dawid Bresler w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku odbywał właśnie kare czteroletniego więzienia, w więzieniu mokotowskim; co więcej, że w tym czasie nie było w Wilnie podobnego napadu i zabójstwa. Jestem zmuszony go zwolnić, bo nawet okazało się, że nazwisko, które podaje, jest jego własne. Nie mam więc powodu do zatrzymania go.

Usłyszawszy to, Róża zbladła gwałtownie, oparła się o ścianę, złożyła błagalnie ręce i ze łzami w oczach zaczęła mówić:

— Ach, panie komisarzu, on mnie zabije, gdy go pan zwolni. Rozumiem te-

raz... on to mi naumyślnie opowiedział, kiedy nastawałam, żeby mi wyznał, kim jest naprawdę, a ja, niemądra, uwierzyłam mu. Co ja teraz poczne nieszczęśliwa?!.. — biadała i szlochała, jak dziecko.

Komisarz, czuły na łzy, a jeszcze bardziej na wdzięki kobiece, znajdując ją w tym płaczu, bardziej ponętą, niż zwykle, począł ją po swojemu uspakajać, zapewniając, że nie pozwoli, żeby się jej stała jaka krzywda, że postara się zdobyć jakiś materiał, aby można go było uwięzić na dłużej.

Róża dziękowała komisarzowi gołębim wzrokiem, dodając:

— Będę panu wdzieczna, za obronę i mogę zapewnić pana, że ten łotr ma coś na sumieniu, tylko niech go pan nie zwalnia. O, to przebiegły łotr!

Komisarz patrzył na nią pożadliwie. Zapłonął gwałtownym afektem, do tego stopnia, że chciał natychmiast odebrać od niej dowody tej wielkiej wdzieczności, o jakiej zapewniała go przed chwilą. Ujął ją za rękę i pociągnął ku sobie tak blisko, że czuł na sobie ciepło, bijące od jej ciała i falowanie piersi. Czuł, że traci panowanie nad sobą, kiedy nagle usłyszał kroki zbliżające się do drzwi gabinetu. W jednej chwili oprzytomniał i puścił jej rękę, a ona szepnęła wstydliwie:

— Tu nie!... Niech pan powie, gdzie mam przyjść?

Ktoś zapukał do drzwi i po sakramentalnym „proszę“, weszło dwóch agentów. Ró-

za pożegnała komisarza i weszła na ulicę. Tylko oddaliła się o dwie ulice od urzędu policyjnego, kiedy zauważyła dwóch drabów, podążających jej śladem. Doprowadzili ją do samego domu, nie spuszcżając jej z oczu. Weszła do mieszkania i nierozbierając się zrozpacżona usiadła na kanapie z opuszczonym apatycznie rękami. Uczuła się niewymownie nieszczęśliwa i opuszczona.

— Co robić, co robić?... Żeby mnie nie strzegli, wróć łabym do komisariatu... Byłabym bezpieczna... Potem wyjechałabym z tego warszawskiego piekła, gdzieby mnie oczy poniosły. Ileż nacierpiałam się w tem m'ęście. Co to za jedni mnie śledzą... Pilnują, żebym nie uciekła...

Nadeszła gospodyni.

— Jesteś już? To dobrze bo jest dla ciebie list, bardzo pilny. Oto on — podała Róży list.

Drżąc na całym ciele, rozerwała kopertę i rozwinęła arkusz papieru. Pierwszym znakiem, który wpadł jej w oczy i przeraził, była trupia głowa i skrzyżowane piszczele, umieszczona na samym wstępie listu. Z zamartwem sercem przebiegła oczami po wierszach tajemniczego listu. Oto co zawierał:

„Rozkazujemy Pani, jako kochance naszego kolegi Dawida Breslera, za wydanie go w ręce policji, przestać istnieć w ciągu dwudziestu czterech godzin. Sądźmy, że jako osoba inteligentna oszczędzi nam Pani kłopotu i sama wymierzy sobie sprawie-

dliwość. Śmierć nieunikniona, ma się stać Pani udziałem dobrowolnie lub za naszą pomocą. Żadna siła nie jest w stanie uwolnić Pani od naszej zemsty i kary. Jesteś dobrze strzeżona i nie zdołasz ująć swemu przeznaczeniu, którem jest śmierć. Czekamy i winszujemy szczęśliwej podróży“.

Zamiast podpisu widniał symboliczny znak zemsty: sztylet i rewolwer skrzyżowane.

Róża siedziała nieruchoma z wbitem w ziemię spojrzeniem — istny obraz niemej rozpacz. List wypadł jej z ręki. Dopiero, gdy gospodyni weszła z powrotem i krzyknęła przestraszona, widząc zmienione oblicze dziewczyny, ta oprzytomniała. Podniosła złowrogi list i nie mówiąc ani słowa zaintrygowanej gospodyni, zamknęła się w swoim pokoju.

Stała przed lustrem i smutno uśmiechnęła się.

— Ostatni raz patrzę w lustro... Jakże staro wyglądam... Tak, już czas... Nie będę już widzieć więcej odbicia swej twarzy....

Nagle obudziła się w niej chęć być piękną poraz ostatni. Zaczęła gorączkowo przebierać w garderobie, wiszącej w szafie i stroić się przed lustrem. Uszmkowała lekko twarz, nałożyła futro, skropiła je perfumami i skierowała się ku wyjściu.

Wiedziała dobrze, że nie uda się jej uniknąć z rąk tych okrutnych, bezlitosnych

wykonawców wyroku. Jaki wdała na nią „dintoira”. Najczuńszych wywiadowców łatwiej byłoby oszukać, niż jednego z tych zawziętych, mściwych tropicieli. Postanowili ją zgładzić, to i policja nie będzie zdolna im przeszkodzić.

Postanowiła też sama skończyć ze sobą.

— Tak... to nie są żarty, im prędzej skończę, tem lepiej, przynajmniej plugawe ręce tych zbirów nie dotkna się mnie... Niema co żałować życia, a jeszcze mojego..

W przejściu pożegnała gospodynię i wyszła na ulicę.

Za nią, jak cienie, postępowało dwóch mężczyzn, nie tracąc jej z oczu.

Była już na Marszałkowskiej. Wszystkie myśli uciekły jej z pod czaszki, głowa ciężyla nieznośnie jak ołowiana. Szła machinalnie naprzód. Przystanęła przed jakąś wystawą i mimowoli spojrzała w bok, ujrzała swych meodstepnych towarzyszków i uprzytomniła sobie wszystko.

Na miasto opuszczał się właśnie wielki, skrzydlaty czarny mrok nocy, przubywało światła latarni, roniących swoje blade, żółte, mgotliwe blaski. Diabelski młyn pojazdów, aut i ciężarowych wozów mieszał się z zgiełkiem ludzkim, hucząc i grzmiając.

Róża ledwie trzymała się na nogach, słabo jej się zrobiło, zatoczyła się, jak pijana i oparła się o ściany kamienicy. Potoczyła dookoła wzrokiem, jakby szukając pomo-

cy, która znikąd nie nadchodziła. Różnoglasy poryk sygnałów samochodowych szarpał jej nerwy boleśnie

Z pośród tych dźwięków zdawało się, że rozróżnia monotonne, melancholijne wezwanie: „Umrzyj!... Umrzyj!... Umrzyj!...”

Nagle jeden z prześladowców zbliżył się do niej i szepnął prosto do ucha:

— Przedziej zakończ, bo szkoda czasu, a nie, to my będziemy się brać do roboty... Najwygodniej dla ciebie pod tramwaj!

Tramwaj nadjeżdżał właśnie, jakby gotowy wykonać wyrok.

— Dzyń, dzyń!—odbiło się jeszcze w mózgu Róży. Powiodła błędnymi oczami wokoło, zrobiła kilka kroków, zbliżając się do jezdni i stanęła niezdecydowana. Obrazy z lat dziecińczych przemknęły jej przed oczami wyobraźni. Ujrzała matkę, domek, w którym przyszła na świat, dom i ulicę w Taszkencie.

Jeszcze raz hałas ulicy odbił się w jej mózgu, światła mignęły przed oczami i... wszystko znikło...

Krzyk zgrzyt kół gwałtownie hamowanego tramwaju.

Dwaj policjanci i kilku przechodniów rzuciło się wyciągać desperatkę z pod kół. Zanim tramwaj został zatrzymany, włókł nieszczęśliwą dłuższą chwilę, zaczepiwszy o ubranie ofary.

Nadjechało Pogotowie.

Lekarz przystąpił do powierzchownych oględzin, ale od pierwszego rzutu oka stwierdził śmierć, wskutek pęknięcia czaszki.

Ze skupionej grupy „ciekawskich“ padały uwagi:

— Młoda jeszcze kobieta!

— I ładna!

— A jak elegancko ubrana! Jakie futro ładne, pewno bogata!

— I nóżki kształtne!

Łzy nikt nie uronił, nad tą ofiarą losu.

Dwóch drabów przyglądało się denatce z pogardą i zadowoleniem jednocześnie. Kiedy zabrano ciało do karetki, zawrócili na miejscu: szybkim krokiem podążyli ku Krochmalnej.

XIX.

Na miejscu „dintojry“ w znanej już czytelnikowi „melinie“, w półświecie małej naftowej lampki, dookoła stołu znowu siedziało kilku mężczyzn, widocznie oczekujących na coś, lub na kogoś.

Było trzech „alfonsów“ i dwóch wspólników Dawida „Nachalnika“.

Prezes, zajmujący swoje honorowe miejsce, mówił:

— Wiem już napewno, że kolega nasz będzie zwolniony w tych dniach, bo nie mu zarzucić nie mogą.

— Ale ona też... no, no! — rzucił ktoś od stołu.

— Lepiej, żeby go nie zwolnili teraz, mogliby się go czepiać, że się przyczynił do śmierci jej.

— Z nią dzisiaj skończą, niema co! — zapewniał prezes.

— Jeżeli sama nie skończy... — dodał inny.

— Słuchaj „Kinda“ — odezwał się prezes. — Czy jesteś pewny, że to ona go „lignęła“.

— No, masz tobie — odparł zadzwany — przecież ten „mops“ nigdy mnie jeszcze nie „naciągnął“. Komisarz mu sam powiedział i kazał mu „rozkopać“ coś, żeby tylko posadzić „Nachalnika“, bo komisarz ma podobno wielką na nią apetyt. A wiecie przecież, że „mops“ nie będzie „rozkopywać“ na szkodę Dawida. Postarał się czempredzej pościągać sprawdzenia z Wilna z Mokotowa. Mówił, że z pewnością jutro go zwolnią.

— Jeżeli „naszym“ uda się ją sprzątnąć, to może Dawid będzie miał do nas pretensję, może nie wie, że to właśnie kochanka „zakopała“ go — zauważył ktoś.

— „Mops“ wpierw się o niej dowiedział od Dawida, niż od komisarza, nie bójcie się. A jeżeli będzie miał pretensje, że go wyrzucyliśmy, to go przecież przekonamy, że to wygodniej dla niego, przynajmniej policja się do niego nie przyczepi...

— Jakoś długo ich niema! Czy im się
czasem nie wymknęła? Już do dziesiątej!...

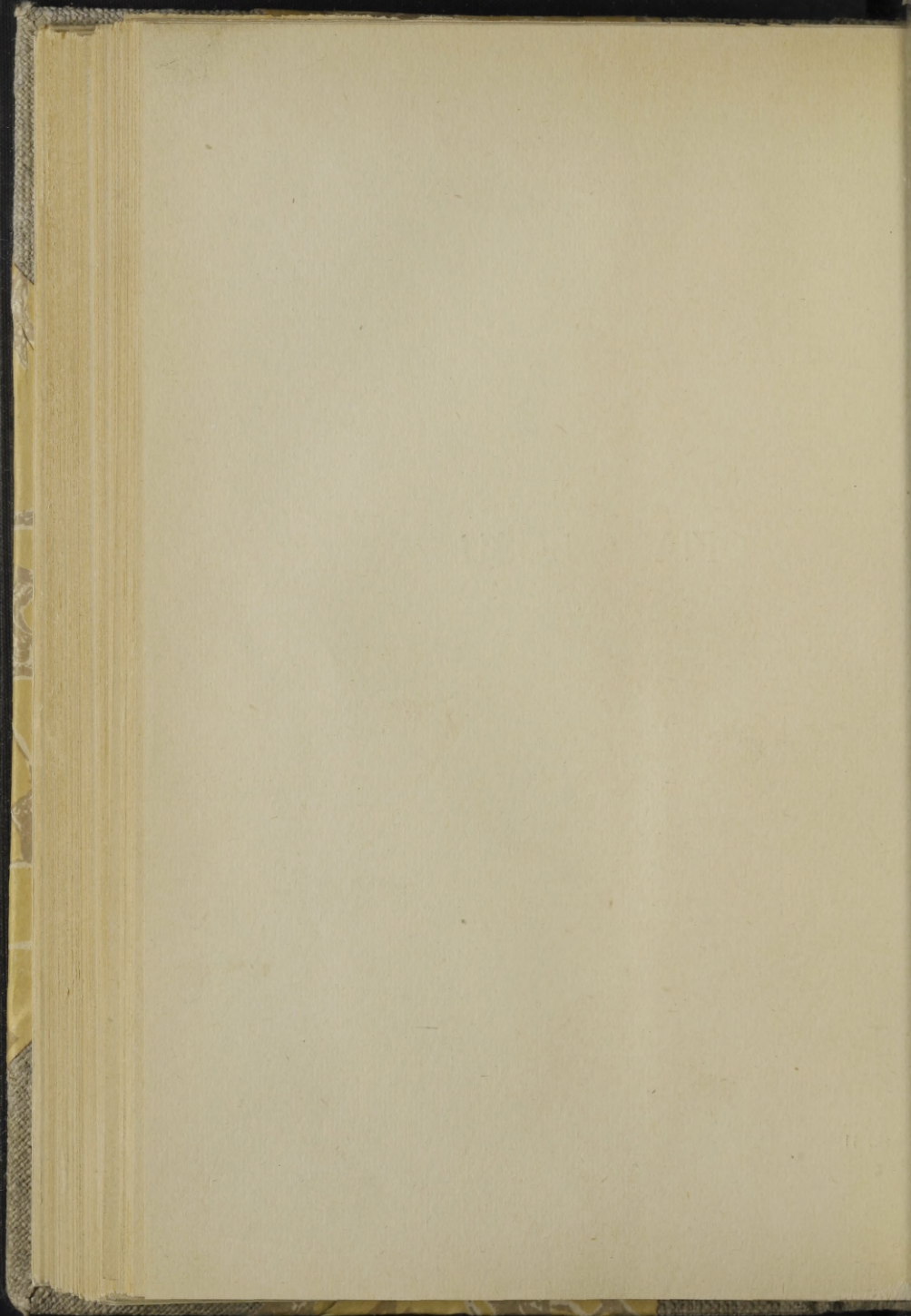
Wtem drzwi się otworzyły i zaraz od
progu padł okrzyk:

— Wyrok wykonany!

Więzienie karne. Rawicz.

KONIEC

OFIARA LOSU



W porury, grudniowy poranek rozbrzmiał nagle dźwięk, płynący z wieży kościoła na berlińskim przedmieściu, a nim pięć uderzeń rozplynęło się w uroczystej, mglistej ciemni, już inne zegary pośpieszyły w ślady pierwszego, powtarzając na różne tony uderzenia systematycznie i gorliwie, jak to czynią uczniowie w klasie z napamięć „wykuta” lekcją.

W celi nr. 17 Zuchthaus w „Tegel” uśpiony dotąd więzień zerwał się raptownie ze swego posłania, usiadł, przetarł ciężkie powieki i nadsłuchiwał z wyraźnym napięciem i dziwną radością na wychudzonej, zarosniętej twarzy uderzeń więziennego zegara. Przeliczył dokładnie uderzenia, a skoro okazało się ich pięć, począł się zwołna ubierać.

Miał aż nadto wystarczające powody, by cieszyć się z nadejścia dnia dzisiejszego. Oto dziś kończyła mu się ośmioletnia kara, którą odsiedział w całości, aż do ostatniego dnia. 2.922 razy budził go ten sam zegar więzienny biciem piątej godziny — kiedy to więźniowie obowiązani byli wstawać. Zniecierliwiał go za jego punktualność podczas zimowych, przejmujących chłódów, zniecierliwiał za powolność i opieszałość podczas długich, pogodnych, jasnych dni lata, zniecierliwiał za niezmordowaną pracę bezmyślnego

wydzwaniania godzin i kwadransów, stanowiących, zdawałoby się, nieskończony różaniec męki, wyczekiwania i zwierzęcego, bezcelowego istnienia.

Dźwięk wyrzucany z rozwartej paszczy grzmiącego dzwołu był normalnie jakiś chrapliwy, ponury, wdzierający się przykro w ciszę więzienną, ale teraz wydał się przebudzonemu więźniowi melodyjnym i harmonijnym, bo sk'adał się na upragnioną chwilę wyzwolenia, stanowił hasło rozpoczęcia ostatniego dnia męki i kary.

Poraz pierwszy od wielu lat zrozumiał niezmordowany, wielki wysiłek martwego mechanizmu; zegar stracił nagle swą osobowość, przestał być istotą, na której można by się mścić, człowiek przebaczył mu wszystko, uznał go nawet za przyjaciela, wstydząc się swej dawnej do niego ślepej nienawiści.

Prawda, że wiele mu ten twór mechaniczny przysporzył męki, odmierzając tak małemi miareczkami czas, którego płynący potok, jakkolwiek przybliżał go do oczekiwanej w utęsknieniu chwili oswobodzenia, jednak z drugiej strony z równą obojętnością przysuwał ku niemu nieuniknioną chwilę śmierci, a zarazem budził świadomość, że lata w więzieniu przeżyte już nigdy, nigdy nie wróca.

Czasem był zmuszony zatykać sobie uszy, by nie słyszeć przekłętego zegara, czasem wściekły, gotów byłby za wszelką cenę zniszczyć go, aby dać wreszcie upragniony spokój podrażnionym nerwom.

Ale to wszystko minęło. Minęła straszna niedza i opuszczenie i beznadziejność.

Osiem lat czekał i przekonał się ostatecznie, że wszystko musi wreszcie spełnić się, nadejść i minąć, zapadając w ocean zapomnienia. Za kilka godzin ma być wolny, pośpieszył się z ubieraniem i posłaniem tapczanu i rozpoczął nerwową, pośpieszną wędrówkę od drzwi do okna i zpowrotem.

Na korytarzu rozległy się ciężkie kroki. Poznał swego „opiekuna“, swego „anioła - stróża“ Był to również jego stały i uparty prześladowca, starający

się wszelkimi sposobami obrzydzić mu życie, za byle co sadzając go do „karceru“, lub pozbawiając obiadu, a to za pukanie w ścianę, oddzielając go od towarzysza niedoli, a to za wygiądanie oknem w błękitny skrawek rozjaśnionego słońcem nieba, albo za rozmowę ukradkiem, prowadzoną podczas spaceru, półgodzinnej płatownicy po wybrukowanym gładko podwórzu więziennem. Ale teraz i jemu w napływie wielkiego rozczulenia i rozradowania zalewającego mu serce wszystko przebaczył.

Nim klucz zgrzytnął w zamku, niepewny, czy nie będzie czasem zaraz zabrany z celi, gdzie przebył osiem długich lat, obrzucił spojrzeniem swój grób, swą trumnę, z której miał powstać do nowego życia, jakby chcąc zapamiętać wszystkie szczegóły skromnego umebliowania i pożegnać te cztery kąty, z którymi mimowoli żył się i zbratał, do których nieraz rozmawiał głośno, które nieraz słyszały jego przekleństwa, żale, jęki i narzekania.

W rogu okna na kracie zauważył nagle pajęczynę, z przyzwyczajenia więc chwycił pospiesznie galgan, by zrobić porządek, bo czynił to zawsze, ilekroć usłyszał znajome kroki na korytarzu. Lecz uświadomił sobie szybko cała śmieszność tego odruchu i rzucając galgan w kąt, zwrócił się do drzwi, bo właśnie klucz zazgrzytał szybko i w progu stanął dozorca.

Więzień cofnął się na przepisowe miejsce, pod okno, skąd obowiązany jest meldować się, wymieniając nazwisko, wyrok i rodzaj przestępstwa, za które pokutuje, ale tym razem nie zameldował się, tylko chwycił tłomoczek rzeczy, z którymi miał się udać do magazynu, szykując się do wyjścia. Dozorca jednak kazał mu położyć zawiniątko i flegmatycznie zagadnął go, dlaczego nie melduje.

Więzień przybliżył nagle, niepewny, czy dobrze obliczył dzień swego wyjścia i wybelkotał mędrunek, patrząc ze strachem w twarz dozorca. Był to człowiek tłusty, obrzymiego wzrostu, lat około 45, o twarzy buldoga, namarszczonej i gniewnej. Wskazał na

tłomoczek i zapytał z udanem zgorznięciem i zdumieniem:

— Was ist das? Zwarjowałeś, czy co?

Więzień zbladł i jeszcze ciszej i bardziej nieśmiało odparł:

— Mam być dziś zwolniony — i pokazał palcem na czerwoną kartkę, wiszącą na szafce.

Dozorca z niemiecką powolnością i systematycznością wyjął okulary, powoli przetarł szkła i zdjąwszy różowy szyldzik, czytał, cedząc słowo po słowie:

— Strafgefängener Izaak Goldfein, 32 Jahre alt. Beschäftigung: Bäker, bestraft für Schweren Einbruchsdiebstahl: 8 Jahre Zuchthaus, von 21 Dezember 1915 bis 21 Dezember 1923.

Przeczytawszy, spojrzął na więźnia, jakby go pierwszy raz wogóle ujrzał i zapytał:

— Jak się nazywasz?

Zdziwiony i wylekły więzień zrozumiał teraz, że opiekun umyślnie drażni się z nim, napawając się jego lękiem i wyrazem niepewności. Nie ulegało to wątpliwości, ten sam bowiem dozorca, robiąc czasem kilka raportów tygodniowo, nigdy go nie pytał o nazwisko, a teraz nagie nie zna go i zapomniał jego imię.

Miał wielką ochotę rzucić się na niego i zadławić, albo napuć w nalaną twarz, ale oparował się. Podniósł z powrotem porzucone zawiniątko.

Dozorca, wyjął notes, sprawdzając tam coś i zawołał:

— Chodź!

Wypuścił więźnia na korytarz, wyprowadził go z gmachu więzienia do drugiego dwupiętrowego budynku. Był tam magazyn, siedziba pana „Hausratera“. Odebrano mu rzeczy zakładowe, a wręczono worek z własnym ubraniem. Więzień wyrzucił zniszczone i pogniecione, zjedzone przez mole części garderoby i oglądając je na wszystkie strony, jakby wątpił, czy stanowią jego własność, zaczął się ubierać, nie spiesząc się zbytnio, teraz, kiedy już za pół godziny miał być daleko za bramą.

— Los, los — warknął mu nad uchem „gospodarz“ i nie dając nawet zasnuwać kamaszy, poprowadził go do biura, gdzie urzędował łysy kancelista. Ten wypytał go o dzień urodzenia, miejsce urodzin i zamieszkania i inne jeszcze dane, a kiedy przekonał się o jego identyczności, wręczył mu zarobione przez 8 lat pieniądze w kopercie i kazał się podpisać na trzech papierach, potem doręczył mu kartę zwolnienia, przepustkę i polecił „gospodarzowi“, by go odprowadził do bramy.

Przy bramie odebrano mu przepustkę i zrewidowano go starannie, nic nie znajdując, oprócz zaklejoonej koperty.

Znalazłszy się na ulicy, Izaak rozglądał się, idąc po szerokich ulicach, niezbyt jeszcze ożywionych ze względu na wczesną godzinę poranną; pełną piersią wchłaniał w siebie mroźne „wońnościowe“ powietrze. Przeszedł tak, bez celu, jedną i drugą ulicę, stale oglądając krytycznie swój wyszarzany, nędzny garnitur, wreszcie zatrzymał się na skwerze, biegnącym wokół obszernego placu. Przysiadł na ławce, rozmyślając, dokądby się udać.

Chłód, przenikający przez letnie ubranie, spędził go z ławki. Poszedł dalej, ale po chwili znowu zatrzymał się, zatopiony w myślach.

Niski, gruby policjant o groźnej, marsowej twarzy, w starannie wyczyszczonym hełmie popędził go dalej, wołając, że tu nie wolno się zatrzymywać.

Postanowił najpierw kupić sobie jakieś stare palto lub ciepłą kurtkę, a później poszukać pracy, aby tylko nie kraść i zpowrotem nie wpaść do więzienia. Wyjął kopertę i przeliczył pieniądze.

Miał pięć milionów marek.

Uśmiechnął się sam do siebie, poczuł się bogaczem; niepewny jednak, przeliczył ponownie banknoty, nowe, szeleszczące banknoty i stwierdził, że obliczenia poprzednie były dobre: tak, był milionerem! Tyko te pieniądze wydały mu się jakoś niepodobne do będących w obiegu w 1915 roku, słusznie jednak

złożył tę przemianę na karb zmiany stosunków politycznych.

— Dawniej był król, teraz jest prezydent, a pewno jest teraz lepiej w Niemczech, jeżeli mi dają tyle pieniędzy! — myślał, kierując się do przystanku tramwajowego.

Chciał udać się na Grenadierstrasse, a przy okazji przejechać się tramwajem. Wskoczył do środka i usadowił się na ławce przy oknie, mierzony podejrzliwymi, niezyczliwymi spojrzeniami zażywnych meszczuchów berlińskich.

Kiedy nadszedł konduktor, zapytał go o cenę biletu.

— Zehn million mark — brzmiała obojętna odpowiedź.

Tramwaj ruszył i ujechał już kawał drogi, a osłupiały Izaak trzymał stale swą kopertę w rękę, nie dowierzając własnym uszom i nie śmiąc zapytać się poraz drugi. Konduktor, obsługujący tymczasem innych pasażerów, zwrócił się wreszcie do niego i podając mu bilet, wyciągnął rękę po pieniądze.

Nie przyjmując ofiarowanego biletu, zaryzykował zapytać się drugi raz o cenę biletu, na co otrzymał powtórna, niezbyt już grzeczną odpowiedź:

— Dziesięć milionów marek.

Kilku pasażerów odwróciło się w jego stronę, obserwując ciekawie zajście i jego bohatera. Wtem tramwaj stanął, kilku pasażerów przybyło i ubyło. Korzystając z zamieszania, Izaak rozdarł kopertę ze swym majątkiem, rzucił ją na podłogę, zdeptał nogami i wyskoczył z tramwaju, czemu towarzyszyły przekleństwa konduktora i zgodne orzeczenie świadków zajścia, że niefortunny pasażer jest z pewnością „verruckt“.

Więc nie miał nawet na śniadanie, nie mówiąc o palcie, lub cieplej bieliźnie.

— Co robić, co robić? — przemknęło mu przez głowę. — Jeszcze dziś będę zmuszony żebrać lub kraść.

Przypomniał mu się zegar, systematycznie tłu-

kący godziny, i ta pajęczyna w oknie, i ta ścierka, porzuciona w kącie i wzdrygnął się na myśl o tem, że znowu mógłby wrócić, kto wie, może do tej samej celi i słuchać niezmordowanego bicia zegara.

Postanowił bezwzględnie znaleźć pracę i obejść w tym celu choćby pół miasta.

Zawsząd odprawiano go z niczem, gdyż nie posiadał innych dokumentów, prócz karty zwolnienia, a pozatem wszędzie panował kryzys: piekarze pracowali za pół darmo, aby tylko coś zarobić, a o przyszłości byłego więźnia nie mog'o być nawet mowy.

Po całodziennym bieganiu, zmęczony, głodny i zmarznięty, zaszedł na Grenadierstrasse do znanej mu kawiarni, gdzie zbierało się towarzystwo podejrzananej konduity i rozglądał się po obecnych, czy nie ma kogo ze znajomych z więzienia.

Nagle, jak z pod ziemi wyrósł przed nim wysoki mężczyzna, w którym odrazu rozpoznał osobnika, znanego w świecie przestępczym pod pseudonimem „Szkopa“. Wywiązała się rozmowa:

— No i co, kiedy cię zwolnili? — pytał przybyły, a dowiedziawszy się, że dzisiaj, zapytał jeszcze:

— A coś ty taki smutny, pewnoś głodny? Chodź do drugiego pokoju, to zjemy kolację razem.

Usiedli obok siebie i wkrótce ta erze z dymiacem jadłem stali przed nimi, wydając woń, tak bardzo upragnioną przez wygłodzonego byłego więźnia, z apetytem pochłaniającego swą porcję. „Szkop“ natomiast jadł bez apetytu (widać był niegłodny) tylko w milczeniu obserwował towarzysza z wyraźnym politowaniem, widząc jego mizerny wygląd i nędzne ubranie.

Kiedy Izaak nasycił się dostatecznie, „Szkop“ zagadnął go, co ma zamiar robić ze sobą.

— Może chcesz wrócić do Polski, do swoich „Litwiaków“? — pytał.

— Zaraz pojechałbym tam, żebym tylko miał pieniądze, nie mam grosza przy duszy. Nie zarobiłem nawet na tramwaj przez 8 lat.

Tu opowiedział zajęcie w tramwaju.

— Ach, jak ja tych „Krzyżaków“ nieznawidzę — mówił Izaak. — W 1915 roku wywieźli mnie z Polski, gdzie pozamykali piekarnie, a zamiast chleba, dawali jakieś kartki, obiecali mi pracę w Berlinie, no i dali mi osiem lat pracy, że i na jeden przejazd tramwajem nie zarobię. Wiesz, chociaż to już przeszło, ale przysięgam ci, że niewinnie siedziałem. Dostałem worek do przeniesienia na Aleksanderplatz, na stację. Tam miał na mnie czekać żyd z Polski i miał mi zapłacić za to przeniesienie. Byłem głodny, chciałem zarobić, a nie wiedziałem, że w worku są kradzione rzeczy. Aresztowali mnie, chcieli, żebym wydał współników, powiedzieli, że ich ukrywam i dali osiem lat „Zuchthauzu“ za ciężkie włamanie. Rzeczy pochodziły z magazynu jubilera. Ja nawet pojęcia nie mam, jak to się robi... — zakończył smętnie.

„Szkop“ patrzył na niego, ironicznie się uśmiechając. Był on znanym wamywaczem na berlińskim bruku, pochodził z Węgier, z Budapesztu, ale oddawna już osiadł na stałe w Berlinie.

W „Teglu“ poznał Izaaka, podobał mu się, a że szukał właśnie „ofiary“, którą mógłby uczynić narzędziem w swoich rękach, więc zaprzyjaźnili się.

Niespodziewane spotkanie było mu bardzo na rękę. Starał się więc ująć sobie Izaaka. Zagadnął go czy się najadł i czy ma inne ubranie.

— Nie masz, jak widzę, palta — rzekł.

— Skąd mam mieć, żeby nie ty, tobym dotychczas jeszcze głodny chodził, dziękuję ci, żeś mnie nakarmił.

— Wiesz przecież, że jestem twoim przyjacielem, powiedz, w czym ci mogę dopomóc, a o ile to będzie w mojej mocy, napewno ci nie odmówię — mówił „Szkop“ z zagadkowym uśmieszkiem na twarzy.

— Postaraj mi się o jakąkolwiek pracę, żebym mógł zarobić i wyjechać do kraju — prosił Izaak.

— Pracy, to łatwiej powiedzieć, ale trudniej dostać, a właściwie pracować wiele nie warto, próbowałem i ja — niema interesu. Posłuchaj mnie, to raz

dwa zarobisz i pojedziesz sobie, gdzie będziesz chciał.

— Nie, nie pojedę kraść, nie chcę siedzieć znówu w więzieniu, będę umierał z głodu, a nie wyciągnę ręki po cudzą własność — odparł Izaak, domyślając się, co ma na myśli jego kolega.

Wstał z krzesła, podał mu rękę i chciał odejść.

— Co tak uciekasz!? Jak nie chcesz, to nie, chciałem ci dopomóc, ale widzę, że ty jesteś jeszcze „frajerem“, że te osiem lat nie nauczy o cię rozumu. Ja na twojem miejscu, osiem lat niewinnie cierpieć, starał bym się odbić to, com postradał przez te lata. Nie bądź głupi, pluń na wszystkie moralę i wyrzuty sumienia. Chodź do mnie, dam ci ubranie, jak zarobisz, to mi zapłacisz, chcę cię poratować, jak przyjaciela. Pójdiesz ze mną na jedną „robotę“ i już będziesz mógł żyć dobrze. Pamiętaj, że tutaj, w tem wielkiem mieście, tacy, jak ty, gina jak robaki, przez nikogo niezauważeni, nikt im nie przyjdzie z pomocą.

Izaak, którego rękę „Szkop“ zatrzymał w swych dłoniach, wyrwał mu ją gwałtem i skierował się ku drzwiom, dosłyszawszy jeszcze te słowa:

— Mieszkam na Mitzstrasse 24!

Był pewny, że Izaak prędzej, czy później wróci i przeprosi się, jak go głód zmusi do tego. Nieraz już miał do czynienia z podobnymi wykołajeńcami i cnotliwcami. Zresztą poznał to sam na własnej skórze — zna dobrze te wszystkie przejścia po zwolnieniu z więzienia.

Wyjął grube cygaro, zapalił i usiadł na swoim miejscu, z którego powstał przed chwilą, oczekując jeszcze na kogoś.

Na ulicy było przeraźliwie zimno, padał grad, bebnąc po dachach i szybach domów. Niektórzy przechodnie wpadali do sieni domów, inni przystawali pod ścianami, by przeczekać nawałnicę. Przystanął i Izaak u wejścia u bramy, niestety już zamkniętej, pod ochroną balkonu i trząsł się z zimna.

Myśl, gdzie spędzi noc, marzuchała się jego

świadomości z coraz większą natarczywością. W pewnej chwili przypomniała mu się zaciszna, spokojna cela nr. 17, łóżko z materacem i pościelą. I na moment zapragnął znaleźć się tam zpowrotem.

Zaraz jednak otrząsnął się z tej zachcianki.

— Woleń włóczyć się po ulicy, jak bezdomny pies, niż być tam — myślał.

Dziwnem zrzadzeniem, w tej właśnie chwili, kiedy porównywał się do bezdomnego psa, z za węgła domu wyskoczył czarny, chudy pies i skulony, z ogonem podwiniętym pod siebie, skowycząc żałośnie, biegł prosto w stronę Izaaka. Poznając instynktem towarzysza niedoli, zatrzymał się przy nim, obwąchał uważnie, szczerknął kilka razy i położył się wreszcie u nóg człowieka, ciężko oddychając po męczącym biegu.

Pies wyglądał na kompletnie zagłodzonego, Izaak więc wyjął z kieszeni kawałek chleba i kielbasy, które zabrał z kawiarni i podał je psu, na co ten rzucił się żarłocznie i za chwilę pożarł całą porcję, stając się odrazu weselszym. Skoczył mu do twarzy, liżąc ją, szczerkał już daleko głośniej i żwawiej i kręcił się dokoła swego przygodnego opiekuna.

Wzwał porozumienia i przyjaźni został stosunkowo łatwo zawarty. Okazało się, że niedzarke: człowiek i zwierzę zrozumieli się bardzo szybko. Grad jakoś przestał padać, ulice opustoszały ze względu na późną godzinę; było już dobrze po jedenastej.

Izaak ruszył naprzód, a pies powłókł się za nim krok w krok. Z za rogu ulicy ukazała się nagle sylwetka „szucmana“. Człowiek uchylił lekko czapki i spróbował prześlizgnąć się mimo, ale został przytrzymany za ramię. Pies warknął groźnie.

Z pośród omrożonych wąsów „szucmana“ wydostał się nagle charkot urągłych, gniewnych słów, którymi zwracał uwagę spóźnionego, podejrzanie obdartego wędrowca, że czas najwyższy udać się do domu.

Machinałnie, bez słowa protestu, ku widocznemu

zdemieniu „szucmana“ zatrzymany obrócił się na pięcie i zpowrotem podreptał bezmyślnie przed siebie, byle dalej od fatalnej zjawy stróża bezpieczeństwa i porządku.

Wreszcie nieludzko strudzony przysiadł na schodkach, wiodących do drzwi zamkniętej sieni. Pies położył się przy nim, witając każdego przechodnia wrogim warkotem.

Usnąć nie mógł. Drobny puszek śnieżny błędził mu po twarzy, a wilgoć, przesycając mu ubranie, odbierała resztki ciepła. Kostniał z zastraszającą szybkością, kamienna poduszka uwierała niemożliwie. I ostre kandy stopni wrzynały mu się w żebra. Podniósł się powoli i z wysiłkiem powłókł się dalej, by rozgrzać zmrożone członki.

Długie godziny nocy upływały tej parze: psu i człowiekowi, na wytrwałem krążeniu po ulicach miasta - olbrzyma. Zwołna ustępowała noc, a budził się mglisty, szary, brudny i ponury poranek. Wreszcie zrobił się dzień i zastał Izaaka i jego towarzysza na nogach, gdzieś w okolicach Aleksanderplatzu.

Człowiek wstępował tu i owdzie, ofiarowując swą pracę. Widok obdartego, wychudzonego, nędznego człowieka działał wszędzie odstrasząco: nie przyjmowano go nigdzie. Dzień cały zeszedł na bezp'odnych, jak i dnia poprzedniego, poszukiwaniach pracy.

Nastał wieczór i powtórzyła się historia z nocy poprzedniej. Długo w noc chodzili po nieskończonej płataninie ulic, uliczek i placów, aż ostatecznie strudzone nogi odmówiły posłuszeństwa. Pokornie i nieśmiało legł znowu we wnęce bramy, a pies uczynił to samo, patrząc za'osnie na towarzysza. Gdzie się znajdował, na którym krańcu Berlina, nie wiedział, i nie chciał wiedzieć. I znowu sen nie doszedł do skutku, bo oto nagle oprzytomiało go energiczne szarpnięcie za kołnierz. Był to policjant, podobny nawet zupełnie do tamtego z nocy ubiegłej.

— Pijana świnió, marsz do domu! — rozkazał groźnie.

I znowu niezwykłym wysiłkiem poderwał się do marszu, gnany przerażeniem na widok sztywnych, roslých „szucmanów“ rozstawionych co kilka ulic ku utrapieniu takich, jak on bezdomnych włóczęgów.

Znalazł się nareszcie w jakiejś wąskiej uliczce. Pachniało pieczywem, a skądś zbliiska dolatywała skoczna melodia. Wyczuwał gdzieś w pobliżu piekarnię i kuszony mirażem ciepłej oazy w tej pustyni zimna i śniegu postanowił spróbować, czy nie da się tam zanoćować. Zadzwoił do bramy. W małym okienku ukazała się głowa stróża. Prosił, by pozwolono mu zagrać się trochę.

Za całą odpowiedź padło wściekle:

— Precz! Tu nie przytułek!

W jednej chwili pojął, że przyjdzie mu skońać z zimna na ulicy; dziwny bezwład woli ustąpił nagie stanowczemu postanowieniu: zwrócił się w kierunku wylotu uliczki i szybkim krokiem, jakby niesły go obce, wypoczęte nogi, ruszył ku centrum miasta. Pies, jak cień włókl się za nim.

„Szkop“ zgadł, a raczej przewidział, że niefortunny koleżka powróci do niego. Zimno, głód i wyczerpanie zrobiły swoje, pokonały wolę pozostańa uczciwym człowiekiem. Przed sądem można się tłumaczyć, wobec głosu sumienia — usprawiedliwiać się, podczas kiedy żołądek nie przyjmuje żadnego tłumaczenia i domaga się swego haraczu, wszystko jedno, za jaką cenę.

Kiedy się znalazł na Minzstrasse 24, minęła już dwunasta. Mimoto wszedł na górę i zapukał, kierując się karta z nazwiskiem na drzwiach mieszkania.

Otworzyła mu rozespata, półnaga kobieta. Cofnęła się i kazała mu wejść. Wszedł nieśmiało, a pies - przybłąda wcisnął się za nim.

— Czy tu mieszka „Szkop“? — zapytał roznegliżowanej kobiety.

— Tak, tylko go niema w domu, zaraz przyjdzie, proszę odpocząć — wskazała krzesło, włożyła szlafrok i zapaliła lampę.

Pewno nieraz już miała do czynienia z podobny-

mi osobnikami, bo nie pytając się wcale, bez ceremonii podał mu gorącą herbatę, chleb i wędlinę. Miiczając, zabrał się do jedzenia. Dusza została zaprzedaana złu, pragnienie życia okazało się silniejsze od pragnienia uczciwości. Wiedział dobrze, że karmia go tu nie dla jego pięknych oczu, że odtąd musi być posłuszny swemu „przyjacielowi“ i „dobroczyńcy“. Tymczasem postanowił się najeść, ogrzać i wypocząć, o nic nie pytając i nie troszcząc się.

Nagle drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł „Szkop“, a widząc Izaaka smacznie zajadającego, nie okazał najmniejszego zdziwienia i obojętnie przywitał się z nim, zamieniwszy uprzednio porozumiewawcze spojrzenie z żoną.

— Co słyhać u ciebie? — zagadnął gościa — widzę, że jakoś wynędzniałeś. A co to za pies, może w nim jednym znalazłeś tylko przyjaciela.. a co, nie mówiłem, że nie warto być głupio uczciwym, bo nikt niedziedzowi nie przyjdzie z pomocą.

— Tak, miałeś rację, jestem do twojej dyspozycji... co każesz, to będę robił...

— No, masz jeszcze czas, jutro porozmawiamy o tem, a teraz napijmy się za twoje zdrowie.

Na stole zjawiała się fiaszka dobrej wódki, napili się raz i drugi, aż wreszcie gospodarz uznał za stosowne wysłać swego gościa spać, bo ze zmęczenia i pod wpływem rozmarzającego działania ciepła i wódki oczy kleiły się mu i ledwie utrzymywał się na krześle.

Rozciągnął się na zatłuszczonym materacu, upajając się rozkoszą trawienia i nim jeszcze wrażenia wzrokowe zdołały dotrzeć do świadomości, nim nieskomplikowany rysunek tapet utrwalił się w zmęczonym mózgu, niemniej zmęczone oczy nakryły się zasłonami powiek i zasnął.

Śniło mu się, że jest przyzwoicie ubrany; jest posiadaczem grubego portfela z pięknej, krokodylowej skóry. Ujrzał potem swą starą matkę, witającą go ze łzami rozczulenia, pełną radości z powodu powrotu syna - jedynaka po wielu latach rozłąki. Matka już

dawno straciła nadzieję ujrzenia swego dziecka, a oto syn jej wraca zdrów, cały i bogaty do tego. Co za szczęście!—szepce matka tkliwie spoglądając na syna.

Kiedy przebudził się nazajutrz przed obiadem, przypomniał sobie sen i zaczarowany mirażem szczęśnej przyszłości, którą, zdawało się, fortuna mu przepowiadała, postanowił raz tylko zaryzykować, a potem wyjechać do kraju. Był pewny, że „Szkop” ma jakiś dobry interes, słyszał przecież o nim, że na byle co nie leci.

W pokoju nie było nikogo. Nie spieszył się do wstawania. Okna były zasłonięte roletami, a na cykającym, wiszącym zegarze było w pół do dwunastej.

Leżąc spokojnie, usnął znowu. Tym razem sen był zgoła innego rodzaju. Oto wisiał na wielkiej wskazówce wieżowego zegara. Wieża sięgała swym szczytem gdzieś wysoko w chmury, a wskazówka, której się uczeplił, obracała się początkowo powoli. Wkrótce jednak obroty jej stały się wściekłe szybkie. By nie spaść, był zmuszony trzymać się rękami i nogami z niezwykłym wysiłkiem.

W dole, pod nim, rozpościerał się olbrzym — Berlin: miljardy świateł różnej wielkości, kępy błasków i cieni, wielooki potwór mrugający do niego ślepiami swych świateł. Ulicami przewala się nieskończony tłum ludzki, przeważnie złożony z grubych, spasionych mężczyzn i smukłych kobiet na bocznych nogach, o wysokich, gęsich szyjach. Obserwują go przy pomocy lornetek i pokazują go sobie palcami ze śmiechem na ustach, nawołując się wzajemnie, by oglądać niezwykłego akrobatę. On krzyczy, prosi, błaga, woła ratunku, siły już go opuszczają, czuje, że lada chwila wyczerpią się i będzie musiał spaść. Wskazówka obraca się z coraz większym rozpędem. Już nie ma sił wołać o pomoc, jednak ludzie wcale nie kwapią się z pomocą, bawi ich niezwykle widowisko. Nagle zegar zadzwonił, wskazówka momentalnie stanęła, a on zaczął spadać w ja-

kaś niezgłębioną przepaść. Krzyk zamarł mu na ustach...

Wtem ktoś go szarpnął. Otworzył przerażone oczy. Zimny pot spływał mu po twarzy, był cały mokry. Gdy oprzytomniał zobaczył psa, wspartego przednimi łapami na krawędzi łóżka — on to musiał go obudzić, gdy przez sen wzywał pomocy.

„Tak, ludzie go nie chcieli ratować, a pies go wybawił z tej sytuacji“ — wyciągnął wniosek i pogłaskał po głowie swego towarzysza.

Wstał, podniósł rolety — był jasny, słoneczny dzień. Na stole leżała jedwabna bielizna, nowy, piękny garnitur, przy łóżku stały lakierki, nie zapomniano nawet o rękawiczkach i kapeluszu.

Na widok tej wykwintnej garderoby uczuł niesmak i wstręt. Przypomniał sobie opowiadanie towarzysza więziennego, sutenera, jakto tamten w ten sam sposób zdobywał względy naiwnych dziewcząt, kupując im jaskrawe, eleganckie gałganki i rozmaite błyskotki, by je potem wykorzystać dla swoich celów. Tak samo teraz robił z nim „przyjaciół“ „Szkop“.

Kiedy wahał się, czy się ubierać w zaofiarowaną garderobę, nadszedł gospodarz uśmiechnięty, starannie wygolony, wypudrowany, womiejący perfumami, jak kobieta i swobodnym, wesołym tonem przywitał się ze swym lokatorem.

— Dzień dobry, jak ci się spało? Masz tu garnitur i na psa swojego... a czemu się nie ubierasz?

Zawstydzony Izaak sięgnął po ubranie, tłumacząc się niezręcznie, że nie zdążył, bo dopiero wstał.

Po smacznym i obfitym obiedzie „Szkop“ wręczył koledze 10 dolarów.

— Zabaw się trochę, masz czas do jutra wieczora. Niemki, to rozkoszne kobietki, zwłaszcza, jak widzą dolary. Jak masz marki — ani spojrzą w twoją stronę, ale jak masz dolary, możesz się bawić, jak basza. Pamiętaj tylko, że jutro w nocy czeka nas „robota“ nie byle jaka, a jak się poszczęści, to się zabawimy wspaniale.

— — — — —

Na ulicy zapadał już mrok, rozświetlany zapalaniem właśnie matowemi księżycami elektrycznych lamp. Dążył w kierunku Lilienstrasse, chwilowo zadowolony i oszołomiony wielką, nigdy nie posiadaną sumą pieniędzy. Pies, który się wymknął za swym panem, też inaczej wyglądał, czysty i w ozdobnej obroży.

Na rogu ulicy zaczęła go wążła dziewczyna, napół zmarznięta.

Izaak zrozumiał jej nieprzyzwoity gest i zdjęty współczuciem, podążył za nią. W mieszkaniu, gdzie został wprowadzony, było już kilka osób w rozmaitym wieku i o różnej powierzchowności.

Pies, podążający za nimi, chciał się wcisnąć za swym panem, ale został zatrzymany właśnie przez Izaaka, który chciał go zostawić w korytarzu. Pies jednak nie ustępował, umyślnie wsadził łapę między drzwi i framugę. Izaak kopnął go, ale pies nie dał i teraz za wygraną, kiedy drzwi otwierały się, ustępował, a kiedy zamykały się, znowu wsuwał głowę lub łapy.

Czuł widać, że i on może coś skorzystać w tym lokalu, gdzie przyjmowano jego pana.

Kobieta odezwała się:

— Niech pan go puści, nie szkodzi, taki ładny pies — wzięła go za obrożę i wprowadziła do pokoju.

Owionęła go fala mdłego ciepła. Powietrze prześycone było wonią pudru i perfum i jakichś medykamentów. Weszli do drugiego pokoju. Towarzyszka usiadła na kanapie, nie rozbierając się, i tupiąc nóżkami, by je rozgrzać, zagadnęła Izaaka:

— Pan na chwilę, czy na całą noc?

— Na całą noc — rzekł po chwili namysłu, przyglądając się jej bacznie.

Dziewczyna była filigranowa, ale zgrabna i miała jakiś nieuchwytny, kobiecy wdzięk, była szczupła, ale nie chuda. Była to jedna z tych małych, wdzięcznych kobietek. Zresztą, osiem lat nie widział kobiety.

Dziewczyna pobiegła do drugiego pokoju, wo-
łając:

— Ten pan chce na całą noc.

— A mówiłaś, ile będzie kosztować? — odezwał
się głos.

Na moment wyjrzała korpulentna, starsza dama,
obrzucając taksującym spojrzeniem gościa i zniknę-
ła znów.

— To jakiś bogaty gość — mówiła młoda dziew-
czyna — zapłaci honorowo, bez umowy.

— Ja nie chcę — oponowała gospodyni — naj-
lepiej nóżki na stół, powiedz mu 3 dolary!

Dziewczyna podeszła do gościa i nieśmiało
rzekła:

— Gospodyni chce pieniądze zgóry...

— Wiele?

— Trzy dolary!

Wymówiła to ledwie dostłyszalnie, widocznie
wątpiąc, czy też jest aż tyle warta. Zdziwiła się też
niepomniernie, kiedy podał jej dwa banknoty po dwa
dolary, przeznaczając resztę dla niej. Schowała naj-
pierw swoją zdobycz za pończochę, a potem pobiegła
obrachować się z gospodynią. Izaak dał jej osobno,
by posłała po wódkę i przekąskę, a po chwili siedzia-
ła już na jego kolanach, pałąc z fantazją papierosa.

Przez niedomknięte drzwi widać było pierwszy,
duży pokój, coś a la restauracja, gdzie siedziało kil-
ka par przy stolikach, racząc się wódką. Wraz z po-
wiewem chłodnego powietrza weszło pojedynczo
kilku mężczyzn, niezgrabnych i onieśmielonych, szu-
kających wzrokiem znajomych.

Jeden z przybyłych, starszy jegomość o czysto
germańskim typie, zajrzał nieśmiało do pokoju, zaję-
tego przez Izaaka i jego towarzyszkę.

Ujrzawszy go, dziewczyna zawołała z dumą:

— Jestem dziś zajęta na całą noc!

Niemiec zakreślił nogami półkole, rzucił kilka
piorunów w ich stronę i wyszedł, trzasnąwszy
drzwiami.

Drzwi zostały zamknięte na klucz. Za kilka minut rozległo się natarczywe dobijanie się do drzwi. Jedno magiczne słowo: „besetzt“ uspokoiło natręta. Powtórzyło się to kilkakrotnie. Wreszcie nastął spokój.

Rano Izaak wstał pierwszy, zabierając się do wyjścia.

— A gdzie pies? — zapytał, wychodząc z pokoju.

— Pewnie bawi się z jaką osamotnioną koleżanką — objaśniła dziewczyna.

Izaak gwizdnął i do pokoju wpadł pies, a za nim weszła kobieta w średnim wieku.

— Czy to pański pies? — spytała. — Bardzo miłe stworzenie, wolę go, niż mężczyznę...

Pies wachał jej sukienkę, a ona schwyciła jego długą mordę i pieściła go.

Izaak nie odpowiedział i skierował się do wyjścia. Pies podążył za nim.

Po odwiedzeniu kilku knajp i restauracji, postanowił użyć spaceru; wolnym krokiem więc przemierzał piękne ulice i place o wspaniałych, masywnych, monumentalnych gmachach, ciekawie rozglądając się wokół.

Był to właśnie dzień 24 grudnia i ulicami miasta przewalały się tłumy ludzi w świątecznym nastroju. Gdziekolwiek widać było niosących choinki na „Weihnachten“, w powietrzu czuć było zapach piwa i taniego wina, specyficzną woń świąt w Niemczech.

Sam Izaak był też nieźle pijany, ledwo trzymał się na nogach i z trudem dowlóknął się do domu swego wybawcy. Mimo bowiem zamroczonej świadomości, w głowie tłukła się natrętna myśl, że właśnie dziś wieczorem miał się stawić zpowrotem.

W mieszkaniu zastał dwu nieznanomych drabów, „Szkop“ przedstawił go obecnym, a widząc, że nie pewnie się trzyma na nogach, kazał mu się iść przepać, co też Izaak skwapliwie uczynił.

Narada, przerwana przybyciem Izaaka, odbywa-

ła się dalej. Przemawiali kolejno dwaj nieznajomi osobnicy o podejrzanym nieco wyglądzie, wkońcu zabrał głos sam gospodarz, mówiąc:

— Te wszystkie roboty, o których mówiliście, można odłożyć na zwykły czas, a tę robotę, o której ja wiem, można wykonać tylko w te dwa dni świąt. Obmyśliłem już cały plan, a jak się uda, to sobie poradzimy z nim, żeby mu nic nie dać i żeby nam nie mógł szkodzić. Ten „frajer“ mi się akurat dobrze nawinał, wpakowałem w niego już ładny grosz, potem sobie to potracę. Wiecie, chociaż on siedział osiem lat, ale to zabity „frajer“.

Tu opowiedział skąd go zna i jak go zwabił do siebie po wyjściu jego z „Teglu“.

— Tam trzeba ryzykować mocno — ciągnął dalej — bo właściciel zagląda nawet w święta, ale zato, jak się uda, to już nie będziemy potrzebowali więcej kraść. Dziś w nocy wpuści się go do piwnicy, pokazemy mu, co ma robić, a przez całą noc i dzień przegryzie się do podłogi. W nocy my wpadniemy przez „kaber“ do środka i zrobimy „pudło“. Będziemy mieli z półtorej godziny roboty. Bo muszę wam powiedzieć, że pod interesem niema piwnicy, tylko obok, tak, że trzeba najpierw zrobić ścianę, a później naukos puścić podkop w górę do podłogi. Jednym słowem trzeba tam wywalić ze cztery fury ziemi — to dla niego akurat robota. Jak się „zasypie“, to sobie koszty odbiją na czym innym. Was nie zna, a mnie nie wyda, bo wie, że w więzieniu nie wyżyłby.

Zakończono naradę i wszyscy zaczęli się przebierać, aby zmylić czujność agentów policyjnych, dla których wszyscy byli już dobrze znani. Obudzili Izaaka, przyczem „Szkop“ kazał mu się przebrać we własne, stare ubranie.

Bez słowa protestu Izaak ubrał się w swoje zniszczone łachy, z których jeszcze nie wywietrzała naftalina więzienna, otrzymał paczkę z przyborami i małe zawiniątko z jedzeniem i w towarzystwie „Szkopa“, przebranego za robociarza, ruszył na wy-

prawę. Dwaj nieznajomi szli w pewnej odległości za nimi.

Po przybyciu na miejsce, zaczęli obserwować wystawę, podczas gdy „Szkop“ i Izaak zniknęli już w ciemnej czeluści bramy.

Właściciel magazynu jubilerskiego, tłusty Niemiec, zbierał właśnie wystawione na dzień klejnoty z wystawy i chował je do kasy pancерnej, oglądając skrupulatnie zawartość każdego pudełeczka. Gdy pochował już cenniejsze rzeczy, zamknął kasę i pozostawiwszy płonąca żarówkę, wraz z trzema subjeKTami opuścił sklep, a po zamknięciu masywnych, okratowanych drzwi i spuszczeniu żaluzji, podążył do domu, żegnany życzeniami wesołych świąt przez swoich pracowników.

Za nim podążyli w pewnym oddaleniu obserwatorzy, nie dowierzający widocznie „staremu lisowi“, którego nie mogli zrobić najlepsi włamywacze berlińscy. Kilkakrotnie już usiłowano go robić, ale zawsze bez rezultatu i nawet kilku włamywaczy odsiedziało już wyroki za niego.

„Szkop“ i Izaak dostali się na podwórze, niezauważeni przez nikogo. Po schodach dostali się do piwnicy. „Szkop“ musiał znać dobrze rozkład piwnicy, bo szedł pewnie. Za nim postępował Izaak, trzęsąc się i dzwoniąc zębami.

Miał chęć zawrócić i uciec, ale przypomniał sobie pierwszy dzień wędrówki po mieście w poszukiwaniu pracy i ostatecznie zdecydował się zdać się na łaskę losu.

Stali przed jakimiś drzwiami, zamkniętymi na sztabę. „Szkop“ wyjął z paczki jakieś narzędzia i cicho zdjął sztabę, potem pomajstrował coś przy zamku i niedługo drzwi stały otworem. Izaak musiał w duchu przyznać, że uczynione to było niezwykle prędko i zęczenie.

Weszli do środka i przy świetle latarki ujrzeli piwnicę, zawałoną niewyprawioną skórą, powiazaną w wielkie pęki. Dla „Szkopa“ nie miała ona war-

tości. Najpierw workami zatkał szczelnie małe, zakratowane okienko, czyniąc to po ciemku i dopiero po tem zabezpieczeniu się zaświecił lampką na dłużej i skierował jej światło na swego towarzysza.

Izaak był błydy jak trup, choć starał się zapanować nad sobą. „Szkop“ pogardliwie się skrzywił i rozkazującym tonem tłumaczył, co ma robić. Nie był to już ten przyjaciel, co go nakarmił i uratował od zagłady, teraz wydał mu się groźnym i bezwzględnym władcą jego osoby i woli.

„Szkop“ pokazał mu, jak ma wyjąć ze ściany cegły i jak ma potem kopać otwór w górę. Kładł nacisk na to, by cicho pracować, udzielił ostatnich wskazówek, wskazał jeszcze raz kierunek podkopu i zapewnił, że jutro o tej porze oni się zjawią i zrobią resztę.

Objął użyte narzędzi przyniesionych i zapytał go wreszcie, czy dać rewolwer.

Izaak, bliski płaczu, odmówił przyjęcia broni.

— Tchórz go oblatuje — pomyślał „Szkop“ i zagadnął jeszcze:

— A jakby cię złapali, nie wydasz mnie? Wiesz przecież, jestem twoim przyjacielem i chcę, żebyś zarobił.

— Nie, bądź spokojny! — zapewniał niepewnym tonem Izaak.

Podał sobie ręce i „Szkop“ opuścił powłóczki, zamykając go od zewnątrz, tak, że sam właściciel piwnicy, sprawdzając zamknięcie, nie byłby w stanie stwierdzić nic podejrzanego. Ostrożnie wymknął się na ulicę, gdzie już czekali na niego dwaj współnicy.

— No i co? — zapytali razem.

— W porządku, kret już tam ryje! — odparł wesóło — chociaż myślę, że prędzej nadawałby się na tchórza, jak na kret... zamknięty, z nudów będzie rył, to się może i dokopie.

Wspólnicy roześmieli się i cała trójka taksówką udała się na całonocną hulanekę.

Izaak stał chwilę nieruchomo, rozglądał się po piwnicy przy świetle małej lampki, nadśluchiwał

chwile, potem spojrzął na narzędzia rozrzucone po ziemi i na rozpoczęty wyłom w ścianie, który miał teraz rozszerzyć według wskazówek „Szkopa“.

Na ziemi pod ścianą leżało kilka cegieł, wyłamanych ręką zdolnego „nauczyciela“. Korzystając z tej poglądowej lekcji, trzeba było teraz iść dalej, prowadzić zaczęłą robotę.

Spojrzął na zegarek i wziął się do rozbiegania muru. Szło to dosyć opornie, zwłaszcza, że trzeba było pracować możliwie cicho. Wreszcie dostał się do ziemi i począł ją gwałtownie wyrzucać.

Pracował z całych sił, zapomniawszy nawet, gdzie się znajduje i co robi, wreszcie padł bez sił na kupę wydobytej ziemi. Błędnie oczami patrzył na swe dzieło i jakiś nieokreślony, okropny strach ogarnął go nagle, tak, że był bliski, by wołać o ratunek i wszystko wyznać. Odpoczął chwilę i znowu nerwowo chwycił za szpadel, kopiąc zajadle, by zagłuszyć w sobie śmiertelny strach, opanowujący go coraz bardziej.

Nagle zdawało mu się, że słyszy zgłuszone szczekanie psa, przestał kopać i nadśledził. Nie ulegało wątpliwości, że czekał gdzieś w pobliżu jego towarzysza niedoli, pies - przybłąda. Zrozumiał od razu groźbę tego psiego przywiązania, zwłaszcza, że pies nie przestawał szczekać przy oknie od ulicy, myśląc może, że mu się dzieje krzywda i jest w niebezpieczeństwie.

Wyszedł z podkopu i chwytając z trudem powietrze, zbliżył się do okna, przeklinając psa, nieustającego w zajadłym szczekaniu. Zdawało mu się, że słyszy jakieś kroki przy oknie piwnicy, później na korytarzu i włosy zjeżyły mu się na głowie. Nie chcąc nic słyszeć, obojętny na te podejrzane szmery i hałasy, z nowym zapałem pracował dalej, nie wychylając się z wykopanej przez siebie nory.

Nagle poczuł, że jakieś ręce chwytają go za nogi i ktoś go wyciąga z podkopu. Ze strachu stracił przytomność.

Rano następnego dnia świąteczne numery pism berlińskich doniosły między innymi o zuchwałym podkopie pod znany magazyn jubilerski na Leipzigerstrasse. Ujęto przytem na gorącym uczynku niedawno wypuszczonego z więzienia „Tegel“ współnika międzynarodowych włamywaczy, niejakiego Izaaka Goldfeina, który odsiedział właśnie karę ośmioletniego więzienia za włamanie się do składu jubilerskiego i obrabowanie go jeszcze w 1915 roku.

Zbrodniarz w zagadkowy sposób dostał się do piwnicy pod sklepem, gdzie został odkryty dzięki jakimś zabłąkanemu psu, który przez dłuższy czas naszczekiwał uparcie przy oknie piwnicy, aż zwrócił uwagę przechodniów i nocnego stróża.

Wspólników zbrodniarza nie udało się dotychczas ująć, a schwytany włamywacz, symulujący niemowę, nie chce wydać swoich kompanów. Został on dostawiony do Untersuchungsgefängnis w „Moabit“....

Dnia 22 stycznia przed wieczorem przed więzienie „Tegel“ zajęła karetka więzienna i dwu żandarmów wprowadziło do gmachu wyniędniałego człowieka, zakutego w kajdany, a za pół godziny, po załatwieniu formalności przyjęcia, człowiek ten został przebrany w więzienną ubranie i osadzony w celi nr. 17, od dnia 21 grudnia ubiegłego roku stojącej próżno. Drzwi z trzaskiem się zamknęły. Człowiek rozejrzał się po celi i wzrok jego padł na porzuconą w kącie szmatę do wycierania kurzu. Przetarł ręką po czole, jak człowiek, usiłujący coś sobie przypomnieć. Spojrzał na kratę w oknie: piękna siatka pajęcza rozrosła się w kunsztowny deseń.

W tej chwili rozległo się bicie zegara na wieży kościoła więziennego. Pięć tępych uderzeń wsiąkło

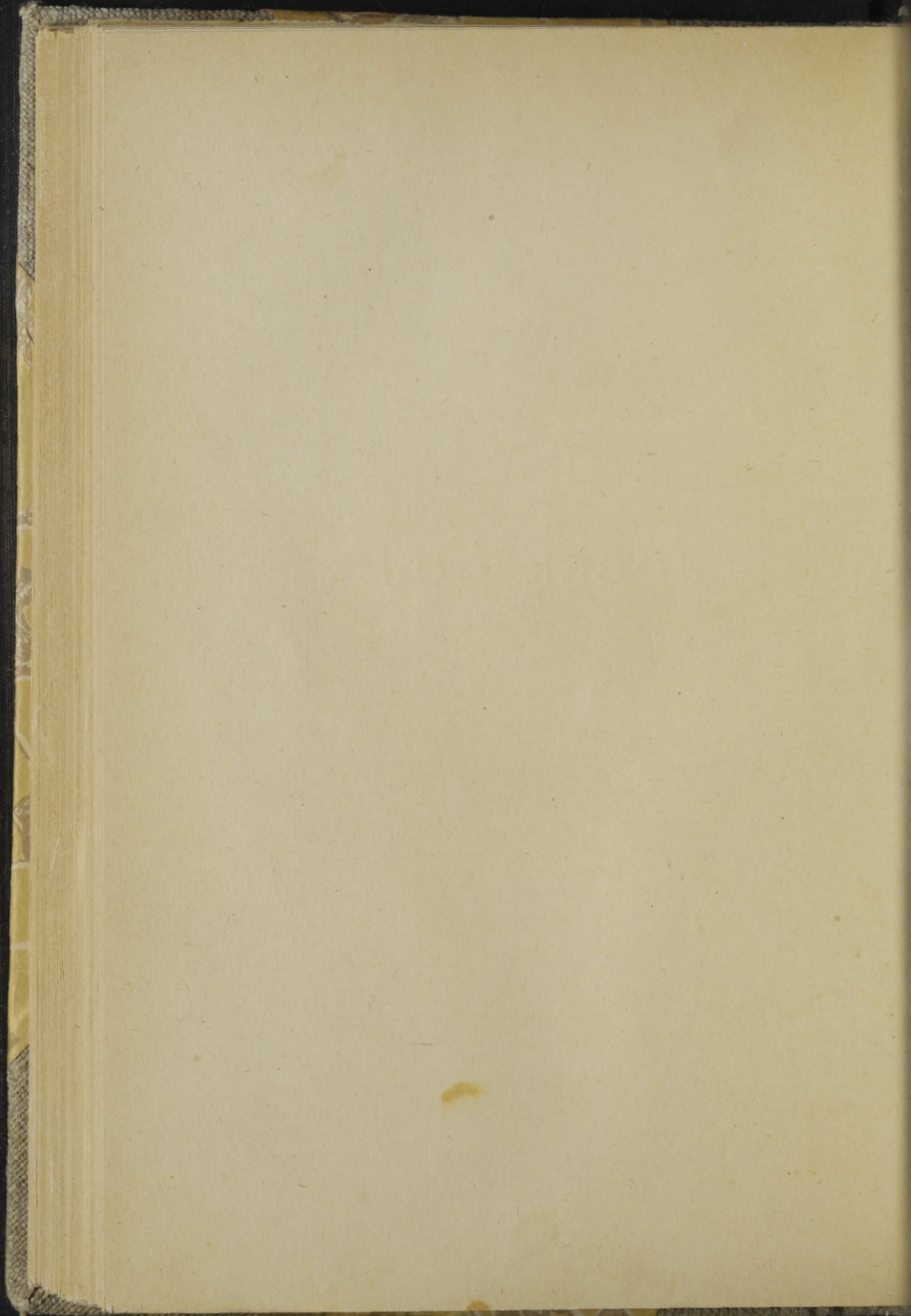
w ciszę więziennego gmachu. Na korytarzu rozlegały się ciężkie kroki, nadchodził pan „Aufseher“. Instynktownie przybyły człowiek skoczył na miejsce pod oknem, a kiedy w drzwiach ukazała się dostojna postać dozorca, zameldował słabym głosem:

— Strafgefangener Izaak Goldfein, für schweren Einbruchsdiebstahl — Zehn Jahre Zuchthaus!

Więzienie Karne.

Rawicz, dnia 2.X 1929 r.

JOSEK GOJ



Był to znany Żydek kryminalista w małym prowincjonalnym miasteczku. Nie mówił jednak nigdy po żydowsku nawet z Żydami, a także w miasteczku krążyły pogłoski, że zjadał „hazer“. Z tego powodu został przezwany „gojem“. Między kolegami po fachu zwano go „ślepy m Joskiem“, bo jedno oko stracił zupełnie na pewnej nieudanej wyprawie złodziejskiej, którą prócz tego kalectwa przypłacił dwoma latami więzienia.

Miał lat dwadzieścia osiem, średniego wzrostu, o bladej, nieco plegowatej twarzy. Właśnie stał przed paserem, którego zwano „garbaty Mosiek“ i wymachując rękoma: wykrzykiwał:

— Powiedzno prawdę, bo wiesz, że ze mną nie ma żartów. Jak pójde tam i nie będzie tych pieniędzy, co o nich mówisz, to jak pragnę wolności, że cię zakatrupię... Opowiedz mi jeszcze raz, w jakim miejscu stoi ta chałupa, ile może być tam pieniędzy i gdzie leżą schowane!

Paser stał oparty o stół i z miną mędrca, jakby rozmyślał nad bardzo zawikłanym tematem z „talmudu“, jedną ręką trzymał się za brodę, a drugą ujął Joska za ramię i po ojcowsku, powolnym, gardłowym głosem wyrecytował:

— Jak ci mówiłem, tak jest!... Ty dobrze wiesz, że Stary Mosiek gdy nada „robótkę“, to jak w ban-

ku pewne, tylko żeby Pan Bóg dopomógł nam, to będzie fajny interes i dobrze zarobisz. Ny, mógłbym komu innemu nadać tę robotę, tylko ja chcę, żebyś ty dobrze zarobił.

Córka pasera, dwudziestoletnia, piękna dziewczyna, stała przy oknie i spoglądała to na ojca, to na Joska, przysłuchując się tej całej rozmowie, prowadzonej dość głośno.

Gdy ojciec wyraził się: „żeby Bóg dopomógł“, dziewczyna drgnęła i odezwała się głosem podnieconym, w którym brzmiała nuta wyrzutu:

— Pocóż wy Boga wzywacie przy waszej plugawej rozmowie... O ile wiem, to Pan Bóg zakazał kraść i krzywdzić bliźniego... a wy jesteście na tyle bezczelni, że prosicie Go o pomoc. Wstyd, żeby tatuś na stare lata zadawał się z takimi ludźmi i trudnił się tak brudnymi interesami!

Dziewczyna ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

Stary Mosiek kochał swoją córkę nad życie, bo z ośmiorga dzieci pozostała mu tylko najmłodsza, Ryfka. Najstarszy syn zesłany był na Syberję, na dziesięć lat robót katorżnych i prawdopodobnie już nie żył, gdyż od sześciu lat nic o nim nie było wiadomo. Troje umarło w młodych latach, a drugi syn został zabrany do armji rosyjskiej i padł na froncie niemieckim w początku wojny światowej. Dwie córki wyemigrowały do Argentyny i zamieszkały w Buenos - Ayres, lecz stary niechętnie wspominał o nich (zapewne musiały się znajdować w jakimś domu rozpusty).

Ryfkę kochał bardzo, bo pomimo tego, że wyrosła w takiej rodzinie i środowisku gdzie nakazy etyczne były rzeczą obcą, prowadziła się moralnie, co staremu bardzo pochlebiało. Miłość ojcowska była tak bezgraniczna, że nawet dał jej możliwość ukończenia szkoły elementarnej, co było sprzeczne z jego poglądami.

Paserstwem trudnił się raczej z przyzwyczajenia, niż z potrzeby, gdyż posiadał własny dom i sam ma-

wiał, że daje trzydzieści tysięcy rubli w posagu, gdy się trafi przyzwoity kawaler. Mógłby już prowadzić życie całkiem uczciwe, jako można kupiec, lecz stary był chciwy i nie gardził żadną okazją, mogącą przynieść mu zysk, choćby nawet groziła kryminalem. Naprzykład, kiedy w zeszłym tygodniu bawił na wsi u bogatego gospodarza w celu kupna konia i zobaczył u niego pięć tysięcy rubli w banknotach i dwa tysiące w złocie, ogarnęło go pragnienie posiadania przynajmniej tego złota. .

Co prawda, Mosiek wyraził gotowość kupna tych złotych pieniędzy, proponując chłopu po trzydzieści marek za jedną złotą monetę, ale chłop kategorycznie odmówił, twierdząc że „Niemcy“ dadzą jeszcze po sto marek za „štukę“. Widząc, że z tego handlu nic nie będzie, Mosiek postanowił nabyć to złoto inną drogą i postać mu w tym celu doskonałego „kupca“ w osobie pana Joska - Goja, którego znał dobrze i wiedział, że jest „fajny ganef“, choć jest trochę popędliwy i do tego „goj“, ale zato nie jest „kapusiem“ i gdyby się nawet „zasypał“, to go nie weźmie do sprawy.

Teraz właśnie nadawał ten interes Joskowi, nie zauważwszy, że Ryfka jest w pokoju i słyszy ich rozmowę. Stary nie życzył sobie aby córka wiedziała o tem, jakimi interesami trudni się jej ojciec, bo wiedział dobrze, że córka nienawidzi wszelkich nieuczciwych kombinacyj. Gdy odezwała się, stary zniechęcił się, przybladł trochę i błędnie oczyma wpatrzył się w córkę, nie wiedząc narazie co jej odpowiedzieć — został schwytany na gorącym uczynku, a niedawno przecież zapewniał ją i przyrzekł solennie, że już nigdy nie będzie się zajmował interesami, mającemi styczność z kodeksem karnym. Traf chciał, że został skompromitowany przez własną nieostrożność, bo niezauważył córki, siedzącej z książką w ręku przy oknie w cieniu wielkiej szafy.

Nareszcie powiedział:

— Co ty tu robisz? Dlaczego nie idziesz spać? To nie twój interes — ja wiem, co robię... to jest

taki bogaty cham i cholera go nie weźmie! To jest taki paskudny goj, że nawet to złoto nie chciał mi sprzedać, a ja mu teraz wszystko zabiorę!

Josek z widocznym zadowoleniem przyglądał się Ryfice i myślał w duchu: „jak zrobię“, te pieniądze, to może Mosiek za zięcia mnie weźmie.

Ryfka oddawna mu się podobała: była młoda, a jej wschodnia uroda osiągnęła właśnie swój rozkwit najwyższy. Jednak Josek mylił się i to bardzo, bo Ryfka nigdyby nie wyszła za złodzieja. Co do starego, to może dałby się skusić — tak ładną sumką pieniędzy, mającą się stać jego własnością. Josek znał dobrze starego łotra — jak go w duchu nazwał i był przekonany, że gdyby obecnie prosił go o rękę córki, to napewno stary obiecałby mu ją. Ale tymczasem pieniądze były u chłopca w kufrze, a Josek, budując zamki na łodzi, widział się już zięciem i spadkobiercą starego „łotra“. I może nie tak mu się o Ryfikę rozchodziło, jak o spadek, który z pewnością w całości odziedziczy córka po śmierci Mośka.

Ryfka, wysłuchawszy ojca, wstała, ocierając łzy końcem fartuszka i spokojnie, ale smutnym głosem odpowiedziała:

— Daj Boże, aby wam się nie udało, gdybym wiedziała, gdzie mieszka człowiek, którego macie zamiar obrabować, tobym go zawiadomiła.

Powiedziałwszy to, wyszła z pokoju.

— Ja wcale nie zauważyłem — tłumaczył się Mosiek z goryczą w głosie — że ona nas słucha. Dobrze jeszcze, że ona nie wie, gdzie mamy robić interes, bo gotowa nam wszystko zepsuć...

Josek spojrział na starego i sztucznie się uśmiechnął:

— Widziałem, że ona słucha nas, tylko nie wiedziałem, że jest taka „fajna“ i nie lubi złodziejstwa. Ona powinna być córką rabina, a nie garbatego Mośka. Jak jestem Josek, to wstyd, żeby porządny paser miał taką córkę, co się jej trzeba było obawiać, czy czasem nie pójdzie „kapować“.

Mosiek uśmiechnął się ironicznie:

— Ny n'ima się co bać, ona nie wie, gdzie jest ten interes. Ty staraj się tylko tego „goła“ zrobić, to wszystko będzie git! A reszta wszystko na moje głowe.

Po tych słowach poklepał go protekcjonalnie ręką po plecach i zaproponował:

— Ny, może wyjmemy kieliszek pe'sachówki, ziemy szabasówkę, a przy tem porozmawiamy o wszystkim. Git?

— Dobrze — zgodził się Josek, widząc że stary chętnie zagląda do kieliszka kilka razy dziennie, a gdy mu się język rozwinię, opowiada ciekawe rzeczy. Sam także za ko'nierz nie wylewał, a poza tem chciał jeszcze raz dokładniej pomówić o „interesie“.

Mosiek postawił na stole dużą fiaskę wódki, zaprawionej na różowo, położył szabasówkę i dwa kawałki ryby pozostałej z szabasu gdyż działo się to w niedzielę wieczorem, nalał sobie i Joskowi wypili „lechałm“. Przegryźli kawałkiem ryby i stary od razu nabral ochoty do opowiadania.

— Ny, dawniej by'y lepsze czasy dla z'odzieja i dla pasera, epiej można było żyć... Gdzie z'odziej się tylko ruszył, to mógł ukraść, a wiesz dlaczego? Bo nie było tu z'odziejów jak dziś. Dzisiaj jest więcej z'odziejów, jak „fraterów“. Ma'ło jest teraz ludzi na świecie, żeby nie kraść, a po drugie takich zamków nie było jakie teraz wymyślili; jak wy tam je nazywacie: francuskie, angielskie, patentowane „pukacze“ i inne. Człowiek zwarjować może teraz na tyle sposobów, co ma'ją na z'odziejów... nie można żyć wcale... Widzisz, jak świat zepsuł się i własnej córki trzeba się pi'nować. Córka starego z'odzieja n'enawidzi z'odziejów.

— Jak żyć? — g'upi jestem. Nu czemu nie nie pijesz? Na ej, nie wstydz się bo widzisz — ciągnął dalej swoje wywody — dawniej było tyle „loches“, co dzisiaj; ty sam najlepiej wiesz jak się trzeba wystrzegać na wszystkie strony, że nawet prawdziwe psy na czterech nogach też wyczuł, jak wywachać

złodzieja. Kto to za moich czasów, gdy ja sam chodziłem kraść, widział coś podobnego? — tu splunął na podłogę, otarł brodę czerwoną chustką i miał sobie jeszcze k eliszek.

— Ny, za mojej pamięci i paser lepiej stał, bo złodziej dawniej był głupszy. Dziś złodziej ciągnie od pasera wiele się tylko dać: nu, i „kapusi“ dawniej nie było tytu, co teraz jest ze złodzieiów. Ja pamiętam, było to czterdzieści pięć lat temu handlowałem wtedy już końmi i kupowałem się takie wiesz... — tu zaczął mrugać oczami na Joska, a ten mu kiwnął głową na znak że zrozumiał „jakie konie kupował“. — Miałem jednego, co przyprowadzał mi po cztery i więcej od razu na pastwisko; ja płaciłem mu za jednego: trzy ruble, funt kiełbasy i czterdzieśkę wócki. Taką umowę zrobiłem z nim na cały rok. Pewnego razu pamiętam, przyprowadził aż cztery konie; poszedłem ich oglądać, patrzyłem że jeden jest młody, żrebę, dwu atek. Mówię do niego:

— Gawryło — tak miał na imię — za tego młokosa nie mogę ci przecież dać tyle, co za konia!

A Gawryło popatrzał i mówi:

— Ano, to niech pan da funt kiełbasy za niego!

Nu, i dałem funt kiełbasy za niego. Węc takie czasy były a teraz? byle łapserdak, to już setkę chce, żeby mu paser dał za byle co.

Josek zaczął się śmiać:

— Co, tybyś pewno chciał takich Gawryłów dużo? ale dzisiaj nie ma głupich; pewno ten twój Gawryło umarł z głodu przy takim paserze. Jak ty?

— Ny, gdzie tam miał z głodu umierać — odpowiedział Mosiek ze złością — onby i dzisiaj żył, żeby go chłamy nie zabili. Ny, to był bardzo porządny goj ten Gawryło, ale marcie skończył. Było to z mowa porą. Mróz był, jak nigdy. Gawryło chciał się dostać przez rzekę z dwoma końmi po łodzie. Wtem chłopci go dogonili, złapali i zaraz zrobili mu „cum taji“. Włożyli go do worka, zawązali i puścili go pod łód. Do dzisiaj nawet trupa nie znaleźli... Taką śmiercią zginął ten fajny człowiek...

Josek nie mógł się powstrzymać od śmiechu, wypił jeszcze kieliszek wódki i wykrztusił:

— To on ten twój Gawryło miał taką śmierć dlatego, że ciebie za pasera miał.. za konia funt kielbasy... ha, ha ha! Ty lubisz gupców takich co?

— Ny, dosyć tych żartów — zdecydował Mosiek i przybrał poważną minę — kiedy ty myślisz udać się na tę robotę? Ja myślę, że najlepiej jutro zrana gdy wyjada w pole do roboty; jutro jest poniedziałek, akurat dobrze będzie, tylko o piętej rano musz tam być, żebyś widział, jak będą wyjeżdżać w pole. Przecieżysz wiele wyjechało z tego domu, gdzie ten interes jest. Sześcioro ma tam być z kobietami; teraz żniwa, to cała wieś będzie w polu, będzie „gr“. Tylko uważaj dobrze, nie omyl się, lecz dobrze, czy sześć osób wyjechało — powtórzył Mosiek — bo to grunt, żeby w chałupie nikogo nie było. Ja też wiem jak się „kaber“ robi. Gdy byłem mody, a nie byłem taki garbaty, jak dziś, to się też robiło rozmaite kawałki.

Nu, więc słuchaj rady starego „Jone“ i bądź ostrożny. Jak wejdiesz do wsi zaraz pierwsza chałupa. Czerwony balkon jest od ulicy obrośnięty dzikim winem, ale ty wiesz od podwórza. Jak wejdiesz do sieni, to na prawo są drzwi do kuchni, a z kuchni do dużej izby. Jak wejdiesz do tej izby to na prawo przy oknie stoi kufek. Wygada, jak amerykański ma dobry zamek, ale to nic... W kufce leżą pieniądze. Papery są zawinięte w kawałki pólona, a te z'ote leżą w przegródce na prawo w blaszanym pudełku od herbaty. Tylko pamiętaj żebyś dobrze liczył, jak wyjada w pole, bo od tego wszystko zależy.

— Ny, Josek, co się tak zamysłiłeś i nic nie mówisz? Nie martw się — ciągnął Mosiek dalej nie czekając odpowiedzi — jak zrobisz te pieniądze to my poradzamy o tem, o czem ty teraz myślisz. Hej, stary Mosiek nie jest taki głupi, żeby nie wiedział i nie zrozumiał, dlaczego się tak martwisz i że moja Ryfka ci w głowie. Ładna koza, podoba ci się? Ale

co ty takie wielkie oczy zrobisz na mnie, jak cię, jakbyś mnie nie rozumiał?

Josek odetchnął głęboko i odpowiedział:

— Pamięć Mosiek, wyznam panu prawdę, o czym ja tak myślę:

Ale Mosiek mu przerwał:

— Co ty już na mnie „panie“ mówisz? — i roześmiał się. — Ny ja wiem to wszystko Ryfka narobiła, co? gadał dalej, ale prędzej trochę, bo zegar już był dwunasta, musisz się trochę przespać, a o godzinie czwartej obudzę cię. Akurat tam na czas zajdziesz.

— Dobrze — rzekł Josek — nie mam dużo do mówienia, postanowiłem przedstawić moje zamiary panu, panie Mosiek. Wadomo panu, że jestem sierotą... matka mi umarła, gdy byłem małym chłopcem a ojciec na psy zeszedł i nie wiem wcale, gdzie jest... pewno siedzi w Rosji w jakim więzieniu Brat też złodziej został zesłany na cztery lata rot aresztańskich na Sybir... A ja bym chciał „zabasować“ i nie kraść więcej — tu znowu odetchnął głęboko — chciałbym prosić pana o rękę jego córki, gdy mam się uda ten interes zrobić.

Tych kilka ostatnich słów wymówił niezwykle prędko.

Mosiek spozirzał na Joska z politowaniem, poklaskał głową, a biorąc garść włosów swej brody w zęby i gryząc je niechętnie, co zawsze czynił, gdy chciał okamać kogoś, mówił poważnie:

— Ty wiesz dobrze, że ja nie będę przeciwny; staraj się ten interes zrobić, to poradzamy o tem. Już ja się postaram, żeby Ryfkę nakłonić do ciebie, bo wiesz że ona nie chce złodzieja. Ale jak tyle pieniędzy zarobisz to już nie będziesz potrzebował kraść. Teraz niema co gadać o tem... Kładź się spać tu na kanapie i bądź dobrej myśli, a wszystko będzie „got“... ale pamiętaj że o czwartej cię budzę, Ny, dobranoc! Ja jeszcze się trochę pomodłę.

Powiedziawszy to Mosiek wstał ze swego krzesła, podszedł do okna, ręką pociągnął po szybie, wy-

tarł ją o drugą rękę i z miną pobożną zaczął się modlić. Ktoby ujrzał go tak zatopionego w modlitwie, nie dałby wiary, iż ten siwy starzec zdolny jest do przestępstwa i zbrodni.

Modlił się z przyzwyczajenia, ustami szeptał słowa modlitwy, a w głowie układał plan: ile ma dać Joskowi za te dziesięć tysięcy rubli w złocie, oraz jaką sumę ma wziąć z tych papierowych pieniędzy. Był pewny, że Josiek ze wszystkimi pieniędzmi przyjdzie wprost do niego ze względu na córkę bo gdyby nie ona, to z pewnością po „obraniu“ chłopca, nie pokazałby się więcej.

Rozmyślając tak podczas modłów, kiwał się zawzięcie ku ścianie i rytmiczne ruchy tak go rozmarzyły, że był blisko zaśnięcia.

Josiek położył się na kamieniu ale nie mógł od razu zasnąć. Myślał sobie: ten stary łotr chce mnie naciągnąć; posyła mnie na ten interes, obiecując Ryfka. Dobrze wiedział, że Ryfka nigdy nie wyjdzie za złodzieja i że stary każdemu złodziejowi, którego tylko chce wykorzystać dla swoich celów, córkę obiecuje. I choć nie wierzył w obietnicę starego Mośka, ale jakoś błogo mu było na duszy gdy Ryfka spoglądała na niego, lub gdy o niej myślał.

Zdawało mu się, że teraz, kiedy zarobi tyle pieniędzy, to już będzie mógł przecie „zabastować“, ożenić się i rozpocząć uczciwe życie. Oczami wyobraźni widział już Josiek swą przyszłą żonę i słyszał małe dzieci, wołające na niego: „tatele“. Widział swój handek na Smoczej-gass, który postanowił założyć, widział jak żona krząta się z zakasaniem rękawami w tym skąpiku, robi to i owo, nachyla się nad beczką ze śmietaną, a on Josiek, mąż jej, stoi z tyłu i patrzy na jej muskularne nogi, które widać wyżej, niż zwykle z rąk podciągniętej do góry spódnicy. Widzi jej kbić wysmukłą, rysującą się plastycznie na tle otworu drzwi, oraz jej obfite piersi, obciążone stanikiem. I na sama myśl o przyszłym szczęściu, o oczekujących go rozkoszach, dreszcze go przeszły.

— Tak, dobrzeby to wszystko było, gdyby się udało, a może się czasem nie udać.. A wtedy, co? — znowu mnie czeka to przekłębne więzienie i jeszcze w takich czasach, jak obecne. Odkąd Niemcy przyszli do Polski w węższych panuje głód niemożliwy.

Josek dobrze wiedział, co to znaczy więzienie i głód, bo niedawno, dwa miesiące temu zaledwie pożegnał mury więzienne — to już nie po raz pierwszy. A co ma robić? Nie miał do kogo udać się o pomoc, o pracę nie prosił, bo któżby wziął z'odzieja do pracy; jest dość ludzi którzy nie wiedzą, co kryminał znaczy, a pracy nie mają. Niektórzy, a można ich nazwać szczęśliwymi, tłuką u Niemców kamienie na szosie.

Coprawda, Josek, po zwolnieniu z więzienia postanowił zarabiac uczciwie na życie z wielkimi trudnościami znalazł pracę u pewnego kupca. Przepracował u niego wszak tylko trzy dni, ponieważ kupiec, dowiedzawszy się o przeszłości Joska, zwolnił go natychmiast zapłaciwszy mu za cały miesiąc, by tylko się go pozbyć. Josek postanowił spróbować raz jeszcze szczęścia, a później już nigdy nie wyciągać ręki po cudzą własność.

Tak marzył sobie Josek, nie mogąc zasnac. Zegar wybił wpół do drugiej. Josek spojrzal na zegar.

— Węc jeszcze dwie godziny pójdę tam, i los mój się rozstrzygnie. Nie wiem tylko co mi jest... mam jak es dziwne przeczucie... może się „zasypie“, a co gorsze, wpadnę w chlopskie ręce? — wtedy pewna śmierć.

Wiedział z doświadczenia, że gdy chłopci z'apia złodzieja to marny jego os.

— Ale trudno, muszę zaryzykować ten raz, nic nie pomoże.

Wreszcie zasnac. W izbie panowała niczem niezmacona cisza, tylko z drugiego pokoju dochodziło monotonne cykanie zegara chrapanie Moška. Nareszcie zegar wybił powoi czwartą. Josek byskawicznie poderwał się z kanapy nie dlatego, że była już czwartą, tylko, że miał przerażający sen.

Sniło mu się że jest zającem i biega po polu, zjadając szałwę. Wtem usłyszał krzyk, jakby szła naganka. Krzyk był slychać coraz wyraźniej i naraz urzał chłopów, zbliżających się do niego. Każdy z nich inaczej ubrony. Trzymali: cepy, widły, kosy sznury kamienne. Widzi śmierć przed oczami, chce uciekać, lecz nogi odmawiają mu posuszeństwa — katastrofa nieunikniona: jest otoczony ze wszystkich stron jeszcze kilka minut, a nie będzie w dział już tego pięknego pola i łąki i słońca.

Naraz stanął przed nim obrznięty chłop z widłami w rękach. Widzi, jak obrznięty zamierza się na niego, by go uderzyć i czuje już śmierć. Wtem... odzyskuje przytomność rzuca się chłopu pod nogi, tamten odstepuje w tył, a on co sił w nogach zaczyna uciekać. Lecz daremny wysiłek, manewr się nie udał. Inni chłopi zabiegli mu drogę i dosłali kamieniem w głowę. Zaczął tracić przytomność i upadł w tej samej chwili.

Ze strachu przebudził się i gdy rozmyślał o tym śnie, wsunął się Mosiek, mówiąc:

— Ny, już wstałeś akurat czwarta godzina, będzie „ganc git“ i jazda... na, tu masz chławy z kawałkiem śledzia i marsz. Tyłko bądź ostrożny bo to Niemcy kręcą się po wszystkich drogach jak psy... a paszport masz? i „statki“ nie zapomnij! Ny, co ty taki nie swój i nic nie odpowiadasz, nie wyspałeś się, czy co?

— Gdzie tam mnie teraz spać w głowie.. miałem straszny sen, oj, żeby czasem nie było źle ze mną...

— Głupstwa pleciesz — odparł Mosiek — taki „groise gamef“ i wierzysz w sny!? Nic ci nie będzie. A może cię tchórz obćciał? Ny, ny, fajny interes! — i spuwał z pogardą na podłogę.

Josek rad nie rad wyszedł z mieszkania pasera bez pożegnania jak skazanec wychodzi z celi więziennej, idąc na śmierć. Odczuwał, że jakies

nieszczęście go spotka, a'e jakie, nie wiedział. Rozmyślając nad tem, m'nął rogatki miasta.

Cudowny był poranek — słońce już wzeszło i zaczęło przygrzewać, śpiew ptaków rozlegał się wokoło. Czar etniego, pięknego poranka opanował smutną duszę Joska.

— Kto wie... czy jutro, o tej porze, będziesz jeszcze ogładał słońce... może jutro już siedzieć będziesz w wężeniu... oddychać — zatrutem powietrzem i marnieć z głodu — albo, co gorzej, gdy cię chłopi z'apą... — myślał si łyzy, gorzkie łyzy, mimowoli popłyneły mu z oczu.

Łkanie zatęgało jego piers'a. Jasek już dawno nie płakał i nie był skłonny do płaczu, lecz teraz ogarnął go ogromny żal, choć sam nie wiedział dlaczego. Czuł się strasznie pokrzywdzony Josem; zbrzydł mu ten przekłety chleb z'odzlejsk' i chcia'by być już uczc'wym cz'owikiem. Lecz cóż mógł zrobić? — pracy żadnej nie mógł nigdzie dostać, a jeść i z'odziej musi codziennie. Chciał więc i musiał ten raz jeszcze ryzykować.

Tak rozmyślając smutnie nad swoją dolą doszedł do drogi, która prowadziła do wsi. Była to szosa wybudowana przez Niemców i po niej szedł Jasek do swej „ziemi obiecanej“ po z'ote runo.

Wtem zauważył dwu jeźdźców. Jechali z przeciwniej strony, wprost na niego. Jasek ocknął się ze swych myśli, bo w jeźdźcach poznał dwu żandar mów niemieckich.

— Ha!t! — krzyknął jeden z nich, podbiehawszy blisko.

Jasek stanął, zdjął czapkę z głowy i uklonił się nisko, schyliwszy się aż do samej ziemi.

— Wu ch'n? — zagadnął go ten sam głos.

Jasek przybladł nieco i odpowiedział niepewnym głosem:

— Besteh eh, ich arbeit ejt di szoszej. ich aken-szejner.

Niemcy spojrzeli na siebie porozumiewawczo, bo domyślił się co Jasek mówił, chociaż z całego zdania zrozumiał tylko jeden wyraz „arbeits“, a jeden z nich znowu zapytał tym samym flegmatycznym, służbowym tonem, od którego Jaska dreszcze przechodziły:

— Ceigen sie dem pas!

— Ja ja, ich ob in kieszene, bester er — odpowiedział Jasek i wyjął paszport z kieszeni, podając go Niemcowi ze strachem.

Ten popatrzył to na Jaska, to na fotografię i zagadnął go znowu:

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia osiem — odpowiedział Jasek.

— Bist du judej, was?

— Ja bester er, ich bym a jude — była odpowiedź.

— No dobrze, masz tu swój paszport zpowrotem.

— A sienem dank bester er — i ukłonił się im jeszcze niżej, niż za pierwszym razem.

Niemcy uśmiechnęli się i pojechali do miasta. Jasek odetchnął pełną piersią i lżej mu się zrobiło. Bo coby to było, pomyślał sobie, gdyby mnie Niemcy „schypiszowa“ i znaleźli z'odziejskie przybory: szaber i wytrychy — to dopiero byłbym „przegranym“ na czysto; odesłaliby mnie na „cwaig arbeits“, a tam podobno jeszcze gorzej, jak w wężeniu. To musieli być głupie „szkopy“ i dobrze, że umiałem się rozmówić z nimi.

Jasek był przekonany święcie, że Niemcy to są dawniejsi żydzi, którzy się przechrzcili i dlatego mówią po żydowskiu trochę „naczej“, jak prawdziwi. Niemcy byli w Polsce dopiero od dwu tygodni i Jaskowi po raz pierwszy zdarzyła się okazja porozmawiania z prawdziwym Niemcem i do tego jeszcze z żandarmem.

Nie przyszło mu na myśl, że oni nie rozumieli go zupełnie i że uratowała go tylko głupota i to, że im się tak nisko kłaniał.

Po tem przejściu nabrał trochę wiary w swój los i zdolność. Przyspieszył kroku i zaczął nanowo myśleć o pieniędzach, co leżą u chłopaka w kufirze, a za jakieś dwie trzygodziny będą w jego kieszeni. Nagle uświadomił sobie coś nowego i aż się zdziwił, że przedtem nie pomyślał o tem.

„A jakby te pieniądze zabrać i staremu łotrowi figę pokazać... i puścić się w świat? Cóżby on mógł mi zrobić? I tak dość się złodziejskiej krwi napił“.

Przypomniał sobie, że przed świętami wielkonoctnym okradł sklep z manufakturą i przyniósł ten towar staremu a Mosiek prawie darmo go zabrał, bo zawsze umiał wynaleźć jakąś przyczynę, co przeszkadzała zapłacić tyle, ile złodziej chce. Gdy mu przyniósł z mowy towar, to Mosiek mówił:

— Ny na co mi ten towar? Już za parę miesięcy będzie lato. Ty daj towar letni, to wszystko dam.

A gdy mu latem dano towar letni, to nie chciał kupować, bo niby latem nema komu sprzedać gdyż jest ciepło i każdy, jak może, oszczędza, chodząc w cieple w byle czem. Różnem sposobem starał się złodziejka ocyganić i wszelki towar zabierał prawie zadarmo.

Josek rozumiał dobrze, że stary go „wypychiwał“, a co miał robić? Był sierotą, nie miał niko-go, kto by się nim zaopiekował, gdy wpadnie do więzienia a Mosiek podczas pobytu w kryminalu dostarczał mu jednak „wałów“, kiedy dwa miesiące temu opuszczał mury więzienne, podał mu garnitur, za który jeszcze dotychczas nie zapłacił.

Wreszcie doszedł do ścieżki, prowadzącej wprost do wsi i zaczął rozgadyać się po polach. Słońce dopiekało przyzwyczajenie, choć pora była dość wczesna. postanowił usiąść w rowie i rozetrzeć się.

Chłop z niektórych chałup zaczął już wyjeżdżać w pole na robotę. Josek obserwował chałupę, którą poznał po ganku, obrośniętym dzikiem winem. Cała jego uwaga i wszystkie myśli skupiły się na tej chałupie, kryjącej za ścianą złotodajny kufier. Tam był jego los, tam była cała jego przyszłość... Naraz

przypomniał mu się ten straszny sen dzisiejszy i dreszcze go przeszły, lecz jakś kusiciel wewnętrzny szeptał mu do ucha:

— Co tam sny! gupstwo; nie tchórz, gdy już jesteś blisko celu. Wstyd, żeby z'odziej był tchórzem podszyty. Sen zresztą już się sprawdził: ci żandarmi, których spotkałeś, „to ch'op“; groziło ci niebezpieczeństwo, lecz mne — nic ci się z tego nie stało.

Wtem usłyszał skrzyknięcie wozu, wstał i zaczął przygadywać się: oto wreszcie wyruszy wóz z podwórza „jego“ chaupy. Przypadł do ziemi i obserwował z natężeniem: ile tam osób siedzi na tej furmance?

Ch'op, który powoził, uderzył konia batem i wóz pociążył się szybko. Jasek pociążył się w miedzy, aby go nie zauważył. Na wozie było sześć osób: trzy kobiety i trzech mężczyzn — tak mu się przynajmniej zdawało.

Ten, co trzymał lejce, był obrzymim, ponurym i bardzo s'nym chłopem; zapewne sam gospodarz. Jasek pomyślał sobie, że dobrze się stało, iż ten „grojse“ ch'op oddał się i że wszystko zdaje się dobrze składać.

Wstał, przeciągnął się i ruszył bliżej ku zabudowaniu. Wkrótce znalazł się tuż przed samym ganikiem. Wystarczyło przeleźć przez płot... Nie widział żywej duszy; wyglądało tak, jakgdyby wszyscy przed nim pociękali. Ale coś mu serce zaczęło się tłuc, mocniej, jak zwykle: widzi już przez szparę w parkanie drzwi do sieni. Lecz coś się w nim odbywa, jakby głos ostrzegawczy.

— Jasek, ostrożnie, zdaje się, że źle będzie z tobą wróć się, dopóki Cię nikt nie zauważył.

Odrązu jakgdyby dla dodania otuchy, stanęło mu przed oczami blaszane pudełko od herbaty, a w niem pełno złotych dziesięć-orubiówek i te papierowe stu-rubiówki. Zdecydował się.

Jednym susem przesadził parkan, obejrzał się na wszystkie strony i ruszył, skradając się powoli, do drzwi, zamkniętych na patyk. Roztworzył je i wszedł

do sieni. Drzwi, prowadzące do kuchni były zamknięte na kłódkę. Wyjął „szaber“ z cholewy i chciał złożyć, lecz ręka mu drgnęła i „szaber“ wypadł z rąk na kamienną posadzkę.

Przelał się strasznie tego dźwięku, bo przypominał mu brzęk kajdan.

Josek wiedział doskonale o tem i wierzył, jak każdy z jego kolegów po fachu że gdy „szaber“ wypadnie z rąk przy „robocie“, to czeka go wówczas jak eś nieszczęście. Moment oczekiwania. Przez chwilę nie miał odwagi podnieść „szabra“, wreszcie schylił się szybko podniosł, założył nacięną i kłódka pękła. Drzwi były otwarte. Nie ma odwagi wejść, lecz coś mu szepcze:

— Prędzej, nie rozglądaj się, niema ani chwili do stracenia!

Wszedł do kuchni i kocim ruchem, jak duch, wślizgnął się do drugiej izby. Jego spojrzenie padło wprost na kufer. Jeden skok i był już przy nim. Momentalnie o wszystkim zapomniał i o śnie, i o „szabrze“, i o przyszłej żonie z dziećmi, i skępe na Smoczkiej „gas“. Ukląkł, wyjął pęk wytrychów i zaczął nerwowo przebierać je pałkami.

— Co to jest... żaden nie pasuje, co robić?

Wstrząsnął nim, już za długo jest w środku może ktoś nadejść. Bez namysłu wyjął jeszcze raz „szaber“.

— Trudno, trzeba sposobu szukać, może da się zamek ze wszystkim „skasować“.

Wsadził szpic szabra w zamek i po kilkuminutowem szamotaniu, wyłamał cały zamek. Podniósł wokoło: w kufrze było pełno błędnicy. Zaczął przerzucać — spojrzał w małą przegródkę i ujrzał rzeczywiście pudełko blaszane od herbaty. Schwycił je i roztworzył — oczy zaświeciły mu niesamowitymi blaskami pożądania. Były tu same złote dziesięciórublowki o których Mosiek mówił.

Wypał je do kieszeni, a pudełko wrzucił zpowrotem do kufra i począł wyrzucać błędnicy. Nareszcie znalazł na samym spodzie jakieś zawiniątko.

Kiedy je rozwinął, wypadła z niego torebka pocięta a w niej zobaczył pełno stu, dwudziestopięćciu i dziesięć orublowych banknotów.

Wpakował je do kieszeni i chciał się już podnieść, ale nagie poczuł wielką pokusę przeszkukaną jeszcze dokładniej zawartości kufra. Zaczął przerzucać bełiznę i znalazł jeszcze jakieś ciężkie zawijadło. Rozwinął je i znalazł tam pełno srebrnych pieniędzy, któreś mu się rozsypały po podłodze i które zaczął gorączkowo zbierać.

Wtem uwagę jego zwróciły jakieś podejrzanym szmery. Podniósł się z podłogi i zdrętwiał z przerażeniem. Urwał przez okno pełno ludzi skupiających się przed drzwiami chałupy. Myśli, jak błyskawica, przemknęła:

— Przepadł Jasek!

Chciał wyrzucić pieniądze z kieszeni i tylko swe życie ratować. lecz nim się uwołał od nich, chłopci już znajdowali się w śieni i próbowali drzwi rozwarzyć do izby, gdzie on się znajdował.

Jasek stanął za drzwiami, sądząc, że jak otworzą drzwi, to go zasłonią i wpadną do drugiej izby a on się wtedy wyślizgnie i spróbuje uciec.

— Może uda się chłopów nabrać — pocieszał się.

Ale Jasek omylił się tym razem. Chłopi otoczyli przedtem dom, otworzyli drzwi i zaczęli wołać:

— Trzymaj, łapaj złodzieja!..

Jasek nie ruszył się z miejsca, stał za drzwiami i czekał.

Chłopi rozwarli drzwi, które zakryły Jaska i zaczęli wołać:

— Wychodź, złodzieju, bo ci tak nam stąd nie ujdiesz.

Joskowi włosy stanęły dęba. Wołałby sto razy znajdować się w rękach policji, jak wpaść w ręce tych „chamów“, jak ich nazywał.

— Co robić, co robić? — przełatywały mu myśli po głowie — trzeba wyrzucić pieniądze z kieszeni, to może nie będą błądzi, a oddadzą policji.

Nagle hałas się podniósł, sam właściciel mieszkania przybył z pola; chłopi dali mu znać. Sami obawiali się wtargnąć do mieszkania.

Przybyły gospodarz ryczał w niebogłosy:

— O, laboga, laboga, puśćta że mnie, gdzie moje pieniądze?!

W rękę trzymał widły i wchodził do kuchni a kilku chłopów za nim.

Krzyk: „trzymaj łapa! złodzieja“ jeszcze bardziej spotężniał, bo chłopi widzieli nabrałi teraz odwagi. Któryś z nich zapytał nagie:

— Czego wy się tak drżecie? Kogo tu łapać, kiedy nikogo нема!

Chłopi zaczęli szukać: pod łóżkiem, w szafie, pod stołem. Złodzieja nigdzie nie było.

— Jak Boga kocham—odezwał się jeden z chłopów — ja som go widzi o'em przez okno, jak k'adł p'ciwadze do kieszeni ja mogę przysiąc, że go widzi o'em.

Josek stał za drzwiami, przysuchiwał się przez chwilę odgłosom rewizji i postanowił nagie:

— Teraz, ubiegdy!—i wyskoczył na podwórce.

Jeden chłop z „patyczkiem“ w ręku zabiegł mu drogę. Tak samo wyglądał, jak ten, którego widział we śnie i który chciał go uderzyć w głowę. Josek już miał duszę na ramieniu i śmierć przed oczami, uskoczył jednak w bok, a chłop zaczął o coś nogą i omal sam się nie przewrócił. Josek co się począł uciekać dalej. Chłopi z mieszkania wyskoczyli z krzykiem i przyłączyli się do tych, co gonili.

Połowa wsi: kobiety, dzieci i starcy gonili Joska z krzykiem:

— Trzymaj, łapaj złodzieja!

Josek poczęło już brakować tchu. Zaczął wyrzucać pieniądze z kieszeni.

— Ostatnia próba — myślał — chłopci zaczyna zbierać, a mnie dadzą spokój.

Lecz i teraz pomylił się, a'bowiem było ich tak wielu, że chociaż niektórzy zaczęli je zbierać, to reszta goniła go z większym jeszcze zapałem. Jasek widział śmierć w całej grozie a znikąd żadnego ratunku. Lada chwila upadnie, bo widać i jego nogom sprzykrzył się z'odziejsk chleb i już nie chciały mu służyć.

Poczuł teraz najwyraźniej żal do własnych nóg, bo do ychczas dopisywały mu nęzle i nieraz w ostatniej chwili gdy był w trudnej sytuacji, ratowały go. A teraz? — jakby wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu — czuł, że upada.

Wtem dostał silny cios w głowę i padł. Chciał się jeszcze podnieść, lecz otoczyły go już ze wszystkich stron postacie chłopów i okładały „pałyczkami“, gdzie popadło. Co raz więcej przybywało chłopów kobiet i dzieci z okrzykiem: „trzymaj łapaj“, pomimo tego, że już leżał na ziemi we krwi, gdyż za pierwszym uderzeniem, które otrzymał w głowę rozbiła mu ją, pozbawiając przytomności.

Mimo to krzyk nie ucichł. Otoczono go kołem; każdy z chłopów był uzbrojony w widły cepy, deskę, drąg, kobiety zaś miały w rękach miotły, grabie motyki, a niektóre z nich widać przybyły wprost z kuchni i pewno śniadanie szykowały, bo w rękach trzymały różne kuchenne przybory.

Kto tylko przybył, cisnął się aby go chociaż nogą kopnąć. Wygadało, jakby jakiś obrządek rytualny odprowadzono nad nim i kto tylko przybywa, musi go tknąć.

Nareszcie jeden z chłopów krzyknął:

— Dajcie powrozy, trzeba go związać, a to nam jeszcze gotów uciec!

Chłopi i o tem nie zapomnieli; ze wszystkich stron zaczęli podawać rozmaite powrozy lejce, kantary żelazne pęta. Tyle nanieśli tego że Tatarzy związały dwa pułki wołka, by w jasyr pognać. Jeden z chłopów, świeżo przybyły, trzymał w jednej ręce widły, a w drugiej pęto że azne i wołał, jakby go ze skóry darł:

— Puśćtazę i mnie, niech i ja obacę tego ptaska.
Ch'opi odsunęli się trochę a przybysz rzucił się z wielkim zapalenem na Joska, ciskał go żelaznymi pętami wrzeszcząc przytem:

— A ty ptasku, dostał się, co? — toś ty mojemu ojcu dwadzieścia pięć lat temu dwie szkapę ukradł! — ja cię poznałem, ja ci teraz pokażę.

To mówiąc, zaczął Joskowi nakładać pęta na nogi. Ten leżał już nieruchomy, nie odczuwał żadnego bólu. Ch'opi skrępował mu nogi, ręce a on nawet nie drgnął. Jeden z chłopów, przypatrując mu się bacznie mówił:

— Hej, ptasku, ty nadaremno udajesz, że już nie żyjesz. ja się znam na złodziejskich sposobach, to ci się nie uda.

Odwrócił się do ch'opów i mówił dalej:

— Jak ja jeszcze byłem kawalerem to jechałem do Hameryki — też ukradłem 250 rubli, o, żebym ja go zapał — to onby już w ręce nie kradł — i kopnął w głowę leżącego z rozmachem aż krew buchnęła ustami rannego.

Zjawił się nareszcie poszkodowany, bo do tej pory był zajęty odbieraniem pieniędzy, które Jasek porzucił po drodze.

— Co kumie, wszystko jest?

— Gdzie jestem, nawet pochwyciłem — odpowiedział zagadnięty ze smutkiem.

— Trzeba rewidować go — dodał „Hamerykanin“ i począł rozbierać Joska aż do białizny.

— Oho! to żyd jest, pażajta ja się znam na tem... a ty niechrzciona dusza! — nie mogłeś to do żydów iść kraść — krzyczał ten, którego ojcu dwadzieścia pięć lat temu ukradł on konie, szargając go obcasem w twarz.

Joszek leżał teraz nawznak, w pokrwawionej białiznie, bo skoro padł pod uderzeniem „patyczka“ w tył głowy, legł na piersiach i w tej pozycji go bili. teraz zaś, do rewizji, przewrócili go nawznak. Cała twarz jego była pokrwawiona. Kobiety zaczęły szeptać:

— Dostyc już będzie miał, nie trzeba go już więcej bić.

Po rewizji, kiedy nic przy nim nie znalaziono, poszkodowany krzychał:

— Oddaj wszystko, bo ja cię żywcem pochowam pod stodołą.

Josek nawet nie drgnął, tylko krew kropekami kapła mu z ust, a „Hamerykanin“ mówił:

— Jo się z nam na takich kawałkach, on umyślnie udaje, że już nie żyje, a potem nam cmychnie pod nosem — nie uda ci się, na n c ten sposób, mów, gdzie masz resztę pieniędzy schowane!

— Trzeba mu buty ściągnąć — mówił jeden — może schował tam pieniądze!

„Hamerykanin“ ściągnął buty i znalazł tylko „szaber“ i pęk wytrychów.

— A co to jest? — chłopci brali z rąk do rąk, ogłędając złodziejskie przybory, nawet dzieci musiały dotknąć przedmiotów, które starsi ogłędali. A „Hamerykanin“ objaśniał zebranyim, do czego to służy, a potem dodał, że w Hameryce są jeszcze lepsi złodzieje, jak w Polsce, co oni na własne oczy widział.

— Panowie, co wy robicie, bójcie się Boga, toż ten człowiek już kona, a wy krzyczycie, żeby oddał pieniądze, toż wszystko rozrzucił, jak uciekał; z pewnością przywłaszczyli je sobie ci, co zbierali — już on wam nie powie, bo nie może.

— Pani nauczycie ka ma rację — powtórzyły cztery m ode dziewczęta — dobrze, że pani przybyła, może już skończą się męki tego nieszczęśliwego.

Tu jedna z dziewcząt krzyknęła:

— Patrzcie i oko wybili mu, o, tutaj leży i drugiego nie ma — dodała inna — widzicie, krew mu tylko z jam idzie.

Tu „Hamerykanin“ podszedł do Joska i powiedział:

— Jo zaraz zobaczę, czy już naprawdę zdecht — i biorąc go za rękę, dodał: — No, gadaj, która ręka kradła, mów, to ja ją złamię, żeby więcej nie kradła — to mówiąc, oparł rękę o swoje kolano i próbował złamać.

Josek tylko skrzywił twarz i cicho jęknął, kobiety zakryły twarz rękami, a nauczycielka doskoczyła do „Amerykanna” i chwytając go za rękę, mówiła:

— Dość już tego, jak wam nie wstyd i mówicie, żeście byli w Ameryce, a jeszcze coś podobnego robicie. Poszkodowany tyle się nad nim nie zneęca, co wy...

„Hamerykan” zaczerwienił się i rękę opuścił.

— Co robić z nim teraz? — zagadnął jeden ze starszych chłopów — co pani nauczycielka radzi z nim zrobić? Prawda, że już dość tego bicia, chociaż to żyd jest, ale też człowiek.

— Co robić teraz — powtórzyła nauczycielka — ja wiem: doktora potrzeba! Może się uda uratować go jeszcze. Gdybym przybyła wcześniej, to możebyście się opamiętali i nie mordowali go tak.

— Co nam radzić — rzekł „Hamerykan” — trzeba go pochować na polu i basta. Ja wiem, że on udam się i chce nam uciekać... że tam go trochy pogłaskam, to nic — jeszcze nie zdechnie.

— Co tam za hałas słychać? kto to idzie do nas? — odezwał się ktoś — może Niemcy przyszedli, o! trzeba uciekać stąd, jeszcze nas do kryminalu zabiorą, gdy obaczą, że zabity.

— Jo go tylko raz uderzył — powiedział mały, krępy człowiek.

— A jo dwa razy tylko uderzyłem go tem patykiem, co mam w ręku i em go nie zabiłem — i chciał już odejść.

Wtem przyszło kilku chłopów wraz z sołtysem.

— Niech będzie pochwała ci!

— Na wieki wieków — odpowiedzieli chłopcy i zdjęli czapki przed panem sołtysem.

— A co to jest? — zapytał sołtys — kto go tak zbił, przecież on już kona, psiakrew! Prędzej konie zaprząć, jeszcze cała wieś będzie odpowiadać za to. Zapomnieliście pewno, że Niemcy są!

Chłopcy poczęli się namyślać, kto ma dobre konie.

— A to wy, kumie, macie dobre konie — powiedział jeden do „Amerykanna”.

— Tak, tak, on go najwięcej bił, to on go zabił — mówili kobiety.

Sołtys zaś krzyknął na „Amerykanina“:

— Dawaj konie, jak go zabiłeś!

Chłop przeął się i nic nie mówiąc, pobiegł po konie. Położono Joska na wóz i czterech chłopów wraz z sołtysem powieźli go do miasta.

Josek leżał skrępowany, bez ruchu. Jechali tą samą szosą, na której Josek spotkał żandarmów.

— A w jaki sposób zobaczyliście go przy kufrze? — pytał sołtys.

— Bo widział — mówił „Amerykanin“ — że z tej chaupy, gdzie złodziej był, to córka tego gospodarza nie pojechała w pole; została w domu, a gdy tamci wyjechali, zamknęła chaupę i poszła do Józefowej sioły pożyczyć... pogawędziła z pół godziny, wraca do domu, patrzy, a tu kłódka oderwana. Narobiła krzyku, że złodziej jest w mieszkaniu. Dobrze, że w porę wróciła, że ten ptaszek nie zdążył się uolnić.

— Ale trochę za dużo zbiliście go. Mnie się zdaje, że on już skończył, będzie kram, jak go na komendanturę przywieziem.

Tak rozmawiając, wjechali do miasta i stanęli przy komendanturze. Na ulicach było pełno ludzi. Słońce chyliło się ku zachodowi, a wóz, na którym przywieziono Joska, musiał czekać na komendanta. Chłopi postawiali koło wozu i nie odstępowali go na krok. Zaczęły się skupiać gromadki ludzi i z ust do ust przechodziły rozmaite pytania i odpowiedzi.

— Gdzie go zabili?

— Co, złodzieja?

— A to bandyta?

— To nie żaden bandyta, tylko kupca znaleźli zabitego na szosie.

— Żyda, czy „goja“? — zapytywała gruba żydówka.

— „Goja“ — odpowiedział mały żydek.

— Ni, choć dobrze, że nie żyda — powiedziała zadowolona żydówka i poszła dalej.

— — — — —

Stary „paser“ chodził od rana jak nieprzytomny — nie mógł sobie znaleźć miejsca. Córka bacznie obserwowała go — nigdy nie widziała ojca w takim rozdrażnieniu. Przy najmniejszym szmerze z ulicy patrzył w okno i cofał się przerażony, jakby się czegoś obawiał.

A gdy minęło po'udnie, nie odstepił od okna, przy którym stał, nie zmieniając pozy, jak skamieniały, myśląc, być może, o tych pieniądzach, które miały nadejść.

Nagle ocknął się i wlepił oczy w jeden punkt.

Zobaczył wóz przed gmachem komendatury, otoczony tłumem ludzi. Jakiś strach śmierci ogarnął go, a zimny pot wystąpił mu na czoło. Widząc podniecenie ojca, córka podeszła do niego i biorąc go pieszczotliwie za rękę, rzekła:

— Tatuś, tatuś... co ci jest?

Stary pokazał palcem w kierunku ulicznego zbiegowiska, nie mówiąc przytem ani słowa.

Córka zrozumiała życzenie ojca i wyszła na ulicę. Skierowała się w stronę komendatury i zebranej gromady ludzi, gdzie przeważali żydzi.

— Proszę pana, co tam jest na tym wozie? — pytała Ryfka jakiegoś żydka.

— Bo ja wiem, mówią, że szpiega złapali.

Wtem ludzie zaczęli się usuwać z drogi i zdejmować czapki.

— Co to jest, kto idzie? — pytano się.

— Nie widzicie, że pan komendant idzie, bo był na ob edize i czekali na niego... zaraz będą zdejmować z wozu tego żołnierza ruskiego, co go z apali...

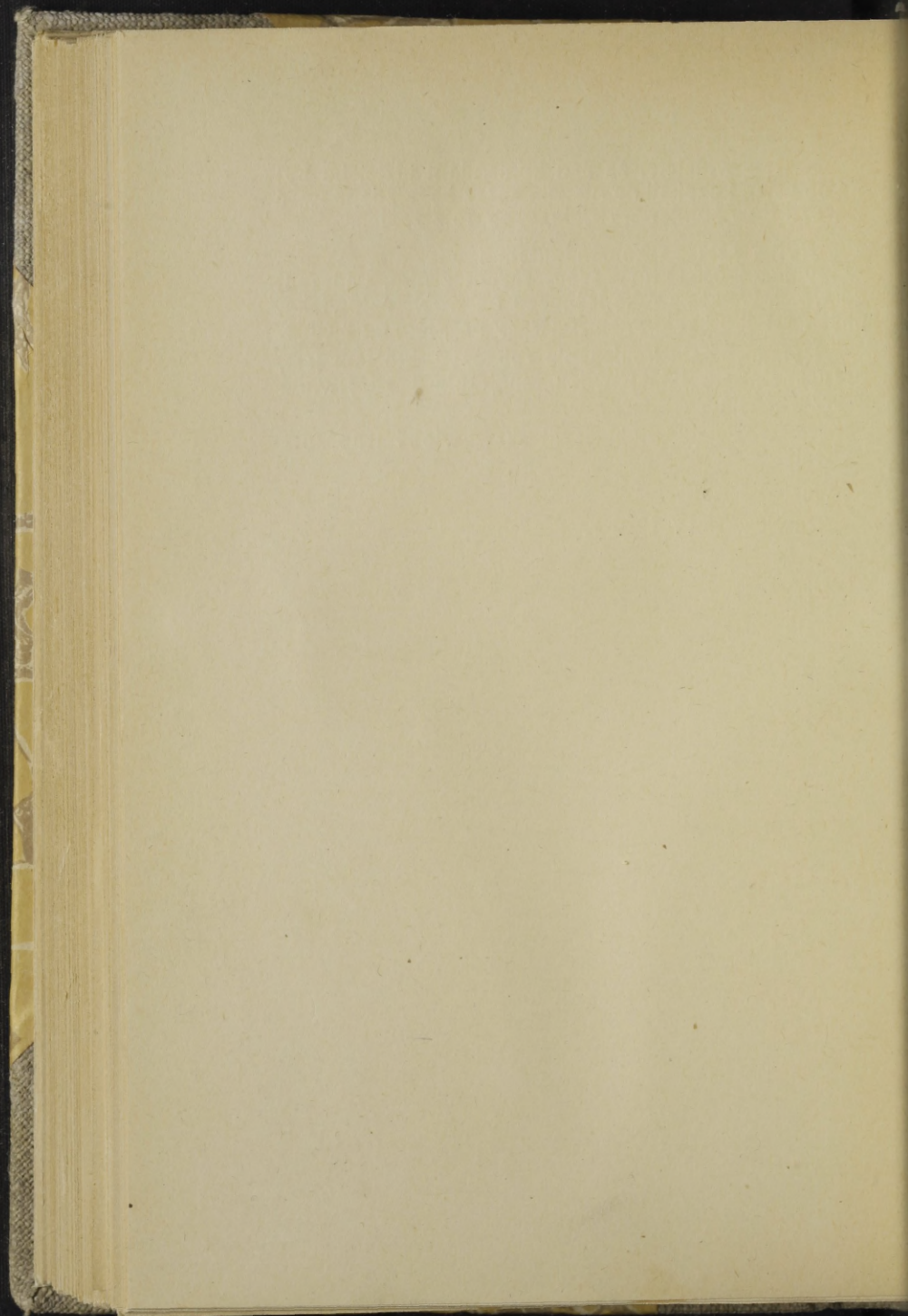
Ryfka szła za komendantem i widziała, jak cywliny jegomość, który szedł razem z nim, podszedł do wozu, wziął za rękę leżącego na wozie człowieka, puścił szybko i zaklął, spuszczając przytem na ziemię.

Ryfka chciała koniecznie zobaczyć, kto tam jest, przysunęła się bliżej wozu, spojrzała i zdrewniała z przerażenia.

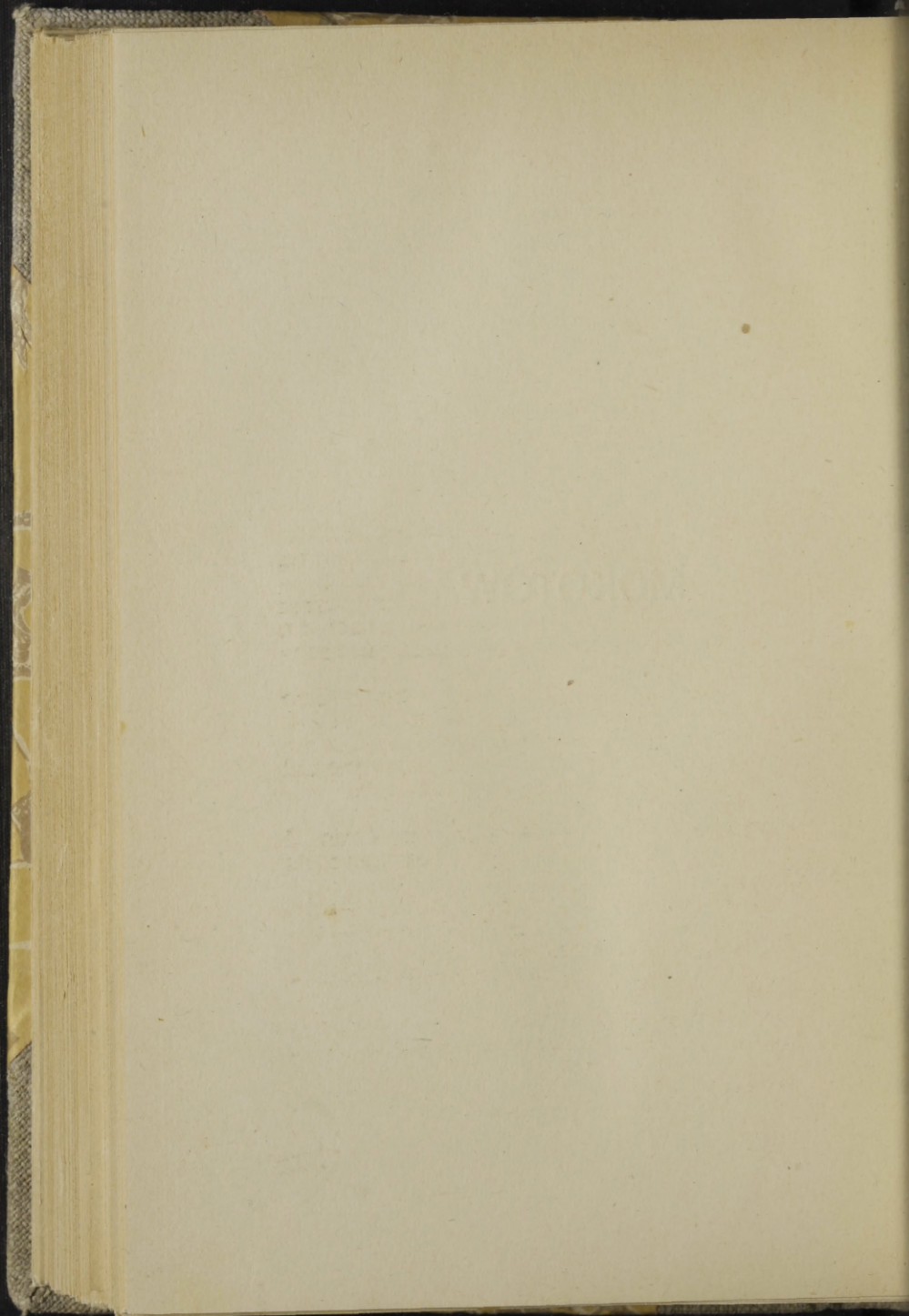
Na wozie od gnoju leżał skrwawiony trup Józka Goja.

Więc cnie Karne.

Rawicz, 15.IV 1929 r.



MOKOTÓW



Mokotów... Mokotów!... twoja nazwa dla tego człowieka, który jeszcze nie zawarł z tobą znajomości i nie gościł w twoich progach — nic nie mówi.

Naprawdę, szczęśliwy jest ten, który jeszcze z tobą nie miał nic wspólnego, ale cóż, zbudowało cię dla ludzi, a życie czasem samo zmusza niejednego o słabej woli, by cię poznał.

O... ten człowiek już nigdy o tobie nie zapomni, a na sam dźwięk twojego imienia dreszcze go przejdą. Tyś nie jednemu dał się we znaki, nie jeden człowiek przypłaci cię życiem, znajomość z tobą, w rezultacie każdy kamień i cegła, z których powstałeś, są już przesiąknięte łzami twoich ofiar.

...A jednak, mamy i takich, którzy są dumni, że cię poznali i starają się przy każdej sposobności cię pochwalić.

— „Co ty tam wiesz... — Trzeba ci było siedzieć w Mokotowie, tak jak ja — wtedy byś wiedział, fraterze, co to znaczy siedzieć w więzieniu, tam... naprawdę... twoje miejsce byłoby przy „baraszcze¹⁾ — a tu złodzieja grasz“!...

Są to ostatnie słowa do „draki“²⁾ — a o ile ten ostatni nie protestuje namacalnie, wszyscy obecni

¹⁾ barasza — ustęp.

²⁾ draka — nowoprzybyły więzień.

stronia już od niego, mając go za frajera, przyczem starają się mu dokuczyć na każdym kroku.

Nic więc dziwnego, że gdy Berek Haper został skazany za kradzież na dwa lata więzienia, zaprzagnął jako wstęp do swej przyszłej kariery, odbyć karę w osławionym Mokotowie.

Napisał więc prośbę do Ministerstwa Sprawiedliwości o zezwolenie na przetransportowanie go do Warszawy, motywując, że brat jego mieszkając tam będzie mógł mu pomagać.

Prośba została uwzględniona pod warunkiem, że zostanie odesłany jedynie na koszt własny.

...Marzenia, więc jego spełniły się.

„Jak już siedzieć w więzieniu, — to już wołę tam, gdzie są prawdziwi złodzieje, a nawet kasiarze...“.

Berek marzył w przyszłości zostać sławnym wlawywczem.

Dotychczas co prawda siedział Berek, już dwa razy, lecz na prowincji, jednak przez ten cały czas nic nowego się nie nauczył, chociaż stale przebywał w celach wspólnych, tam jednak toczyły się rozmowy o groszowych robotach i żaden lepszy gość nie zawitał przez ten czas.

To też pragnąc wiedzy i szacunku myślał jedynie o Mokotowie; Mokotów dla niego to wstęp do kariery i okrycia się „sławą“.

Po pewnym czasie, marzenia jego się realizują.

Berek z zakutemj rękoma kroczy po środku ulicy Marszałkowskiej, a za nim wlecze się ociężałym krokiem policjant.

Na miejsce przeznaczenia przybyli ko'ło południa, opiekun zadzwonił i wkrótce furka, jak paszcza potwora, otworzyła się, by po'knać swą ofiarę.

W kilka minut załatwicno formalności i policjant opuścił mury więzienia.

Berek zwojniony z kajdanek odprowadzony został do jednej z cel dla nowo-przybyłych, za chwilę przyniesiono mu obiad... a był już czas, bo czuł się głodnym, zajrzał więc prędko do miski w której była grochówka, w-y-p-i-l ją prędko, poczem rozejrzał się

po celi, jakby szukał czy niema jeszcze coś do zjedzenia, poczem oparł się łokciami o stół rozmyślając:

„No, dziś to napewno już nie przebiorą mnie w więziennicze ubranie... ale psiakrew — zakął spuwając przed siebie — marny tu obiad dają, sama „wacha”¹⁾, głodnym po niej jak pies. Może — pocieszał się w duchu — tu na „rozbiwce”²⁾ ty ko taka „wacha”, ale w celach z pewnością lepiej dają jeść!!

Spotkał go też zawód i z innego powodu, inaczej sobie wyobrażał Mokotów...

Myślał, że jako na złodziejaszku zaraz poznają się na nim, „przecież tutaj są prawdziwi złodzieje”, więc przyjmą go jak przystało, podadzą co popaść i przegryść, a tu nic...

Wiem usłyszał kroki po korytarzu, począł nasłuchiwać:

— Aha!... — pomyślał — „to napewno do mnie, już ch'opacy dowiedzieli się o mnie”.

Tak, kroki się zbliżają, klucz zazgrzytnął i drzwi otwarto.

— Baczość!...

Berek, nawet na to nie ruszył się z miejsca.

— Baczość!!! — wykrzyknął mu nad uchem dozorca.

Berek odskoczył przerażony.

Dozorca zrozumiał teraz, że ma do czynienia z takim, co nie zna się na mokotowskiej komendzie, ujął więc go za ucho, postawił przy ścianie i począł mu tłumaczyć jak się ma zachować.

— Pamiętaj, gdy zwierzchnik — tutaj wskazał na siebie — wchodzi do celi i krzyknie baczość, masz momentalnie stanąć przy oknie i zameldować się.

— A jak ty się nazywasz?

— Berek Haper.

— A jaki wyrok?

— Dwa lata.

— Więc słuchaj, — tłumaczył dalej z taką miną.

¹⁾ wacha — zupa.

²⁾ rozbiwka — cela tymczasowa.

jakby miał wykład co najmniej uniwersytecki. — Panie oddziałowy, więzień karny Berek Haper skazany na dwa lata więzienia za kradzież! — rozumiałeś?

— Tak, proszę pana.

— Więc powtórz.

Berek powtórzył dwa razy.

— Trochę nie tak, — ale nauczysz się — rzekł dozorca poważnie. — Więc pamiętaj! a jak wejdzie do celi pan inspektor, albo sam pan naczelnik, trzeba tytułować — pamiętaj!... w przeciwnym razie pójdziesz tam „gdzie much niema“.

Groził mu przytem palcem.

Berek pobił się ze strachu.

Dozorca widząc to, stał się łagodniejszym.

— No... no... nie bój się, nie jest tak źle, sprawuj się tylko dobrze, o ci nic złego się nie stanie. Skąd przyjechałeś?

— Z Grójca proszę pana.

— Ile jeszcze pozostało do odbycia kary?

— Dziesięć miesięcy.

Dozorca lekceważąco machnął ręką i odparł:

— Na te pare dni opłaciło się też tu przyjechać, z wami tylko k'opot, zawracanie głowy i nic więcej. Na drugi raz jak przyjdiesz, to staraj się przynieść „pietnachę“, to rozumiesz, zrobię cię wtedy „korytarzowym“. Wziąłbym cię i teraz, ale za mało masz do siedzenia żeby choć „dychę“ lat...

Po tym potoku słów wykręcił się na obcasie i wyszedł trzaskając drzwiami.

Po wyjściu jego z celi Berek stał chwilę oburzony. Więc tak wygląda przyjęcie w Mokotowie?... a ja myślałem, że tu jest dobrze, wszak nieraz słyszałem, jak opowiadali starzy złodzieje o Mokotowie chwalać się tem, że tu siedzieli.

... „Może mi jeszcze dadzą miejsce przy baraszcze“?

Na samą tę myśl, że coś podobnego może się z nim stać, zadrżał, „przecież znaczyłoby to koniec złodziejskiego świata. Oci, syn starego złodzieja, któ-

ry umarł w katordze i matki znanej „szopenfeldziarki“¹⁾. — Nie.. to niemożliwe.

— Nie... to niemożliwe.

Gorzej niż głód dokuczał mu brak tytoniu, z rozkoszą zaciągnąłby się teraz i na to wspomnienie doznał lekkiego zawrotu głowy, lecz nic nie mógł wymyśleć.

Przyszły też wspomnienia z Grójca, „tam byłem zriarą osobistością, cóż, tutaj jestem bezradnym, niemal frajerem“, aż wstydził się sam siebie.

Rozmyślając tak zastanowił się, „diaczego żaden z korytarzowych nie zbliżył się do drzwi, by się zapytać co on za jeden, jak to zwykle praktykuje się we wszystkich więzieniach“.

Nagle ktoś zapukał do drzwi.

— Te „brachu“ chodź no tu!

Berek prędko podskoczył do kraty — zmierzyl się oczyma..

— Może chcesz „zadulić“?²⁾

Berek zważył w hojność korytarzowego, gdyż znał to pytanie i co ono znaczy, to też po namyśle odpari:

— Nie mam nic do „opylenia“...³⁾

Korytarzowy zmierzył go od góry do dołu i wprawne jego oczy cad v na kamasze Berka.

— „Skoki“⁴⁾ widzę masz „gaaante“, wież no na stół, niech je lepiej obejrze.

Berek z niechęcia wykonał to polecenie.

— Który to numer?

— Dwadzieścia osiem — odrzekł Berek.

— „Fest“, dia mnie jak raz — powiedz odrazu wiele ci dać?

Berek namyślał się, szkoda mu było kamaszy, i wstyd przecież by złodziej chodził boso, tembar-

¹⁾ szopenfeldziarka — złodziejka sklepowa.

²⁾ zadulić — zapalić.

³⁾ opylić — sprzedać.

⁴⁾ skoki — buty.

dzie. gdy pójdzie do przebrania, to więźniowie patrząc przez okna weźmie go za pęta, więc po namyśle zapytał

— Kiedy mnie przebiorą?

— O nie tak przedko... — Jak się zbierze świeżych z piętnastu wtedy was gospodarz wykapie i przebierze, a potem na górę.

Przy tej rozmowie, korytarzowy naumyślnie puszczał mu dym wrost w twarz.

Berek lykął dym by pragnienie zmniejszyć, ale to go tylko więcej rozdrażniło.

Co robić? — dym coraz więcej wpe'niał celi. — Zrozumiał, że ten naumyślnie to robi, wszak on w Grójcu gdy był korytarzowym, to samo nieraz robił nowoprzybyłym, by ich też nabrać.

Teraz przekonał się i odczuł to na własnej skórze, że nie z g'upoty, te „chamy” w Grójcu — jak on ich nazwał, oddawali wszystko za darmo prawie, gdy im dym puszczał do celi, czuł, że i on teraz nie wytrzyma..

Po namyśle na pół przytomny od dymu zapytał.

— A ile dasz? „Skoki” mnie kosztowały 40 złotych, a są prawie że nowe...

— A wiele chcesz?

— Piętnaście złotych są warte.

Korytarzowy wybuchnął śmiechem.

— „Brachu”! Ty napewno pierwszy raz jesteś w Mokotowie, u nas za dwadzieścia „świnek”¹⁾ można mieć nowe „skoki”, a „b.aty”²⁾ u nas na rękę niema.

Berek zmieszał się, bo kupiec trafił w jego słabą stronę, więc przedko odparł..

— Nie myśl ty czasem, że ja frajer jestem... bo ja już nie pierwszy raz siedzę w więzieniu, a nawet byłem też „korytarzowym” w Grójcu!...

— Co ty tam wiesz? Grójec, to nie Mokotów,

¹⁾ świna — złoty.

²⁾ blaty — pieniądze.

tutaj dopiero oleju do „makowy“ nabierzesz... — Ja nie chcę też twojej krzywdy, więc dam ci „fure siana“ i piętnaście „świnek“ — zgoda? — dam ci też drewniane sandaalki. A pamiętaj.. jak gospodarz może zapyta — gdzie masz „skoki“ — powiedz mu, żeś w sandaalkach przyjechał.

Berek nie chcąc uchodzić za frajera, chociaż z rezygnacją — zapytał.

— A jakie „siano“ dasz?

— „Machory“ — z szyderczym śmiechem odparł — tu u nas frajerski tytoń nie pała... a przy „duleńiu“ uważaj.. aby cię „klawisz“³⁾ nie „nagoli“. bo cię wtedy wtryni tam „gdzie much niema“. No.. „dziachraj“ — przedej, przecież ty nie jesteś frajer — to raz dwa załatwim, nim „klawisz“ przyjdzie z obiadu.

— Dasz mi „fure siana“⁴⁾, dwadzieścia „świnek“ i pięć „klarnoty“⁵⁾, bo jestem naprawdę głodnym — a kiedy to mi wszystko dasz?

— O to niech ci już „mózgownica“ nie boli... a „klarnot“ dam ci nawet więcej, tego szmelcu tu nie brak. Polityczni oddają nam co dzień ze czterdzieści „kramot“. No zdejm przedej „skoki“, a ja pójdę „przytachać“ to wszystko.

Berek niedowierzająco zaczął zdejmować kamasze z postanowieniem, że wpierv nie da ich z rak dopóki nie otrzyma umówiczej zapłaty.

Podczas tych rozmyślań usłyszał, że ktoś zamastrował przy drzwiach. Berek powstał predko, myślać, że to dozorca, a jako swemu zwierzchnikowi po otrzymanej nauce pragnął sie wzorowo zameldować, spojrzął ku drzwiom i to co zobaczył, wprowadziło go w zachwyt, wprost niedowierzał

³⁾ klawisz — dozorca.

⁴⁾ fura siana — paczka tytoniu.

⁵⁾ klarnoty — kromki chleba.

swym oczom. Oto zamiast dozorczy stał przed nami korytarzowy, uśmiechając się chytrze.

— No, „odpal“¹⁾ prędzej!

Berek z radości że ma do czynienia z takim co potrafi nawet w więzieniu drzwi skłuczyć, oddał bez słowa kamasze, otrzymując umówioną cenę i ośm nadgrzyzionych porcyj chleba.

Po załatwieniu handlu, drzwi znów pocichutku się zamknęły, jakby nigdy nic.

Berek szybko skręcił papierosa i zaciągnął się dymem, co sprawiło mu wielką rozkosz. po napaleniu się zjadł też dwie porcje chleba, wypił kubek wody i począł wędrowkę po celi.

„Poułe życie — westchnął — w Grójcu dałbym sobie radę i nie potrzebowałbym kamaszy sprzedawać za tą śmierdzącą machorę“, począł już w duchu żałować, że się tu przeniósł, jednak pocieszał się myślą, że póki się nie rozpozna tu, będzie trochę trudno, jak to bywa w każdym więzieniu na początku.

Nagle ktoś do niego przez drzwi krzyknął.

— Szykować przedko wszystkie swe rzeczy!

Berek od razu zrozumiał, że korytarzowy oszukiwał go, jednak nie było już czasu na lament, spakował szybko swe manatki i wyszedł z celi.

Przez podwórze do magazynu szedł boso trzymając w garści drewniane sandaalki. Na szczęście gospodarz o groźnem spojrzeniu tego nie zauważył, więc po przebraniu w tradycyjny mundur tego domu, zaprowadzono go do łaźni i umyto, trzymając pod wodą tak długo aby wystarczyło na nabycie kataru.

Na ostatku już, gdy otrzymał siennik, nie obyło się też bez szturchańca, bo jakże on, Berek Haper, syn złodzieja miał przwiać podarty worek zawierający trochę s'omy i to już mocno startej, co jednak w Mokotowie nazywa się siennikiem...

¹⁾ odpal — dawaj.

Berek próbował tłumaczyć gospodarzowi, że On nie jest frajerem, i na takim sieńniku spać wogóle nie myśli, za ta uwagę właśnie w odpowiedzi utrzymał sturczańca, co tak poskutkowało, że sam się nie zorientował jak i kiedy, po mokotowsku — balonem znalazł się w przeznaczonej mu celi.

Berek po wejściu do celi ciekawie zaczął się rozglądać po obecnych czy też nie ujrzy znajomej twarzy, była to cela duża przeznaczona dla krawców — niestety, nikogo nie znalazł, jednak w duchu pomyślał, że tutaj nie zginie...

Po chwili podszedł do niego jeden z żydków, podpierając się pod boki i z godnością zapytał.

— Skąd przyjechałeś?

— Z Grójca.

— A duży ty masz wyrok?

— Dwa lata.

— Ny... za co?

— Za kradzież? — odparł dumnie rozglądając się po obecnych, a po chwili zaś dodał.

— Ja już nie frajer i nie pierwszy raz siedzę...

Po wypowiedzeniu tego jakby świadectwa dojrzałości zwrócił się z pytaniem:

— Gdzie mam położyć rzeczy!

Na to pytanie wszyscy wybuchnęli śmiechem, a jeden z nich, który dotychczas stał spokojnie przy stole i przyglądał się grającym w domino, podszedł ku niemu wskazując palcem miejsce wolne przy samym klozecie.

— Tam będzie twoje miejsce, dlatego właśnie, żeś nie frajer.

Berek zbladł. Wiedział, że on który w Grójcu uchodził za lepszego gościa, złodziej z pokolenia, teraz w osławionym Mokotowie ma leżeć przy baraszcze? Nie!... nigdy... raczej umrzeć, niż taką hańbę znieść.

— Drząc na całym ciele krzyknął:

— Ja złodziej z krwi i kości!! Ojciec mój umarł

w katordze, matka także złodziejka, wobec czego należy mi się lepsze miejsce niż przy baraszce...

Teraz wszyscy, jak było ich dwudziestu czterech, powstało z miejsc śmiejąc się z jego przemowy, która tembardziej upewniała ich, że to frajer.

Starszy celi po raz drugi pokazując mu miejsce krzyknął:

— Idź psiakrew gdzie ci mówię bo dostaniesz w nos! Pewno koniowi ukradłeś śniadanie i już teraz takiego złodzieja grasz... a do więzienia przyszedłeś boso, jak pies. Ładny mi złodziej...

Berek zrozumiał, że teraz musi za tą obelgę odpowiedzieć uderzeniem, bo inaczej naprawdę potraktują go, jak frajera, więc nie namyślając się długo, skoczył do bicia.

Obecni przyglądali się z zainteresowaniem gdy zaś zobaczyli, że starszy celi jest przegrany i dostaje trafny cios jeden za drugim, nie pozwolili im bić się dalej, a dla upewnienia się jeden z żydków krzyknął:

— Sza!... ja zaraz zobacze czy to naprawdę złodziej — chodź no tu!

Berek podszedł do stołu, a ów żydek narysował coś ołówkiem na stole i zwrócił się do Berka z zapytaniem.

— Co to jest?

— „Pojedyńczy“.

— A to co jest?

— „Dubeltowy“.

— A to co jest?

— „Maskaz“.

— Dostyc — krzyknął jeden z przyglądających się.

— Tak — wołał drugi — to „klawisznik“²⁾.

²⁾ klawisznik — włamywacz.

Wszyscy po tem egzaminie jednogłośnie uznali, że Berek Haper jest złodziejem — „fachowcem“.

Starszy celi podszedł do niego, a podając mu rękę rzekł:

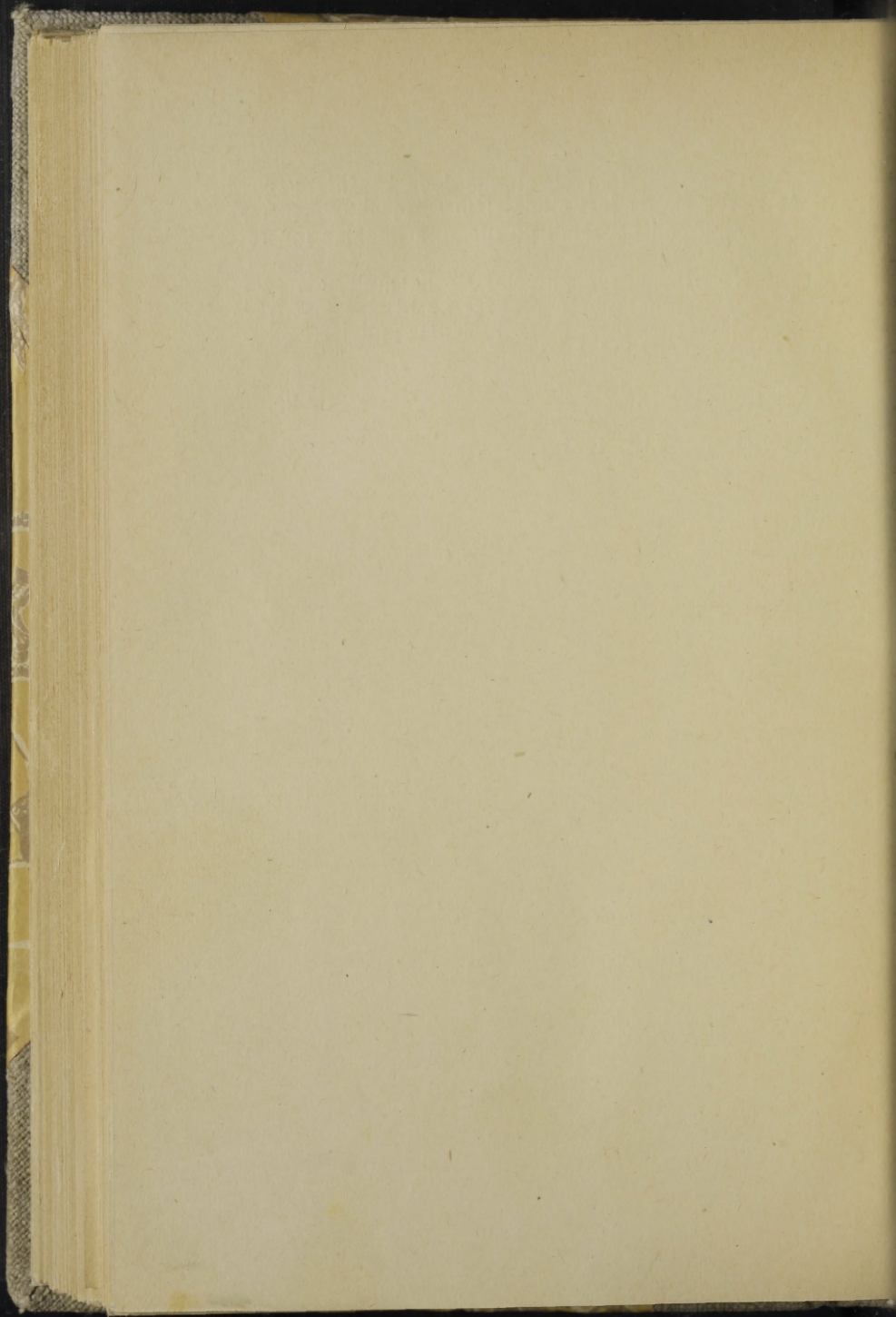
— No brachu, nie gniewaj się na mnie, ale twe zachowanie wskazywało przedej na to, żeś jest frajerem, ale teraz, otrzymasz najlepsze miejsce — o tu przy samem oknie!...

Więzienie Karne.

Ur-ke.

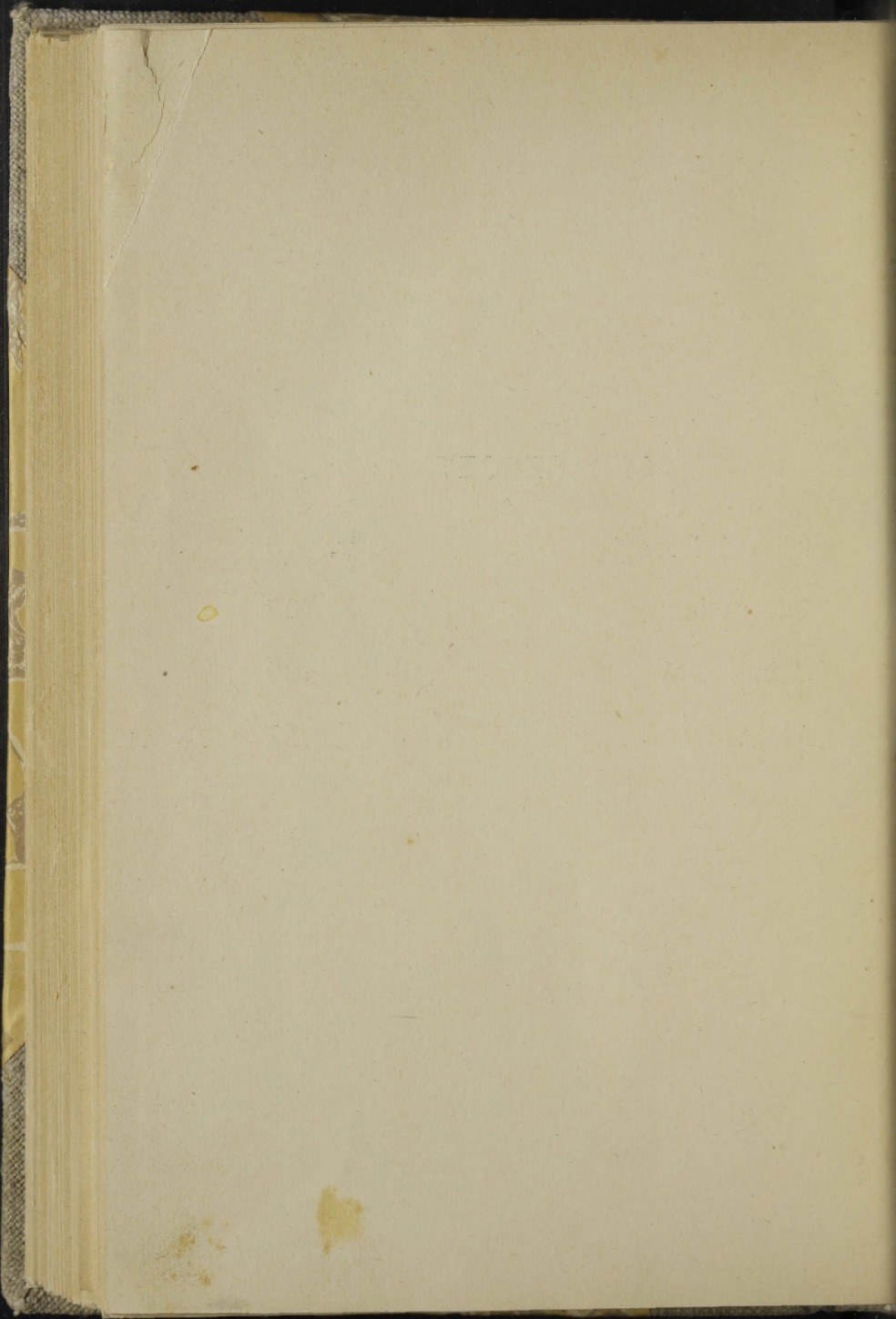
Rawicz, dn. 7.III. 1931 r.





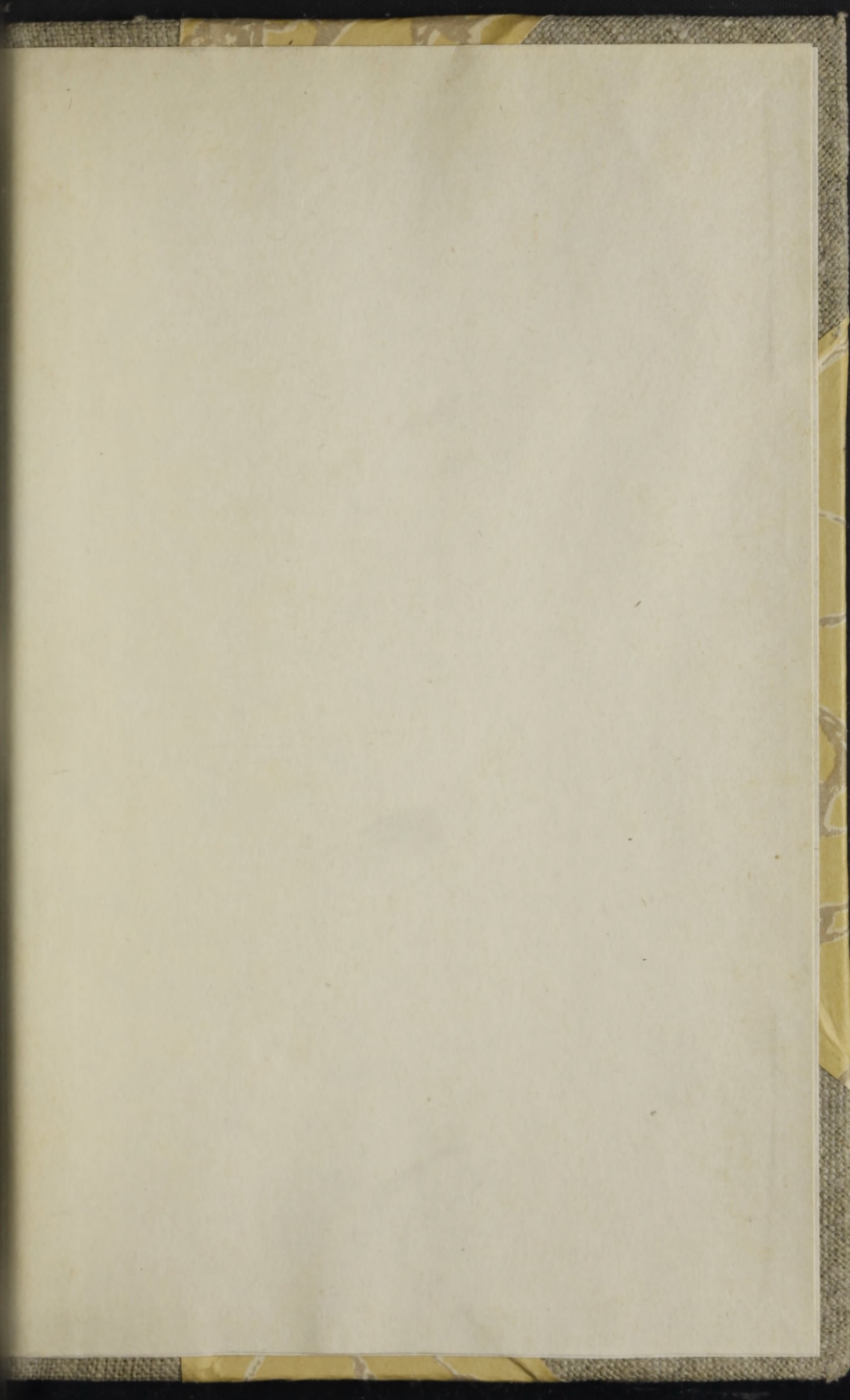
SPIS RZECZY

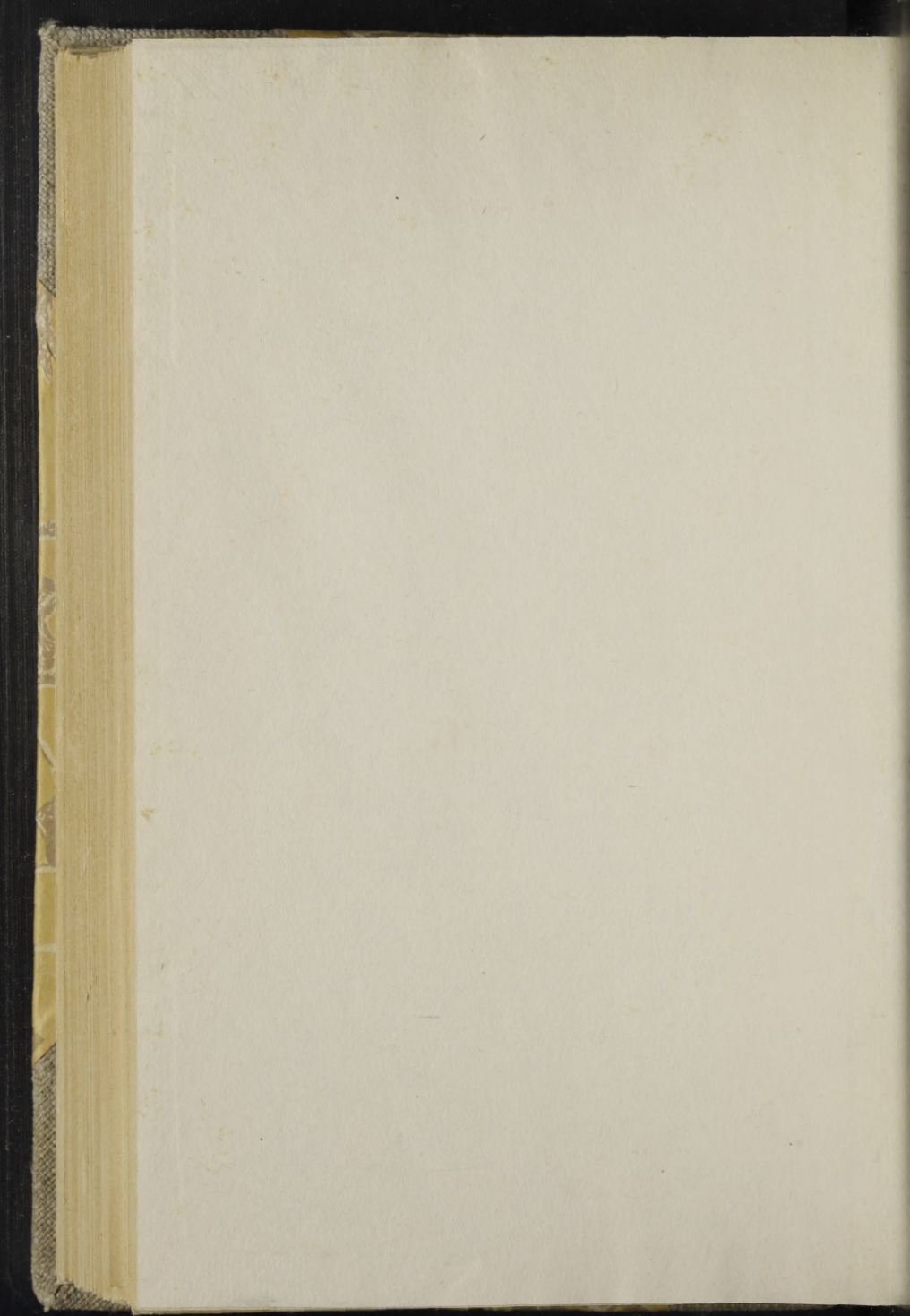
Miłość Przestępcy . . .	str. 5
Ofiara losu . . .	„ 163
Josek Goj . . .	„ 189
Mokotów . . .	„ 217



✕

Antykw. Naukowy
Poznań 87.06.20.
-4.000,-





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001021141506



BN

BIBLIOTEKA
NARODOWA

1466396

BN

BN

BN